

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



Olgierd
Geblewicz
Marszałek
na wojnie z PiS



WYSOKIE
OBCASY
W którą stronę
idzie sztuka?

FOT. CEZARY ASZKIELOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Leszek
Lichota

ZNACHOR

Czyli jak uleczyć mężczyzn

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Muzeum
Historii Polski**
Opowiadać o sławie
czy również o hańbie



**Na co narzekał Jan
III Sobieski?**
340. rocznica odsieczy
wiedeńskiej

Marcin Matczak:
Czy opozycja ma
propozycje dla
niezdecydowanych? ► 21

Jarosław Mikołajewski

Kilka innych migawek z Lampedusy

AP przytacza słowa Morawieckiego, który grozi, że „PO chce zrobić z Polski drugą Lampedusę”. Propaganda rządowa w ogóle lubi Lampedusę jako miejsce porównań i groźbę. Wiadomo – można zrobić tam mocne, sugestywne zdjęcia, a raczej nie „zrobić”, tylko wyjąć z agencyjnych serwisów. Do wyboru, do koloru: nędza, śmierć, krew, czarna skóra. Coś, co brzmi jak wspomnienie z lektur szkolnych. Z Norwida: „Noc idzie, czarna noc z twarzą Murzyna”.

Otóż byłem tam wielokrotnie i chciałbym podsunąć kilka innych migawek. Na przykład funkcjonariuszy na pomoście, którzy płaczą na widok krwawej lzy na twarzy jednego z uchodźców, obejmują go, okrywają folią i prowadzą do auta. Albo miejscowego lekarza, doktora Bartolo, który od dekad przyjmuje żywych i umarłych z Afryki i Azji, uczącego młodsze koleżanki i kolegów, że zanim zaczną sprawdzać, czy imigrant ma świerzb, muszą pogłaskać go po twarzy, bo najgorszą chorobą, jaką nosi, jest poczucie wstydu i upokorzenia, że musi prosić o pomoc. „Stukać – jak pisał instrumentalizowany przez PiS Herbert – stukać

białą laską / w okna sytych”.

Ach, pięknie jest nie lecieć na Lampedusę, nie płynąć do jej brzegów. Można wyszukać w serwisach czarne twarze za drutami, zdeformowane nogi, rany ropiejące od mieszanek nafty i wody morskiej.

Zanim lekarze zaczną sprawdzać, czy imigrant ma świerzb, muszą pogłaskać go po twarzy

Pięknie jest powiedzieć, że pod rządami Tuska taka stanie się Polska, nie wiedząc, że Lampedusa jest małą wyspą (trójkącik 9 na 3 km) na morzu, odgradzoną od „czarnego świata” nie drutem kolczastym, tylko zachwycającym klifem, być może najpiękniejszą plażą świata, z której obrazem pod powiekami toną zrozpaczeni.

Jestem poetą, nie znoszę niedobrych metafor, a Polska jako Lampedusa jest metaforą niedobrą i podłą. Właśnie zostałem zaproszony do wygłoszenia wykładu inauguracyjnego na Wydziale Neofilologii UW. Zamierzam powiedzieć studentom między innymi to, że poprzez język będą mieli obowiązek precyzyjnie, kompetentnie i z miłością przenosić do siebie nawzajem bardzo różne światy. A także i to, że nie wystarczy poznać innego społeczeństwa tylko poprzez słowa i słowniki. Że czasem trzeba się pobrudzić, spocić, pojechać i sprawdzić, czy za słowem „nędza”, słowem „śmierć” nie stoją takie słowa jak „miłość”, „współczucie”.

A wtedy – i znów Herbert – „będzie to podróż długa”, „rozmowa z żywiołami”, „wielkie pojednanie”.

Jeżeli Lampedusa jest dobrą metaforą, to czegoś zupełnie innego. Mądrości? Zrozumienia? Siostrzeństwa i braterstwa? Losu?... Nie wiem. Każdy sam musi znaleźć odpowiedź. Albo nie znaleźć, lecz szukać. ●

Andrzej rysuje



Bombaj Święto słonia



FOT. RAJANISH KAKADE/AP

W Indiach trwa dziesięciodniowy festiwal Ganeśčaturthi. Święto to związane jest z narodzinami boga z głową słonia Ganeś, syna Śiwy i bogini Parwati. Na zdjęciu wykonanym w Bombaju mężczyzna przygotowuje się do zanurzenia w sztucznym stawie z figurką bożka Ganeś

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

7GH56ST

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 23-24.09.2023 r.

Broń i zboże



• Polska nie będzie już dostarczać Ukrainie broń w związku z eskalacją sporu dyplomatycznego w sprawie zboża – ogłosił premier Mateusz Morawiecki

► Wyborcza.pl/magazyn

Drewniane odkrycie Najstarszy domek świata?

W Zambii, niedaleko słynnego wodospadu Kalambo, naukowcy odkopali najstarszą drewnianą konstrukcję znaną człowiekowi. To o tyle wyjątkowe, że drewno jako materiał organiczny ulega szybkiemu rozkładowi.

Czasem badacze znajdują drewniane konstrukcje czy narzędzia, które jeszcze nie dały się nadgryźć zębowi czasu, wśród nich słynne, bo mające 300 tys. lat, neandertalskie włócznie wykopane w Niemczech. A najstarszym drewnianym artefaktem jest fragment deski odkryty w Izraelu, sprzed co najmniej 780 tys. lat. Znaleźisko z Zambii jest jednak bezprecedensowe, bo to pozostałość drewnianej konstrukcji – noszące ślady obróbki narzędziami dwa zaliczone o siebie drągi, z których jeden został specjalnie nacięty, tak by „złapał” drugi.

Metodą luminescencji (pozwała wyliczyć, kiedy osady otaczające artefakt były ostatnio wystawione na światło słoneczne) obliczono wiek znaleziska na ok. 476 tys. lat!

Zbudował to człowiek, ale raczej nie naszego gatunku, bo naj-



FOT. LARRY BARHAM, UNIVERSITY OF LIVERPOOL

starsze szczątki *Homo sapiens* liczą 315 tys. lat. Zdaniem naukowców odkryte drewniane bale mogły być fragmentem większej konstrukcji nabrzeżnej lub nawodnej – czegoś zbliżonego do naszych pomostów – albo częścią dawno zniszczonej chaty. ●

Tomasz Ulanowski

W poniedziałek „Duży Format”

Całe szycie pod stołem

Dziennikarze „Gazety Wyborczej” szukali pracy w łódzkich szwalniach. Właściciel szwalni: – Dziewczyny pracują od 5 do 16. Płacone mają 17 zł na godzinę, ale pani by miała 16. Jak się pani nauczy, zmienię stawkę. Urlopu dajemy dwa tygodnie i jeszcze między świętami robimy przerwę.



WYŻYSK SZWACZEK

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Lato
jesienią

1 W sobotę 23 września przywitamy astronomiczną jesień. Ale spokojnie, będzie złota i polska, a nawet bardzo letnia. Aż do końca września synoptycy przewidują temperatury powyżej 20 stopni, a w połowie tygodnia nawet do 25 stopni i słońce.



FOT. SHUTTERSTOCK, BARTEK BARCZYK, COURTESY OF 20TH CENTURY STUDIOS

Piątek

Trybun
w teatrze

2 „Lepper. Będziemy wisieć albo siedzieć”, czyli historia jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci polskiej polityki ostatnich dekad, trybuna ludowego, twórcy Samoobrony, na deskach Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie. Premiera 29 września w reżyserii Marcina Libera.



Piątek

Niebezpieczny
twórca

3 29 września do kin w Polsce wchodzi film „Twórca” Garetha Edwardsa, reżysera takich hitów jak „Łotr 1”. Zdaniem krytyków jego najnowsze dzieło to jeden z najlepszych filmów science fiction tego roku. Przedstawia walkę człowieka ze sztuczną inteligencją, czyli porusza temat bardzo na czasie.



Cytat tygodnia



Dostaję wiele wyrazów wsparcia od artystów, choć są to głosy dyskretne. Ludzie obawiają się presji środowiskowej, ostracyzmu, bojkotu, linczu. Przecież nawet tzw. symetryści w publicystyce są bezwzględnie niszczeni

PIOTR GLIŃSKI

minister kultury i dziedzictwa narodowego,
tygodnik „Sieci”

Tydzień kampanii

Czy tuskobus skręci na wschód

Przez sześć dni ludzie Kaczyńskiego zdążyli dwa razy ukłonić się w stronę Rosji

Wielowieyska



1 Mariusz Błaszczak ujawnił ściśle tajne dokumenty o strategii obronnej Polski, bo mu pasowało do koncepcji ataku na Platformę Obywatelską.

Minister wie, że prezes Kaczyński lubi polityków, którzy jadą po bandzie. TVP grzeje temat i podchwycili go fani PiS: gdy Tusk przyjechał do Kępna, kilku mieszkańców pokrzykiwało coś o obronie Polski dopiero na linii Wisły.

To, co zrobił Błaszczak, jest kłamliwą manipulacją (bierze się pod uwagę wszystkie scenariusze, także bardzo złe, bazywe zakładają oczywiście obronę granicy) i nieodpowiedzialnością. Strategii obronnej się nie ujawnia, tym bardziej że jest częścią szerszych planów NATO. W sieci komentarze pod adresem PiS: może wrzucie wersję rosyjską, jak to zrobiliście w przypadku raportu ws. likwidacji WSI, żeby jeszcze bardziej ułatwić Putinowi zadanie.

2 Drugi ukłon w stronę Rosji to zwanie z Ukrainą w sprawie zboża. Polska nie chce znieść zakazu importu mimo decyzji Komisji Europejskiej. Ukraina złożyła skargę do Światowej Organizacji Handlu. Podczas posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego ONZ prezydent Zeleński powiedział: „Niektórzy nasi przyjaciele w Europie odgrywają solidarność, robiąc thriller ze zbożem. W rzeczywistości pomagają przygotowywać scenę dla moskiewskiego aktora”. Na to MSZ wezwał na dywanik ambasadora Ukrainy.

PiS stwierdził, że odkąd przyjął antyukraiński kurs w sprawie zboża, jego

notowania lekko poszły w górę, a Konfederacja osłabła. Dlatego nadal będzie się licytował z konfederatami na antyukraińskie deklaracje. A Zeleński tyle zainwestował w przyjaźń z PiS, nawet powtarzał kłamstwo smoleńskie... Ale interes wyborczy jest ważniejszy niż trzymanie frontu przeciwko Rosji. Bo z kim rząd PiS stanął w pierwszym szeregu w sprawie zboża? Z agentem putnowskim w Unii, czyli rządem Orbána.

Kurs prorosyjski pomaga też przykryć własną nieudolność, bo zbożem należało się zająć już rok temu. Miejmy nadzieję, że komisja ds. wpływów rosyjskich Cenckiewicza niezwłocznie się tym zajmie. Przecież gdy wiele miesięcy temu Tusk mówił, że będzie problem z ukraińskim zbożem, Kaczyński twierdził, że lider PO wpisuje się w retorykę Kremla. Z tego wynika, że teraz to PiS wpisuje się w retorykę Kremla.

Do kampanii antyukraińskiej przyłączył się niedawny przyjaciel Ukrainy prezydent Andrzej Duda, mówiąc, że Kijów jest jak tonący, który chce utopić także tego, kto ją ratuje. Czekają nas teraz licytacja na konfrontacyjne wypowiedzi. – Jeżeli Ukraina chce wprowadzić zakaz wwozu polskich owoców i warzyw, to należy ją zapytać, co myśli o polskim zakazie wywozu broni i amunicji na Ukrainę – powiedział Sławomir Mentzen. Teraz piłka jest po stronie PiS. Jak daleko się posunie?

3 Działacz PiS Michał Rachoń przyszedł na konferencję PO pod telefonem: krzykom nie było końca. Jeśli ktoś miał wątpliwości, po co Tuszkowi Kołodziejczak, to ma odpowiedź: do odpierania tego typu ataków najlepsi są politycy wiecowi zaprawieni w bojach i w demonstracjach. Kołodziejczak stanął przed Rachoń i powtarzał: „Pan kłamie”. Wizerunkowo w akcjach na zwarcie ważne, aby strona atakowana nie ustępowała.

Rachoń ma prawo wznosić okrzyki na konferencji Tuska, podobnie jak po-

litycy Suwerennej Polski Jacek Ozdoba czy Janusz Kowalski, ale już posłanka Kinga Gajewska nie ma. Choć stała ponad 100 metrów od premiera, policjanci wzięli ją pod rękę i zabrali do wozu. Nie zwracali uwagi na tłumaczenia, że jest posłanką. Potem mieli pretensje, że nie pokazała legitymacji – chociaż trudno wyciągnąć legitymację, gdy policja unieruchomiła ci ręce.

Policja twierdzi, że nie wiedziała, iż dziewczyna jest posłanką – i zamieszcza w sieci film, na którym słysząc, że funkcjonariusze są o tym informowani. Policja twierdzi też, że posłanka przekroczyła przepisy, bo miała megafon, a nie zgłosiła demonstracji. Uderza dysproporcja, jak funkcjonariusze traktują ludzi w zależności od tego, czy należą do obozu władzy, czy nie. Robert Bąkiewicz przez megafon zagłuszał bohaterkę powstania warszawskiego Wandę Traczyk-Stawską. I wszystko było według PiS w porządku, dostał miejsce na liście. Politycy PiS mogą wchodzić do środka konferencji PO i też jest wszystko w porządku. Gdy nacjonaliści zaatakowali działaczy KOD w Gdańsku w 2016 r., policja radziła zaatakowanym, aby sobie poszli, bo ona nie jest w stanie ich ochronić. Osilków z Młodzieży Wszechpolskiej się boją, ale ze szczupłą posłanką poradzą sobie w pięć minut.

4 W środę Morawiecki ogłosił: „Chcemy przypomnieć, jak wielkim zagrożeniem jest powrót rządów PiS

PiS stwierdził, że odkąd przyjął antyukraiński kurs w sprawie zboża, jego notowania nieznacznie poszły w górę, a Konfederacja osłabła

do władzy”. Komentarze polityków PO: „No raz mu się udało prawdę powiedzieć”. Tusk w Kępnie uderzył bezwzględnie: „Wazeliniarz. Wie, kto wygra, i chce się do nas przypuścić. Panie premierze, Mateuszu, nawet nie próbuj, sprawiedliwość i tak cię nie ominie”. Tusk przypomniał tym samym, że Morawiecki był jego radcą, utrzymywał dobre relacje z politykami PO. Przeszłość sprawia, że premier chce się koniecznie uwiarygodnić w elektoracie PiS, dlatego zaostrza retorykę i mówi rzeczy, w które sam nie wierzy.

5 Tusk wyruszył w trasę. Tuskobus był w: Brzezinach, Kępnie, Lesznie, Kaliszu, Pile. PO obstawiała zachodnią Polskę, bo tam zazwyczaj zwycięża, a dziś po obu stronach barykady kluczowa jest mobilizacja własnego elektoratu, szczególnie przed marszem 1 października. Bo ten tour ma też zmobilizować ludzi do przyjazdu do Warszawy. Platforma liczy, że potężna frekwencja poniesie PO w sondażach, tak jak po marszu 4 czerwca. Tusk po 1 października być może ruszy bardziej na wschód, licząc, że pomarszowa fala da mu możliwość pozyskania tych wyborców, którzy chętnie się przyłączają do potencjalnych zwycięzców.

6 Janusz Korwin-Mikke z kolegami ogłosił, że kobiety to część dobytku mężczyzny. Te wybory są także o kobietach. Wie to Tusk i wie Kaczyński. Tusk widzi w kobietach szansę na zwycięstwo. PiS spadły notowania również przez decyzję Trybunału Julii Przyłębskiej. Kaczyński wie, że kobiety i ich mobilizacja to zagrożenie dla PiS. Dlatego otacza się wieloma posłankami, a marszałkini Elżbieta Witek mówi, że Tusk sprowadzi wielu emigrantów, którzy kobiety skrzywdzą.

No tak, ale to PiS wydał w 30 miesięcy ponad 300 tys. wiz obywatelom krajów, których Witek się tak boi. I to częściowo za łapówki. Nie spina się ta narracja i zapewne nie zepnie do dnia wyborów.

Dominika Wielowieyska

PIS STOI TAM, GDZIE STAŁO

Stępka ciągle leży. Program budowy promów nazwali „Batory”, teraz ludzie mówią „sorry Batory”

Z **OLGIERDEM GEBLEWICZEM***,
MARSZAŁKIEM ZACHODNIOPOMORSKIM,
ROZMAWIA **DONATA SUBBOTKO**

Przesuną panu Zachód na Wschód?

– W 1989 skończyłem 18 lat i zajmowałem się rock and rollem, nie polityką, ale pamiętam z dzieciństwa radziecką bajkę „Wilk i zając” – do połowy bajki wilk gonił zającą, ale od połowy już zając gonił wilka.

Wilk boi się zającą?

– Po agresji widać, że PiS się boi przegranej. Te ich pikniki przypominają rok 2015. Cokolwiek byśmy wtedy zrobili, nikt nie przychodził. Oni w PiS są w panice, że za okradanie państwa trzeba będzie zapłacić. Prezes krzyczy. A krzyczy słaby. Silny nie krzyczy. Gdzie tylko są pieniądze, położyli swoje brudne łapy. Jak prokuratura zacznie działać niezależnie, pójdą siedzieć.

Chyba, że kupią sobie jakieś wizy i zostaną emigrantami.

– Afera wizowa pokazała, że to ludzie bez moralności, którzy handlują bezpieczeństwem Polaków, robiąc pod stołem najczarniejsze interesy. Kim trzeba być, żeby wypychać bezbronnych dzieci, brzemienne kobiety na bagna, do lasu, na mróz i śmierć, a jednocześnie za łapówki sprowadzać do Polski setki tysięcy zdrowych mężczyzn z tych samych krajów Afryki i Azji?

PiS gnije. Jestem optymistą i wierzę, że wygramy, jeśli jednak Polacy nie rozliczą politycznie tej bandy, to czeka nas eksplozja kolejnych brudnych biznesów - brak rozliczenia daje poczucie bezkarności, a bezkarność rozzuchwała. Skandal z wizami ma też wymiar międzynarodowy. Zachodni politycy dowiedzieli się, że PiS zrobił z Polski kanał przerzutowy i przez nasz kraj do Unii Europejskiej wpłynęło setki tysięcy niesprawdzonych osób. W grudniu ub. roku Austria zablokowała Rumunię i Bułgarię wejście do strefy Schengen z powodu informacji, że przez te kraje do Austrii dostają się migranci z Afryki i Azji. Polska jest w otwartej strefie Schengen od 2007 roku. Możliwe, że teraz nasz system wizowy zostanie poddany audytowi i zostaniemy w tej strefie zawieszeni. To oznacza konkretne problemy dla Polaków jeżdżących za granicę – a więc powrót do przeszłości, a więc wycohanie z Europy.

Jestem obeznany w realiach brukselskich – tam się za głowy łapią. Morawiecki porównuje „grupę Webera” do Grupy Wagnera. Akurat jestem w „grupie Webera”, czyli w Europejskiej Partii Ludowej, mówię: „Manfred, widzisz, jaki to dom wariatów, my to mamy każdego dnia”. To polityk propolski. On może nie lubi rządu PiS, ale ja też nie lubię. Przyszłość to Zachód, integracja z Unią i walka o pozycję gracza, a nie obrażonego dzieciaka. Wiele razy negocjowałem z Unią programy operacyjne, ze mną Komisja łatwo nie ma, znam swój region, mam argumenty.

Jakiś konkret?

– Unia chce jak najwięcej pieniędzy przeznaczyć na tzw. zielony transport, w tym na koleje regionalne. Raz chciałem więcej pieniędzy na drogi, ale drogi nie realizują celów klimatycznych. Nie zgadzałem się, żeby mnie traktowano tak jak inne polskie województwa, bo odrobilem tę lekcję. Jako pierwszy w Polsce kupiliśmy nowoczesny tabor i mamy najbardziej ekologiczny transport kolejowy w kraju. Mogę kupować nowe pociągi w miejscach nowych, ale to marnotrawstwo. My mamy bardzo rozległe województwo ze stolicą na obrzeżach, a w środku dużo terenów popegeerowskich, wykluczonych społecznie, ekonomicznie i transportowo. Nie da się wpuścić bodźców ekonomicznych w miejsca bez komunikacji publicznej, a przewoźnicy nie chcą jeździć po dziurach. I Komisja zgodziła się przesunąć znaczne fundusze na drogi.

Pan przewodniczy Europejskiej Partii Ludowej w Europejskim Komitecie Regionów, może panu łatwiej się tam dogadywać?

– Głos polskich samorządów w Europie jest silny i szanowany, czego nie można dzisiaj powiedzieć o głosie polskiego rządu. Co najgorsze, PiS zrezygnował z pieniędzy z unijnego Krajowego Planu Odbudowy – w tym

Facet ciągnął grubą kasę ze spółek skarbu państwa – i to też będzie prześwietlone.

Szefem kampanii PiS został znany z agresji Joachim Brudziński, kolega z regionu.

– Mówimy sobie „cześć”. W bezpośrednim kontakcie zachowuje się normalnie, ale kiedy stara się przypodobać prezesowi, staje się brutalny.

Gadacie o słynnej stępce pod prom i tureckim swetrze?

– Stępka ciągle leży, stała się gorącym kartoflem. Program budowy promów nazwali „Batory”, teraz ludzie mówią „sorry Batory”. Kiedy w 2017 dworowaliśmy sobie ze Stanisławem Gawłowskim ze stępki, Joachim napisał tweet, że gdy prom spłynie w Szczecinie, to ja i Gawłowski, ubrani w tureckie swetry, będziemy przeproszać stoczniovców. W 2020 minął czas oddania promu, więc to my dla niego kupiliśmy turecki sweter w sklepie na wagę, ale co go wysłaliśmy do jego biura, to wracał, a jak raz ktoś mu zaniósł, to go pogonili.

Brudziński powiedział, że nie będzie się tłumaczył ze stępki „popaprańcom i hołocie”.

– Po co tłumaczyć hołocie, lepiej z Jacyną-Witt na polu golfowym udawać elitę. Stępka

*Gdy w Dni Morza widzę, jakie okręty stoją w porcie wojennym
w Świnoujściu, to mi się płakać chce,
bo to są te same statki, które pamiętam z dzieciństwa*

z darmowych ponad 100 mld zł! Jednocześnie wydrukował, poza budżetem i kontrolą Sejmu, 400 mld zł. Zapytałem polityka PiS z naszego regionu: „Dlaczego zadłużasz moje dzieci bez pytania przedstawicieli społeczeństwa?”. Powiedział, że też ma dzieci.

WALKI I MISIE

Dlaczego nie chcą brać darmowej kasy z Unii, tylko wolą zadłużać Polskę?

– Bo mogą. Drukowanie pieniędzy jest łatwiejsze. Ale ostatecznie im więcej drukują, tym bardziej mają ludzi przeciwko sobie, bo rozdają zaprzyjaźnionym firmom, gminom itd., ale napędzają inflację, która najmocniej uderza w biednych. A żeby wziąć pieniądze z KPO, musieliby wprowadzić zmiany sprzeczne z ich DNA. Życiorys Kaczyńskiego pokazuje, że system komunistyczny trzymający ludzi za twarz generalnie mu pasował, tylko to nie on rządził.

Coś robił dla „Solidarności”, był przy Okrągłym Stole...

– Tak, ale trzeba przejść jakąś drogę, żeby za twarz złapać. Fidel Castro stanął na czele kubańskiej rewolucji, żeby oddać władzę w ręce ludu, a potem się okopał i udoskonalił system. PiS to partia dla ludzi ulepionych jako homo sovieticus. Kaczyńskiemu odpowiadało, że w komunie kominy dymiły, stal się hartowała, ludzie w szarych ciuchach mieli takie same maluchy, jeździli na te same wczasy. Oni nie kupują nowoczesności, ekologii nie rozumieją. Prowadzą gospodarckę rabunkową. Stąd ta nerwowość. To widać po Kowalskim, który pluje, rzuca się i miota.

kosztowała ze 300 tys. zł, nikt nie chce przyznać, kto za to zapłacił, formalnie właścicielem powinna być Polska Żegluga Bałtycka. W program „Batory” PiS włożył grube miliony publicznych pieniędzy i nic.

Mówią, że to wy zaoralicie polskie stocznie.

– Kiedy jesienią 2007 przejęliśmy jako Platforma rządu po PiS, już kilka lat toczyło się postępowanie Komisji Europejskiej o nieodzwolonej pomocy publicznej dla Stoczni Szczecińskiej. PiS nic z tym nie zrobił. Wiosną 2008 rząd Tuska dostał od komisarzy ds. konkurencji UE nakaz zamknięcia stoczni albo zwrot tych pieniędzy, co było nierealne. Majątek stoczni kupiło Towarzystwo Finansowe Silesia, nad którym formalnie państwo miało kontrolę, ale ówczesny prezes wydzierżawiał części stoczni kumpłom i poszedł siedzieć. Przekonałem rząd, żeby zrobić ze stoczni Szczeciński Park Przemysłowy, m.in. wynajmujący hale, bo wiele firm prywatnych chciało tam budować i remontować statki, robić konstrukcje stalowe. W 2015 pracowało na tym terenie ponad 2 tys. ludzi. Przyszedł PiS i mówi: to wasz imposybilizm. Zmienili nazwę Parku na Stocznia Szczecińska i zaczęli podpisywać przed kamerami listy intencyjne dla picu...

Utworzyli wtedy Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, w 2020 je zlikwidowali.

– Ministrem zrobili pana Gróbarczyka, który wcześniej był europosem i wystosował do mnie – jako marszałka zachodniopomorskiego – list, dlaczego ja za pieniądze unij-

ne nie odbuduję stoczni. Siedział w Unii i nie nie robił, ale gdyby tam przeczytał parę dokumentów, toby się dowiedział, że tzw. wyłączenia blokowe uniemożliwiają wspieranie z funduszy unijnych niektórych gałęzi przemysłu, m.in. stoczniowego. Ręce opadają. Jak wrócił z przesympatycznej Brukseli, spotkaliśmy się 11 listopada 2015 pod pomnikiem Piłsudskiego. Mówię: „Gratuluję, panie ministrze, teraz te wszystkie głupoty, które pan opowiadał, będzie trzeba wcielić w życie, a ja będę patrzył panu na ręce”. Efekt? Zero sukcesów w gospodarce morskiej i likwidacja w 2020 roku stoczni remontowej w Świnoujściu. Gdybyśmy to my tę stocznnię zamknęli – co by to było!

Skąd pan wiedział, że z tej stępki nie będzie promu?

– Sam byłem zwolennikiem budowy nowych promów. Jeszcze za naszych rządów Polska Żegluga Bałtycka, operator promowy na kierunkach Świnoujście – Ystad i Gdańsk – Nynäshamn, miała być sprzedana, bo przynosiła straty i szukała inwestora. Ale zaczęła się odbijać, a skarb państwa chciał ją sprzedać za śmieszne pieniądze. Udało nam się to zablokować – uchwałę sejmiku podjęliśmy ramię w ramię z PiS, muszę uczciwie przyznać. Mówilem: rusza rynek promów. Dzięki temu, że zbudowaliśmy drogi, operatorzy tirów zaczynają wybierać nasze porty, a nie niemieckie, więc połączmy potencjał dwóch spółek: PŻB i Unity Line z grupy Polska Żegluga Morska, utwórzmy Polską Grupę Promową i budujemy promy. Ale jeden z prezesów tych spółek odparł, że budowa promów w Szczecinie wyjdzie drożej niż zamawianie ich gdzieś indziej, a wyższe koszty to później wyższe opłaty, więc znowu operatorzy wybiorą Niemcy. W Stoczni Szczecińskiej nie mamy już kadry, najlepsi fachowcy odeszli. Co więcej, nigdy nie budowaliśmy promów, nie da się od razu wybudować wielkiego, trudnego technologicznie promu, trzeba takie kompetencje tworzyć latami. No, ale PiS krzyczał, że wybuduje gigantyczne statki państwowe. Kaczyński chce w gospodarce powrotu do lat 70. Za każdym razem kończy się to fiaskiem.

Więc dlaczego to obiecywali?

– Bo na niczym się nie znają i mają ludzi powrotem do przeszłości. Musimy zmienić myślenie o gospodarce morskiej. Stocznia Szczecińska budowała kiedyś głównie masowce, potem chemikaliowce. Dzisiaj masowce kupuje się na Dalekim Wschodzie, w Chinach taki statek kosztuje znacznie mniej, nawet państwowy PŻM tam kupuje. PiS przepisał też czas inwestowania w polskie firmy promowe i na nasz rynek wchodzi Niemcy, którzy podstawiają najnowocześniejsze promy. Zamiast cyrku ze stępką, powinni kilka lat temu zamówić promy w solidnej stoczni – w Trójmieście lub za granicą – za rozsądną cenę i budować pozycję konkurencyjną naszych armatorów. Budowa promu od chwili zamówienia to około pięciu lat, a to w gospodarce epoki. Zaniedbania są dramatyczne.

Jedyna pozytywna rzecz, którą PiS robi w gospodarce morskiej, to pchnięcie – choć też spóźnione – programu offshore, budowy wielkich farm wiatrowych na polskim Bałtyku. Płynąłem teraz wzdłuż Rugii, nowo powstająca farma przecina pół Bałtyku, już tylko torami można pływać – ale okej, na Morzu Północnym też tak jest. Gospodarka

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



morska to będzie w dużej części energetyka morska, a nie samo przewożenie towarów.

Czyli co dalej?

– Trzeba bardziej wspierać lokalne firmy prywatne, które wynajmują postoczniowe tereny, dać im długie umowy, może nawet perspektywę nabycia hal, nabrzeży, żeby się rozwijały. Rozmawiam z Norwegami, u nich też duże stocznie poupadały, a na ich miejsce powstały mniejsze stocznie remontowe lub stocznie budujące specjalistyczne jednostki. Oni eksploatują morza nie tylko dla wydobycia gazu, ropy i energetyki offshorowej, ale mają też farmy łososi. Budują, także u nas, statki do obsługi tych farm. Budowa statków specjalistycznych to jest przyszłość, podobnie jak stocznie remontowe, nasze wciąż są konkurencyjne.

Jest pan ponownie przewodniczącym Wspólnoty Subregionalnej Państw Morza Bałtyckiego zrzeszającej regiony dziesięciu państw nadbałtyckich. Ile może pan z nimi zrobić poza władzą centralną?

– Warto podpatrywać skandynawskie rozwiązania, przyciągać innowacyjne skandynawskie firmy. We Wspólnocie zajmujemy się m.in. tym, co robić, żeby Bałtyk był mniej zanieczyszczony. Szwedzi, Finowie mają u siebie zaawansowany proces eutrofizacji, kilometry glonów. Bałtyk jest płytki, ścieki napływają, niosą fosfor, azot i wszystko, czym żywią się glony. Morze porasta. Byłem obserwatorem Komisji Helsińskiej HELCOM, w dziedzinie technologii środowiskowych Finowie, Szwedzi, Duńczycy to liderzy. Kiedyś, żeby bogato żyć, trzeba było niszczyć naturę, dzisiaj można bogato żyć, chroniąc ją. Kraje skandynawskie żyją z zielonych technologii, ich wdrożenie kosztowało, ale teraz sprzedają je na całym świecie i mają czyste państwa.

*Olgierd Geblewicz

• ur. 1972 r. – marszałek województwa zachodniopomorskiego (od 2010), prezes zarządu Związku Województw Rzeczypospolitej Polskiej, przewodniczący frakcji Europejskiej Partii Ludowej w Komitecie Regionów Unii Europejskiej, ambasador Europejskiego Paktu na rzecz Klimatu przy Komisji Europejskiej, przewodniczy BSSSC (Baltic Sea States Subregional Co-operation). W Platformie Obywatelskiej od 2001. Absolwent m.in. prawa i ekonomii.

Mnie się marzy taki właśnie region. Zachodniopomorskie jest liderem w produkcji zielonej energii, tutaj powstała pierwsza farma wiatrowa w Polsce – to wietrzne województwo, przestrzenne, jest gdzie stawiać wiatraki. Nie mamy węgla, nie mamy przemysłu ciężkiego, teoretycznie powinniśmy być na zawsze biedni: trochę turystyki i jagód. Postawiliśmy jednak na zielone technologie i branżę logistyczną. Zaczęliśmy dyskontować rentę naszego położenia.

Kiedyś duże inwestycje nas omijały, wołały południe Polski, skąd bliżej do Węgier, Czech itd. Polskę wrzucano w koszyk Europy Środkowo-Wschodniej, a Zachodniopomorskie było na jej obrzeżu. Ja mówiłem: wkrótce firmy będą patrzyły ogólnoeuropejsko, a my będziemy w środku, blisko Skandynawii i Niemiec. I dzisiaj branża logistyczna, e-commerce już u nas jest: Amazon, Zalando i wielu innych dużych graczy. Zaopatrujemy np. skandynawską branżę motoryzacyjną, części zamienne.

Przykłady ze Skandynawii pokazują, że regiony takie jak nasz mogą być fajnym miejscem do życia z perspektywą, tylko ludzie muszą mieć dobrą pracę i płacę. W Pol-

sce najwięcej inwestują Niemcy, a w Zachodniopomorskiem number one to Duńczycy. Produkują u nas np. łopaty do wiatraków. Mamy światowego lidera, który robi szafy automatyczne do sterowania wiatrakami. Firmę, która robi gondole. Duński Vestas, światowy gigant w produkcji zielonej energii, zbuduje u nas zakład produkujący turbiny wiatrowe, które będą transportowane drogą morską na cały świat. Stajemy się hubem w zielonych technologiach. To dzisiaj duże pieniądze, co przekłada się na dobre place. Cenię firmy duńskie, bo inwestują w opiekę nad pracownikiem, czyli to ochrona środowiska naturalnego i społecznego jednocześnie. Nie za bardzo przeszedłem z polityki na konkret?

Polityka dzisiaj nie wygląda zielono ani konkretnie.

– Bo ekologia to dla PiS lewackie dziwactwo, nasza wieś spokojna, a górniczo-hutnicza orkiestra dęta robi nam paparara, jak śpiewał zespół Pogodno. Świat się zmienia – a my „wungiel”, kielbasa i spaliny. Ojciec Dudy mówi, że całe życie wdychał smog i od smogu to się człowiek silniejszy robi. Głównie z Suwerennej Polski robili sobie fotki ze stekami za stówkę u nas w knajpie w Szczecinie. A kiedyś Joachim wrzucił na Twitterze zdjęcie, jak smaży kaszankę z cebulą w mieszkaniu w Brukseli. Na nic brukselskie mule, owoce morza i warzywa, przewiozłem sobie z kraju prawdziwe żarcie, klękajcie narody. Kult kaszanki, disco polo, majteczki w kropeczki i na to posypka biało-czerwona cyk, cyk, cyk.

Cyk, cyk, cyk – żeby co?

– Trwać i kraść. Do tego służą misie, czyli słomiane inwestycje. Im większa, tym lepsza. Nie kojarzę żadnej inwestycji PiS, przy której nie unosiłby się smrodek. Czasami to wprost walki jak sprzedaż Lotosu po zaniżonej cenie – i to pośrednio w ręce rosyjskie. Uważam, że cena była inna i ktoś kiedyś dojdzie, gdzie została ulokowana, bo to jedna z największych afer w dziejach III Rzeczypospolitej. Kiedy nie było już pandemii, przedłużyli przepisy pandemiczne, żeby służby specjalne – i tak przejęte przez PiS – nie sprawdziły tej transakcji. Przypadek? Kancelaria pana Matczyńskiego przytuliła na tej operacji miliony, a mamy prawo podejrzewać, że pieniądze przytulił ktoś jeszcze.

To walek, a misie?

– Pole w Baranowie, pilnowane za dziesiątki tysięcy miesięcznie. Lotnisko w Radomiu stoi puste, bo nie zapytali operatorów, czy chcą stamtąd latać, i teraz tłumaczą ludziom, że z Radomia bliżej do Egiptu niż z Warszawy. Misiem jest przekop Mierzei – eksperci mówili, że to bez sensu, ale oni wpompowali 2 mld, tylko że żaden większy statek tam nie wpłynię. W Szczecinie pogłęбили tor wodny Świnoujście – Szczecin do 12,5 m, żeby mogły wpływać większe statki, tylko zapomnieli zbudować obrotnicę i nabrzeże, żeby te statki miały gdzie zacumować. Drugi rok mija, jak oddana jest ta piękna inwestycja, tylko jeszcze żaden statek tam nie przepłynął.

O co chodzi? Walka z samorządem jak w przypadku Mierzei?

– Nie, pisowskie nieudacznictwo, to nie jest rocket science. Szczecin leży prawie 80 km od ujścia Odry. Za czasów niemieckich w Świnoujściu udrożniono Odrę, wybudowano tor wodny, który miał ok. 10 m głębokości, a teraz został pogłębiany częściowo za pieniądze z Unii. To my, Platforma, rozpoczęliśmy przygotowania tej inwestycji, a PiS to ciągnął. Tylko że tego typu inwestycje wymagają koordynacji, tzn. jeśli Urząd Morski zrobił tor wodny, to Zarząd Morskich Portów Szczecin i Świnoujście, spółka skarbu państwa, powinien wybudować część portową. Pisowski brak pomysłu powoduje straty, bo ten tor trzeba utrzymywać i pogłębiać, ale nic tam nie pływa.

Platforma zbudowała gazoport w Świnoujściu, czyli Terminal LNG. Urząd Morski budował falochron zewnętrzny w Świ-

noujściu i tor podejściowy. Zespół Morskich Portów Szczecin i Świnoujście – nabrzeża i część portową. Polskie LNG – stację regazyfikacji z dwoma zbiornikami, a Gaz-System – Tłocznię Gazu w Goleniowie. W siedem lat udało się skoordynować te cztery ogromne inwestycje, a nawet więcej, bo każdy odcinek gazociągu to osobna inwestycja.

No i macie teraz Terminal im. Lecha Kaczyńskiego.

– My to skończyliśmy w 2015, a PiS w 2016 przykręcił tablicę. Powiem pani lepszy numer: drugim etapem budowy gazoportu miało być dostawienie trzeciego zbiornika. Mija ósmy rok ich rządów, a ten jeden zbiornik, który mieli zrobić, wciąż nie jest oddany. Tak czy inaczej, terminal zbudowała Platforma i on odpowiada dzisiaj za bezpieczeństwo gazowe Polski.

ZWIJAJĄ PAŃSTWO OBYWATELSKIE

Po Polsce latają ruskie rakiety, ale do pana chyba nie dolecą.

– Do Bydgoszczy doleciała, to może i u nas gdzieś jakaś leży. Jesteśmy najdalej od Rosji, ale stanowimy możliwy cel ataku terrorystycznego, po wojnie w Ukrainie widać, że wróg uderza w infrastrukturę krytyczną, w tym gazową. W Szczecinie jest też Kwatiera Główna Korpusu Północno-Wschodniego NATO. Jako PO apelowaliśmy nawet, żeby jedną z planowanych ośmiu baterii Patriot ustawić u nas.

Macierewicz zaprzepaścił Patrioty, ale w 2017 obiecał, że Szczecin wybuduje okręty podwodne dla Marynarki Wojennej. Pan trochę żegluj, widział pan jakiś?

– Jeden, lecz nie u nas, tylko w Gdyni – jak Macierewicz to zapowiedział, w Stoczni Nowa podległej jego ministerstwu była awaria w doku i remontowany statek wpadł pod wodę. Owszem, okręty podwodne były budowane w Szczecinie, ale przez Trzecią Rzeszę, parę U-Bootów wtedy wybudowano i na tym się skończyło. Gdy w Dni Morza widzę, jakie okręty stoją w porcie wojennym

Kiedyś, żeby bogato żyć, trzeba było niszczyć naturę, dzisiaj można bogato żyć, chroniąc ją

w Świnoujściu, to mi się płakać chce, bo to są te same statki, które pamiętam z dzieciństwa. Jak Macierewicz wysadził kontrakt na caracale, to obiecywał śmigłowce budowane z Ukrainą. Pisowska picerka, żeby uspokoić ludzi. Atakowali nas za program budowy krabów i zakup licencji na podwozia od Koreańczyków, a gdy wybuchła wojna, to na gwałt, często bez sensu od nich kupują i zadłużyli państwo bez żadnej kontroli.

Wy tak w samorządach nie możecie?

– Jesteśmy jednym z największych województw pod względem powierzchni, a mamy stosunkowo niedużo ludności. To daje komfort życia, jest przestrzennie, zielono, ale wpływy z podatków nie są wysokie i musimy ostrożnie inwestować, chociaż np. siatkę kolei mamy większą niż Śląsk, który ma

niewielką powierzchnię i dużo ludzi. Dostaliśmy dwie nagrody Kazimierza Wielkiego, coroczne nagrody miesięcznika „Współnota” przyznawane samorządom, które mają największą liczbę inwestycji w stosunku do własnych budżetów, czyli najczęściej inwestowaliśmy, a najmniej przejadaliśmy. Rozsądnie podchodzę do własnych pieniędzy, a jeszcze bardziej do publicznych. Budżet województwa traktuję jak domowy: nie wydawaj więcej, niż zarabiasz, a gdy jest dobrze, odkładaj na czarną godzinę, inwestuj w przyszłość, żeby budżet powiększać.

Przeciwieństwo tego, co robi władza centralna.

– I to mnie boli, bo władza jest zawsze trochę taka jak my. Pierwsi od pokoleń nie myślimy o dzieciach i wnukach. Moja babcia opowiadała mi o prababci, która po odzyskaniu przez Polskę niepodległości mówiła: przeżyliśmy zabory, życie stracone, ale żeby nasze dzieci miały lepiej. Dziadkowie ledwo przeżyli II wojnę i mówili to samo. Nasi rodzice marzyli o wolności, wegetowali w komunie, w latach 90. ciężko pracowali – żeby dzieciom było lepiej. I każde pokolenie zostawiało Polskę trochę lepszą. A teraz zachłysłnieliśmy się grillem, piwkiem i życiem na kredyt.

W ciągu ośmiu lat PiS zwiększył dług Polski z ok. 920 mld zł do prawie 2 bln. A przecież przez te osiem lat na świecie była hossa, inaczej niż w latach 2008-12, kiedy była bessa i wiele państw się zadłużało, bo musiało. Kiedy PiS w 2015 objął władzę, nie tylko bogate Niemcy, ale Czesi, Litwini, wszyscy spłacali długi. Nasz samorząd je spłacał do 2017. A PiS w tym samym czasie wygenerował Polakom dwa razy większe zadłużenie niż wszystkie inne rządy od 1989 roku.

„Dotychczasowy sposób rządzenia krajem oparty na wszechwładzy centralnych instytucji partyjno-państwowych prowadził kraj do ruiny”. Coś to panu mówi?

– Bardzo prawdziwe zdanie, niestety... Podejrzewam, że to z Sierpnia '80?

1981. Pierwszy zjazd „Solidarności”, dokument „Rzeczpospolita Samorządna”.

– Po ponad 40 latach zataczamy koło. Chyba ku zdumieniu tych, którzy pisali to zdanie, po 1989 stworzyliśmy silny samorząd i państwo w wielu obszarach obywatelskie – ale teraz je zwijamy. Rządy PiS to plucie w twarz wszystkim, którzy wtedy walczyli.

„Solidarność” wydawała tygodnik „Samorządność”.

– Bo Polacy chcieli samo-rządności. Dzisiaj wszyscy najważniejsi ludzie starej „Solidarności” stoją z nami, są na każdej manifestacji. To PiS stoi tam, gdzie stało ZOMO, a prawdziwa „Solidarność” stoi razem z nami. To ludzie „Solidarności”, w tym mój serdeczny przyjaciel Jurek Buzek, zbudowali polską samorządność. Sami nie zdajemy sobie sprawy, ile nam to dało. Za komuny wybory to była ustawka. Ja mogłem głosować dopiero w 1990 roku – to były wybory samorządowe. Dzięki kilku głosom wygrali ci, na których stawiałem. Gdy sam pierwszy raz startowałem na radnego, wygrałem siedmioma głosami. Ludzie na dole wiedzą, że liczy się każdy głos.

Samorządność jest jak wrzucenie dziecka na głęboką wodę, żeby nauczyło się pływać. Nauka brania spraw w swoje ręce i odpowiedzialności. Obowiązuje zasada subsydiarności, pomocniczości: problemy rozwiązujemy sami, a dopiero jeśli sobie nie radzimy, to ma pomóc ktoś wyżej. Najpierw pomagamy sobie w rodzinie. Tym, co wykracza poza rodzinę, np. edukacją, zajmuje się gmina. Tym, co wykracza poza gminę, np. prowadzeniem szpitala, zajmuje się powiat. Powiat nie jest w stanie zająć się np. drogami, pociągami itp., więc potrzebne są regiony. Jest to przeciwieństwo państwa komunistycznego, scentralizowanego.

Pierwszym wielkim osiągnięciem było przekazanie w 1990 wszystkich, łącznie z majątkiem, miastom. Gminy i miasta dostały udział w podatkach dochodowych,

a więc jeśli twoje miasto i jego mieszkańcy bogacą się, to twoja gmina jest bogatsza, to ci się opłaca. Drugą fantastyczną rzeczą było stworzenie w 1999 dużych województw, żeby były zdolne prowadzić odpowiedzialną politykę regionalną. Przewidział to Jerzy Buzek, wiedział, że z Unii przyprzyną duże pieniądze na silne regiony.

Kiedy Kaczyński doszedł do władzy, postanowił wywołać pożary w każdym zakątku Polski. Wszystko musieli zmienić. Wielki chaos, zwany Polskim Ładem, tak docisnął śrubę samorządom, że niedługo przestaną funkcjonować – a wtedy przestanie funkcjonować krwiobieg naszego kraju.

Pacjent wtedy zwykle pada.

– PiS tak zmienił prawo, że składka zdrowotna jest teraz odprowadzana wprost do państwa. Wyłączenie jej z odpisu i obniżenie PIT spowodowało, że budżet państwa zyskał kilka miliardów na składce, a samorządy straciły łącznie ponad 10 mld rocznie. Cwana władza centralna zyskuje, a ludziom na dole pieniądze obcięli. Gminom, które przez lata prowadziły zdyscyplinowaną gospodarkę finansową, teraz brakuje na szkoły, parki, drogi. Jestem w strachu, bo nie wiem, czy u mnie gminy będą miały na wkład własny do przyszłej perspektywy finansowej w UE. Samorząd musi mieć swoje pieniądze – a nasze zostały ukradzione przez PiS.

Dlaczego to robią?

– Samorząd zgodnie z nazwą sam się rządzi. Kaczyński nie może tego znieść. Słyszymy od polityków PiS: gdyby ten czy tamten burmistrz był pokorny, toby od rządu dostawał, a niepokorny nie dostaje. Jakby to było ich państwo, ich pieniądze, ich podatki. Wszystkich pod but!

Według raportu Fundacji Batorego odbywa się niekonstytucyjna zmiana ustroju terytorialnego.

– PiS robi to dwiema metodami. Jedna to przejęcie instytucji, druga to wpływy kadrowe. Pod nadzorem samorządów były np. wojewódzkie ośrodki doradztwa rolniczego – ale rząd PiS przejął je w pierwszym roku swojej władzy. Wojewódzkie fundusze ochrony środowiska – przejęte przez rząd. Wody Polskie – z kilku instytucji zmontowali molocha, jak za komuny. Szkoły – kuratoria mają coraz większy wpływ na obsadę dyrektorów. Chcą teraz zrobić „agencję ochrony zdrowia”, która ma opiniować, kto będzie dyrektorem szpitala, czyli ją wybieram dyrektora, ale agencja musi go klepnąć. Wszystkie ustawy, którymi przejmują samorząd, lecą w trybie inicjatywy poselskiej, bo wtedy władza nie musi robić konsultacji społecznych. Polski Ład był wprawdzie inicjatywą rządową, ale zrobiono pseudokonsultacje. Strona samorządowa alarmowała: zabieracie nam miliardy. A PiS: no zabieramy, ale coś wam może kiedyś damy.

Samorząd w wolnej Polsce był silny, bo miał własne dochody – nie tylko z podatków od nieruchomości, ale też od osób fizycznych i osób prawnych, dzięki czemu mógł wypracowywać nadwyżki i decydować, na co wydać. Zbierali się radni i kłócili, czy na tę drogę, czy na tamtą, robili plan, tłumaczyli ludziom. Teraz te rady nic nie mogą, bo nie mają kasy, muszą iść do rządu, a rząd daje na to, czego chce PiS.

Fundacja Batorego nazywa to wrogim przejęciem samorządów, wielostopniowym, niejawnym. Ile już państwa PiS nam przejął?

– Boją się przejąć samorządy w 100 procentach jak na Węgrzech. Węgry to mniejsze państwo, mniej problemów. My jesteśmy wielkim państwem, a jak coś przestaje działać w gminie, szkole, wodociągu, to ludzie się wkurzają.

Jeszcze nie do końca nas zaorali dlatego, że ich tzw. reformy były na nas oparte. 500 plus wrzucono samorządom, dopiero potem przejął to ZUS. W idiotycznym tempie weszła deformacja oświaty, bo samorządowy stanął na wysokości zadania, choć bez serca i entuzjazmu. PiS ogłosił program

„Czyste powietrze”, żeby wyeliminować kociuchy. My wcześniej zrobiliśmy pilotażowy program „Kawka” – pierwsi w Polsce, za pieniądze z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Narodowego Funduszu. Zasada była taka: gmina dostaje grant np. na 200 domów, ma je znaleźć, ludzie wymienią kotły, a gmina to rozlicza. Ale PiS uznał, że to ich rząd będzie dawał te pieniądze – nasze wspólne. Zrobili taki program w Narodowym Funduszu Ochrony Środowiska, scentralizowany. Tysiące wniosków sparaliżowało instytucję. I w następnym wyborze musieli oddać to samorządom.

Samorządowcy popierają siły prodemokratyczne. Nawet ci, którzy po cichaczu chodzą po czeki, mówią: będziemy was wspierali, będziemy kleić plakaty. Wiedzą, że jeżeli opozycja nie przejmie władzy i nie da tle-nu samorządom, to startowanie w kolejnych wyborach samorządowych nie będzie miało sensu, bo nie będzie czym zarządzać.

PiS próbował zmienić – to akurat Duda zawetował – ustawę o regionalnych izbach obrachunkowych. Żeby badały nie tylko legalność wydatków, ale i gospodarność, mimo że od tego są już u nas komisje rewizyjne. Czyli np. wydałem kasę na promocję regionu, ale władza powie: to niecelowe i niegospodarne, i tak macie turystów, wstawiamy panu rzecznika dyscypliny i orzekamy zakaz pełnienia funkcji publicznych na x lat. Bez żadnych ceregieli, procedur sądowych mogliby w samorządzie każdego zdjąć i wsadzić rządowego komisarza. Jeśli wygra ją, mogą do tego wrócić.

LASY MOGĄ PIS NIE PRZEŻYĆ

Wszędzie wsadzą swoich?

– Nie mają tyle kadry, żeby wymienić wszystkich. Posłusznych w małych gminach będą trzymać, ale w miastach, gdzie ktoś ma pozycję i gdzie są pieniądze, możemy się spodziewać takiego scenariusza. Prof. Jerzy Stępień ostrzegał, że Kaczyński przenosi do dzisiejszych czasów mechanizmy II Rzeczypospolitej, będą usilowali podporządkować sobie również samorząd, wsadzać komisarzy pod byle pretekstem. Legendarny Starzyński nie był prezydentem stolicy, nie wygrał żadnych wyborów, był wsadzonym przez sanację komisarzem. „Prezydent” mówiono na niego tytułarnie, a po obronie Warszawy dla oddania honoru.

Przed wojną rada powiatu mogła wybrać starostę tylko z osób zgłoszonych przez wojewodę, czyli administrację rządową. PiS zastosował podobny mechanizm w wojewódzkich funduszach ochrony środowiska i gospodarki wodnej. Są to samorządowe osoby prawne, więc teoretycznie podlegają marszałkowi. Połapali się, że tam jest dużo kasy, nie mogli ich odbić samorządom, więc żeby położyć na nich łapę, z siedem razy poprawiali ustawę. I teraz członków rad nadzorczych WFOŚiGW wskazuje minister, ja powołuję zarząd – ale z osoby wskazanej przez radę nadzorczą. Nie mam na nic wpływu, ale gdyby tam była niegospodarność, to prokurator może mi powiedzieć: „twoja wina”.

Wcześniej to była nasza kompetencja, bo to my zbieramy opłaty środowiskowe, złożył wie nazywane „marszałkowskimi”, i przekazujemy je na konto funduszu wojewódzkiego i narodowego. Dzisiaj te opłaty często idą na obiekty sakralne i kościoły. Jestem – jak kwiatek do kożucha, bo to instytucja rządowa – w radzie nadzorczej Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska jako formalny przedstawiciel samorządu. Niedawno dał dotację – aż się za głowę łapałem – na katolicki Ruch Światło-Życie gdzieś nad Dunajcem, którego członkiem jest minister Kowalczyk. Na Centrum Ekologii Integralnej chyba 13 mln zł i jeszcze na coś. Jaka to ochrona środowiska!

Z Ruchem Światło-Życie jest też związana minister środowiska Anna Moskwa. – Zapytałem prezesa Funduszu, jaki będzie efekt ekologiczny, bo to się mierzy np. redukcją zanieczyszczeń w rzekach, emisji py-

łów itp. Odpowiedział, że liczbą nawróconych na ekologię w wierze.

Moskwa zrobiła tam prezesem Przemysława Ligenzę, faceta z zarzutami korupcyjnymi.

– Wojewódzkie fundusze, które od nas przejęli, wydają kasę na podobne rzeczy. A wie pani, jak PiS uzasadnił zmianę w ustawie o radach nadzorczych? Że celem jest ułatwienie nam pracy! Przyszli z „bratnią pomocą”.

Bratnia pomoc może iść dalej, np. w zakładach gospodarki komunalnej, szpitalach czy w innych instytucjach, gdzie jest rada nadzorcza. W radach nadzorczych spółek prywatnych wojewoda też może „pomóc”: po co właściciele mają się głowić, kogo do tej rady nadzorczej dać, rząd im powie. Jeszcze się do tego nie posuwają, ale patent już jest, przeczytyli go.

Prezydent złożył ustawę kompetencyjną i będzie mógł blokować stanowiska w Unii Europejskiej. Np. ja jestem członkiem Europejskiego Komitetu Regionów wybranym przez związek województw na walnym zgromadzeniu. A teraz prezydent może zgłosić weto: Geblewicza nie lubię. Kolejna próba zawłaszczania państwa. Ja to Dudzie powiedziałem na konsultacjach z samorządowcami w Pałacu, kiedy chcieliśmy, żeby prezydent zawetował tę ustawę o wojewódzkich funduszach. Tłumaczył: „No wiecie, to jest walka o wpływy i władzę, ale to normalne w polityce”. Tak mnie wnerwił, że mówię: „Panie prezydencie, walka o wpływy i władzę odbywa się w demokratycznych wyborach, a to jest psucie państwa. Nie może być tak, że po naszej stronie jest odpowiedzialność za instytucję, ale kto inny wybiera władze, które nią zarządzają”. A on zwrócił się do ministra Muchy, który wtedy tam pracował: „Paweł, tak jest naprawdę?”.

Naprawdę?

– PiS wydoił Polskę. Także w lasach. Uwielbiam jeździć rowerem, biegać i za każdym razem, kiedy wbiegam w znajome miejsce, to aż serce ściska, bo lasy, które znam od dziecka, zniszczono. Przypomina mi się, jak pojechałem pierwszy raz do Transylwanii, kiedyś mrocznej i lesistej – a tam same pola. Pytam: „Gdzie te lasy?”. „Aaa, lasy to Ceause-scu wyciął i posprzedawał”.

Lasy w Zachodniopomorskim przeżyły komunę, wcześniej dwie wojny, ale PiS mogą nie przeżyć. Zalesiają część nieużytków, tylko że to są sadzonki. Nie uwzględniają wycinek pod drogi. Do Świnoujścia przez Woliński Park Narodowy budują drogę ekspresową, wycina się tysiące metrów sześciennych – logika by nakazywała, że jeżeli wycinamy tyle lasu pod drogę, to w innym miejscu nie wycinamy, ale tak nie robią. Mało tego, przez zmiany klimatu mamy tu bardzo dużo wiatrolomów, całe pola-cie lasu są kładzione przez trąby powietrzne. Ale w dyrekcji Lasów Państwowych w Szczecinku, odpowiedzialnej za wschodnią część województwa, dyrektorem był pan Maciejunas, gość z Suwerennej Polski, któremu dali tę jedną z najbogatszych dyrekcji w kraju w nagrodę za to, że na Podlasiu brutalnie spacyfikował ekologów. Nic nie zrobił, żeby posprzątać wiatrolomy, zalegają już któryś rok, drewno gnije, straty szacowane są na minimum 20 mln zł. Fachowcy mówią, że tam jest dużo powalonego świerka, w którym rozwija się kornik, i zachodzi ryzyko katastrofy ekologicznej, bo pan od Ziobry źle gospodarował lasem.

Oddział w Szczecinie też przytulił pana od Ziobry, hejtera Dariusza Mateckiego.

– Oni wchodzą tam, gdzie są największe pieniądze. Nie biją się o firmy z problemami, np. o to, kto ma być prezesem stoczni w Szczecinie, bo to kłopot. A Lasy Państwowe to niekontrolowane imperium, nie płaci żadnego podatku poza żenująco niskim podatkiem leśnym, ale korzysta z infrastruktury publicznej. Ciężkie wozy z drewnem wożące nasze lasy rozjeżdżają drogi, a LP się do tego nie dokładają. Jestem oburzony, bo w naszym województwie osiągają ko-

losalne zyski i wszystko idzie do Warszawy do Funduszu Leśnego, z którego zalesiają Śląsk czy Podkarpacie. Czy jak KGHM osiąga zyski i płaci lokalnie podatki, to coś z tego ma moje województwo? Nie ma. Lasy Państwowe traktują Pomorze Zachodnie jak kolonię do eksploataowania, bo u nas jest jeszcze najwięcej drzew i można je łatwo wyciąć – w górach to więcej kosztuje. To też zostanie wnikliwie, mam nadzieję, przeanalizowane.

Jarosław Kaczyński chyba korzysta z przyrody u pana.

– Joachim i Czesław Hoc, poseł z Kołobrzegu, zabierają go tu na wakacje i robią rejsy na Zalewie Szczecińskim. Kiedyś Joachim relacjonował na Twitterze, jak to pływa-ją u nas, a ja byłem w marinie w Wapnicy,

Uważam, że cena za Lotos była inna i ktoś kiedyś dojdzie, gdzie została ulokowana, bo to jedna z największych afer w dziejach III RP

skąd powinienem ich widzieć – a ich nie było. Potem się okazało, że Kaczyński jechał wtedy do zamku pod Berlinem na tajne spotkanie z Angelą Merkel, a Brudziński robił zasłonę dymną. Oni tu w okolicach Świnoujścia mają bazę wypadową na starym dorzeczu Odry, przepiękne miejsce.

ŚMIECI TO JUŻ PLAGA I MAFIE

Udało nam się przywrócić ducha na te wody, to akwen wykorzystywany przez żeglarzy, motorowodniaków, windsurferów, kitesurferów. Mój tata całe życie pasjonował się tym, jak wykorzystać potencjał Zalewu, teren z gniazdami orla bielika, czapli białej i szarej, kormoranów, choć tych ostatnich teraz mamy za dużo. W latach 70. pisał o tym pracę magisterską na AWF i analizował przedwojenne pomysły na akwen. Bo my rodzinnie pochodzimy znad Zalewu, ze Stepnicy, która – podobnie jak Trzebież, Nowe Warpno i kilka innych – była kiedyś kurortem. Tata gromadził przedwojenne zdjęcia: mola, kosze na plażach, stateczki wycieczkowe.

Teraz odradza się nam szlak marin, gdzie spędzają czas wodniacy zgodnie ze sloganem z kultowego „Rejsu”: pracujesz na lądzie, wypoczywaj na wodzie. Staramy się odtworzyć środowisko żeglarskie, które w latach 70. było tu potęgą. Moi wujkowie robili sobie żagłówki sami. Najstarszy brat ojca odnalazł w Stanach i przywiózł do Polski w sierpniu 1980 historyczny polski jacht „Dal”, który przepłynął Atlantyk w latach 30. ubiegłego wieku. Odrestaurował go i oddał do Muzeum Morskiego w Gdańsku. Tata w młodości pływał na rybakach dalekomorskich, wujkowie na zalewowych. Jako dzieciak zdobyłem patent żeglarza, po latach do żeglarstwa wróciłem, gdy zostałem marszałkiem. Pierwszy jacht kupiłem z przyjaciółmi na spółę. Może nie wyglądał, ale od małego byłem – pewnie dlatego, że mam młodsze rodzeństwo bliźniaków – samodzielny, zaradny, łódkę sam szlifowałem, lakierowałem itd. Kilka lat temu kupiliśmy większy jacht.

„SeaDOG”, jak czytałam w portalu Szczecińskie24.pl, finansowanym z Funduszu Sprawiedliwości Ziobry dla ofiar przestępstw. Kolegom Mateckiego nie podoba się, że pan pływa.

– Pierwsza nasza łódka to była lupina, nawet toalety nie miała, spaliśmy w czterech chłopa jak betki jeden na drugim. Druga „SeaDOG” była wygodniejsza, ale wymagała kapitalnego remontu. „DOG” to pierwsze litery nazwisk współwłaścicieli, jest nas czterech, powinno być „DOGG”. Tyle ten jacht remontowaliśmy, a pewnie ci, którzy nie mają żadnych pasji poza hejtowaniem, nigdy czegoś takiego nie robili. Ale gdy wypływam, to tro-ski zostają na lądzie, jak mówią żeglarze.

Czyli inwestuje pan w Zalew trochę dzięki tacie?

– Tata jest ciężko chory, całe życie był aktywny, pewnie po nim odziedziczyłem gadatliwość. Trochę czuję dumę, że realizuję rzeczy, które on miał w głowie. Rozwijamy np. system ścieżek rowerowych, jeden

z największych, najbardziej ambitnych programów w Polsce, też wokół Zalewu Szczecińskiego. Z jednej strony pięknie i zielono, z drugiej woda. Funduszy europejskich nie trzeba koniecznie „wydawać” – nie cierpię tego słowa – ale inwestować. To służy nie tylko mieszkańcom, przyjeżdżają turyści, co ożywia gospodarkę. Jak skończymy rozmowę, też wskoczę na rower albo pobiegnę. Człowiek musi być zbalansowany.

W Europejskim Komitecie Regionów jest pan ambasadorem Paktu na rzecz Klimatu, ale Europejska Partia Ludowa, do której należy PO, głosowała przeciwko Nature Restoration Law, czyli rozporządzeniu o ochronie przyrody w ramach Zielonego Ładu. Dlaczego?

– Dlatego, że to jest akt nierealistyczny, nieuwzględniający specyfiki państw. Europejska Partia Ludowa chciała, żeby w Komisji Europejskiej go poprawiono. Nature Restoration Law dotyczy nie tylko rolnictwa, ale też lasów i rybołówstwa. Concept, żeby wszystkie lasy w Europie – na północy Szwecji w okolicach Kiruny i las na Malcie – objąć tymi samymi regulacjami, narodzić się mógł tylko w szalonym umyśle. W Polsce lasy są państwowe, ale w wielu krajach w dużej mierze prywatne, właściciele mają obowiązki, m.in. kopanie rowów i ochronę przeciw pożarom, zwłaszcza na południu Europy. Ten NRL miał zakazywać wszelkiej ingerencji w środowisko naturalne. Gdy pytamy, co z pożarami, to słyszymy: jakoś to będzie. Jestem zwolennikiem ochrony środowiska, ale nie agendy narzucanej przez Timmermansa, czyli żeby człowiek nie wchodził do lasu, bo będzie szkodził. Europejska Partia Ludowa z tym się nie zgadza.

Za NRL opowiadają się naukowcy, klimatolodzy.

– Wielu naukowców też to krytykowało. Nie zgadzam się z tym, że ludzie mają żyć w miastach, a natura dla wybrańców. Zmiany trzeba robić skutecznie i logicznie. W sprawie lesistości wystarczy prosta regulacja: w każdym państwie co roku robimy bilans – lasu ma być więcej, nie mniej, i nie może być młodszy. To by zahamowało wariatów z PiS i SP, którzy wycinają polskie lasy.

Wojna nam uzmysłowiła, że trzeba oszczędzać energię. Parę lat temu postanowiliśmy zbudować nowy urząd marszałkow-

ski. Rodacy nie lubią takich rzeczy, ale wydawałem po 7-8 mln zł rocznie na wynajem. I mamy pierwszy w Polsce budynek administracji z certyfikatem pasywności, zużywa osiem razy mniej energii niż inne. Takie inwestycje powinno wspierać państwo. Ale oni najbardziej się interesują śmieciami. Za życia ministra Szyszki miałem taką historię, że do dziś nie mogę o tym spokojnie myśleć. PiS te firmy śmieciowe zawsze traktował dziwnie delikatnie.

Proszę opowiedzieć.

– Wysypisko śmieci na południu województwa miało sortownie śmieci, ale one szły od razu do dołu. Właściciele przyznali, że sortowanie jest za drogie. Kiedy wystąpili o decyzję środowiskową na 10 lat, odmówiłem, bo oszukiwali. Zrobili mi awanturę na śmieciarkach, otapetowali je hasłem: „Geblewicz, nie niszczy naszych miejsc pracy”. Mówię: dobrze, dam decyzję na trzy miesiące z dwoma warunkami. Pierwszy: ustawicie dwie wagi, jedną przy wjeździe na obiekt, drugą przy wysypisku, żebyśmy mogli was kontrolować. Drugi: zrobicie monitoring z kamer. Wtedy dostaniecie zgodę na 10 lat. Zaskarżyli moją decyzję do Szyszki. A on zmienił zezwolenie z trzech miesięcy na 10 lat i wykreślił oba warunki. Goście do dzisiaj śmieją mi się w twarz. Zapytałem na piśmie Szyszkę, dlaczego dał im pozwolenie na 10 lat, skoro nie sortują śmieci – „bo o tyle prosili”.

Teraz śmieci to już plaga i mafie. U nas największe problemy mam w Policach i koło Białogardu. Policki udaje się rozwiązywać – tu muszę pochwalić Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska, bo dał mi pieniądze. Kiedy namawiałem, żeby wsparli samorządy, na których terenie są nielegalne wysypiska, padł argument, że jeśli zaczną to sprzątać, to kolejne mafie to wykorzysta-

wiązek. Tworząc Wody Polskie, zabrano samorządom wszelkie kompetencje do zarządzania wodami.

HEJT IDZIE Z RADIA I TVP SZCZECIN

W sprawie Odry pięć nadodrzańskich województw podpisało memorandum, żeby co?

– Żeby wywierać presję na rząd PiS i żebyśmy prowadzili własne badania. Państwo ma wszystkie narzędzia, ale rząd nie zrobił nic, nadal kopalnie zrzucają zasolone wody. Nikt im nie kazał zbudować systemów odsalania. Nie ma kontroli zarządzania zlewnią, bilansowania pozwoleń na zrzuty. Teraz starosta w jednym powiecie wydaje pozwolenie na zrzut ścieków, w drugim też – i one się w ogóle nie widzą. Nie ma monitoringu. Po co powstały Wody Polskie i zarząd zlewniami? Możemy sobie kliknąć na stronie internetowej stacji pomiarowej po stronie niemieckiej – tam każdy obywatel może sprawdzić jakość wody w Odrze czy powietrza w miastach. Ale dla PiS to za trudne, choć minął rok. I dalej prowadzą inwestycje, które eksperci uznają za współwinnę zatrucia Odry.

Naczelny Sąd Administracyjny nakazał je wstrzymać, ale wiceminister infrastruktury Gróbarczyk nie słucha sądu.

– Wymyślili kanalizowanie Odry. Nasz rząd PO-PSL chciał przywrócić na Odrze III klasę żeglowności, żeby mogły pływać barki, jak w latach 70. i 80. Ale PiS chce V klasę żeglowności, żeby Odrą pływały duże statki. A Odra nie ma tyle wody. Gróbarczyk myśli, że Odrę się pogłębi, nie rozumie, że po pogłębieniu woda będzie tylko niżej, a nie będzie jej więcej. Odra nie da się tak skanaliz-

ować – to może zrobić nasz wojewódzki program „willa plus”. Koledzy założą fundację, ja skseruję regulamin Czarnka i rozdám kolegom miliony... Gdybym coś takiego zrobił, to już bym siedział. Służby wpadają do mnie do urzędu regularnie, zabierają tony dokumentów, może coś się znajdzie. To trawienie.

Czego szukają u pana?

– Pretekstem są np. fundusze unijne. Miałem też stłuczkę drogową, szeroko komentowaną. Zwolniłem, uderzyła mnie z tyłu ciężarówka. Nic się nie stało, więc odjechałem. Kierowca to zgłosił. Policjant z drogówki mówi: „Panie, obaj zachowaliście się niebezpiecznie, dostalibyście po 200 zł i koniec, ale na polecenie prokuratora generalnego sprawę przejęła prokuratura w charakterze zagrożenia katastrofą w ruchu lądowym”. W takiej katastrofie z definicji musi być zagrożone życie wielu ludzi. Przez dwa lata nie zostałem przesłuchany, ale przesłuchali ze trzydziestu moich pracowników.

Prokuratura Regionalna w Szczecinie jest znana z politycznych śledztw.

– Zabierają tyle dokumentów, żeby gdy ktoś z góry zapyta: „No co tam, towarzyszu, robicie w sprawie Geblewicza?”, mogli powiedzieć: „Działamy, działamy”. Jak za komuny. Teraz zarzuca mi się używanie samochodu służbowego do celów prywatnych, czyli przekroczenie uprawnień, art. 231 kk. A do stłuczki doszło o 8 rano na trasie z mojego domu do pracy, bo tak, używam samochodu służbowego. Czynności prowadzi, uważa, wydział przestępczości zorganizowanej i korupcji, który ma ścigać największych bandziorów. No, ale pan Matecki ma telefon do Ziobry, więc jestem permanentnie atakowany. Ten hejt jest o tyle dziwny, że emocje

FOT. SEBASTIAN WOŁOŚZ



Kiedy grałem
w zespole, to
się mówiło:
albo muzyka,
albo fabryka.
Wybrałem
„fabrykę”

ją. Dowód słabości państwa, służb, słabość wszystkiego. Służby powinny ścigać te mafie, a nie opozycję. Fundusze ochrony środowiska mają pieniądze z naszych podatków, więc wszyscy powinniśmy się domagać, żeby współfinansowały usuwanie plagi śmieci w każdej gminie. Jednym z zadań przyszłej władzy będzie przekierowanie pieniędzy, które płyną dzisiaj do parafii i firm za przyjaźnionych z PiS, na usuwanie tego typu zagrożeń.

PiS mówi, że winne są albo Platforma, albo samorządy.

– W większości to są miejsca na prywatnych posesjach, formalnie to problem osoby, która wynajęła miejsce mafii śmieciowej. My zbieramy opłaty środowiskowe, ale nie ma żadnej policji środowiskowej. Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska podlega wojewodzie, a więc władzy centralnej, nie samorządowej. I nie ma uprawnień śledczych. Ma je tylko państwo. Samorząd jest bezbronny.

Ostatnio było spotkanie w sprawie Odry. Pani wiceminister środowiska pyta: „A co samorządy zrobiły?”. Przepraszam, jeśli coś robimy, to dobrowolnie, to nie jest nasz obo-

zować, żeby był ruch jak na Renie. Poza tym PiS nie mówi, co miałyby być Odrą przewożone. W PRL spalwano węgiel do portów Szczecin – Świnoujście na eksport, a dzisiaj co? Węgiel ostatnio sprowadzamy, a nie eksportujemy.

Od 2015 prace na Odrze i Wiśle współfinansował Bank Światowy jako inwestycje przeciwpowodziowe. Uznano, że Odra musi utrzymać żeglowność na poziomie III klasy, aby mogły operować łodolamacze. Teraz Bank Światowy się wycofał, betonowanie Odry było zbyt duże. Więc to kolejna słomiana inwestycja PiS.

Może nawet afera?

– Za naszych rządów Polska żyła aferą podsluchową, mimo że nikt nic nie ukradł. W 2016 roku w Sejmie minister po ministrze z PiS mówił, ile to będzie zawiadomień do prokuratury. I nic nie ma. A teraz afery goni afery. Kto jeszcze pamięta „willę plus”, aferę śmieciową, mieszkaniową? Czy ja też mogę mieszkać w apartamencie w Warszawie na Puławskiej za 40 zł, żeby nie naciągać swojego województwa na hotel? Pokończył się teraz kilka inwestycji i dostaliśmy zwroty unijne, więc mamy jakieś pieniądze w bu-

u nas inne, mamy piękną kartę protestów w czasach komuny, Zachodniopomorskie jest otwarte, ludzie tolerancyjni.

Parę lat temu Matecki zdezynfekował wam miasto po Marszu Równości.

– W każdej społeczności znajdzie się jakiś wrzód. Tutaj każdy skądś przyjechał, tylko pytanie, w którym pokoleniu. Ja się tutaj urodziłem, ale dziadkowie ze strony taty byli z Łodzi. W czasie wojny wpadli w łapancę, Niemcy wywieźli ich do Lotaryngii we Francji, gdzie w 1944 urodził się mój ojciec. Po wyzwoleniu przez wojska amerykańskie przewieziono ich w okolice Grenoble, żeby odzyskali siły. Mogli zostać, ale wrócili. Łódź zniszczona, a brat babci, który szedł z Armią Ludową na Berlin, osiadł na ziemiach odzyskanych w miejscowości turystyczno-rybackiej Stepnica, i oni ruszyli za nim. Dziadek całe życie chciał być rybakiem, o co trudno w Łodzi. Był stolarzem, zbudował sobie łódź i chociaż kilka lat popływał, bo w 1950 zmarł na gruźlicę, na którą zapadł na robotach. Babcia została sama z czterema budrysami na pokładzie. A rodzice mamy przyjechali tu z Lubelszczyzny jako bardzo młodzi ludzie. Całe życie ciężko praco-

wali na roli, w dzieciństwie moją pasją było jeżdżenie traktorem w polu, miałem siedzisko na błotniku. Kiedy już mogłem wcisnąć sprzęgło, sam jeździłem traktorem w czasie sianokosów, a babcia z dziadkiem zbierali siano. Żyli w gminie Stepnica, za sąsiadów mieli ludzi z Ukrainy przesiedlonych w akcji „Wisła”, są tu też ludzie z terenów obecnej Białorusi, czasami Litwy. Tygiel, pewnie dlatego tu mnie przypadków faszystowskich, nazistowskich.

U nas agresja idzie z Radia Szczecin i TVP Szczecin, tam chyba opracowano technologię szczupni, którą przejęła TVP Info. Naczelnym radia jest Duklanowski, ten, który z Mateckim nakręcił atak na posłankę Magdę Filiks, co doprowadziło do śmierci jej syna. W telewizji naczelnym jest dżentelmen Dziemiańczuk, dziennikarzy stamtąd wyrzucili, ale wszystkich kamerzystów nie byli w stanie. Kiedyś podszedł do mnie jeden: „Panie marszałku, tylko niech pan nic nie mówi do tej kamery, bo i tak potną pod swoją tezę. Nie mam serca pana kręcić, a muszę. Ja jeszcze za komuny pracowałem w telewizji i takich rzeczy nie było co teraz”.

Matecki całą karierę zbudował na hejcie, kłamstwie, pomówieniach. Szczyci się pochodzeniem z patriotycznej rodziny, niby tata w „Solidarności”, a ostatnio czytam, że on sobie przyczepił tożsamość jakiegoś pana, podczas gdy jego tata był ubekiem. Na otwarciu tunelu pod Świną przyszedł z kamerą i wykrzykiwał: „Olgię, pozdrów Krzyska”. Chodziło mu o Krzysztofa F., byłego mojego pracownika, który skrzywdził śp. Mikołaja Filiksa i siedzi w więzieniu.

Kiedy pan się dowiedział, że ma coś na sumieniu?

– Kiedy został zatrzymany. Pracował wiele lat, nie przeze mnie zatrudniony. W urzędzie do żadnych czynów nie dochodziło. Informacje ze śledztwa były ściśle tajne, po zatrzymaniu został zawieszony, a po trzech miesiącach stosunek pracy został rozwiązany zgodnie z ustawą o pracownikach samorządowych. Ale ja tu byłem na drugim planie, celem ataku Mateckiego była Magdalena Filiks, mama Mikołaja – a ofiarą stał się jej syn. Czy oni myślą, że będą wiecznie rządzić i nikt tego wszystkiego nigdy nie wyjaśni?

A jeśli nie wygracie?

– Ludzie mówią, że świat się skończy – ale się nie skończy. Gdy 21 lat temu zostawałem samorządowcem, miałem taką determinację, że chociaż byłem najmłodszy, koledzy w Goleniowie zrobili mnie szefem stowarzyszenia, którym szliśmy do wyborów...

Gmina dla Obywatela.

– Tak. Wtedy powiedziałem: całego świata w naszej gminie nie zmienimy, ale wstawmy nasz wózek na dobre tory i pchnijmy, ile sił, potem inni dalej będą pchać. Zafiksowaliśmy się, że zrobimy w Goleniowie park przemysłowy, bo na Pomorzu Zachodnim było bezrobocie, a ówczesny prezydent w Szczecinie odganiał inwestorów, nie lubił obcych. I nam się udało, nasz podszczęciński Goleńów stał się prężnym miejscem, dzisiaj pracuje tam prawie 10 tys. osób, a gmina ma wielkie pieniądze z podatków.

PiS wprowadził Polskę na tory najgorsze z możliwych. W sytuacji międzynarodowej tak złych notowań nie mieliśmy nigdy. Z finansami lećmy na ścianę. Ekologia: za truta Odra, śmieci, lasy wycinane na potęgę. Edukacja: upadek, za chwilę nie będzie miał kto uczyć dzieci. Ochrona zdrowia się wali. Jestem odpowiedzialny za szpitale, więc wiem, jak im trudno zaplanować cokolwiek na rok do przodu. Coraz trudniej będzie z tych torów zawrócić, bo budują mechanizmy, żeby nikt inny w przyszłości nie mógł wygrywać wyborów.

NIE JESTEM IKAREM

Skąd pan się wziął w samorządzie?

– Długo trzymałem się daleko od polityki, ale tata był radnym i przynosił do domu wiedzę o samorządzie. Byłem zwierzęciem społecznym, całą młodość, liceum i jeszcze po

studiach muzykowałem. Mam pozytywne ADHD, pomysły, jestem uparty.

Z kim pan muzykował?

– Grywałem na gitarze z muzykami, którzy do dziś są aktywni na scenie ogólnopolskiej. Nie chcę ich wciągać w politykę. Przyjąłem strategię, że nawet jak zrobię sobie z nimi zdjęcie, to do archiwum prywatnego. Wielu artystów uważa, że nie są od wyrażania poglądów, chociaż je mają – ale coś w nich pęka, coraz częściej je manifestują, ludzie chcą się opowiedzieć po dobrej stronie, zaczynają czuć współodpowiedzialność.

Co pan grał?

– To, co się grało w latach 90., głównie rocka w klimacie Seattle, zespołów z nurtu grunge, Soundgarden, Alice in Chains, Faith No More, ale słuchałem też jazzu, bluesa, heavy metalu... Fajny okres, wielkie marzenie. I też poczucie odpowiedzialności, bo jak się wychodzi w piątkę na scenę, a ktoś ma słabszy dzień, to położyć robotę wszystkich. Do dziś lubię słuchać młodych muzyków, utalentowanych bardziej niż ja, którzy grają na tym przepięknym instrumencie, a ja zagram czy zaśpiewam czasem dla beki albo przy okazji koncertów charytatywnych. Z wieloma muzykami jestem w przyjaźni. W tym roku się nie udało, ale przez dwa lata odbywały się w Szczecinie gale Fryderyka, cieszę się, że z Jurkiem Owsakiem robimy Pol’and’Rock u nas w Czaplinku...

No ale chyba pan powie, z kim pan grał.

– Najwięcej z zespołami ze Szczecina. W latach 90. największy sukces oczywiście odniósł Hey, nasi przyjaciele do dziś są aktywni, chociaż grają już osobno, z Kaśką na czele. Często grywaliśmy z Pogodem i śp. Budyniem. Do dzisiaj gram z moim przyjacielem Jarkiem Chilkiewiczem, który mnie dużo nauczył, a grał z wieloma artystami: Kasią Kowalską, Urszulą, Braćmi... Ale nie chcę o tym dużo mówić, żeby ktoś nie poczuł dyskomfortu, bo jestem już po stronie polityki. Kiedy graliśmy, to się mówiło: albo muzyka, albo fabryka. Wybrałem „fabrykę”. Wszystkie protest songi są o tym, żeby nie wierzyć politykom, jak śpiewał Tomek Lipiński.

Pan też był przeciw politykom?

– No tak. Jak zaczynałem, to jeszcze się grało przeciw komunie. Potem długo byłem w zespole Fluid Film – nazwa nic pani nie powie – ze wspaniałym wokalistą Maciejem Silskim, który potem wygrał „Idola”, ale nie zrobił takiej kariery, na jaką zasługuje. Nie było już Jarocina, ale wygraliśmy festiwal w Węgorzewie w 1997, miała być płyta, kontrakt, ale organizator popadł w problemy finansowe i nie pykło. Nie każdemu wychodzi, ale warto być koło muzyki. Dużo strun zerwanych. Do niedawna co chwila kupowałem jakąś gitarę. Lubie takie z charakterem, niekoniecznie nowe, wciąż gdy widzę piękną gitarę, zwłaszcza z lat 70. czy 80., trudno mi przejść obojętnie.

Ile ma pan gitar?

– Kilkanaście, ja się z gitarami nie rozstaję, nawet jak nie gram, to leżą cierpliwie w szafie w futerałe. Moją pierwszą profesjonalną brat mi przywiózł z Ameryki – washburn, handmade in the USA, wyścigowa do szybkiego grania. Najstarszą gitarę mam japońską arię z 1973, oni produkowali wtedy ciekawe podróbki gitar amerykańskich, fajnie brzmiący instrument. Mam trochę klasyków, fendera telecastera, fendera stratocastera – ja bardziej fenderowo grałem. Mam jednego gibsona, les paula juniora... Dwie moje córki ukończyły szkołę muzyczną, trzecia najmłodsza też wyrasta na gwiazdę śpiewu. Mamy czasem akcję muzykowania.

Pan też skończył szkołę muzyczną.

– W klasie fortepianu. Byłem chyba najgorszym uczniem, za wytrwałość dostałem dyplom końcowy, bo talentu we mnie nie było i może nie pasowałem do systemu nauczania w polskich szkołach muzycznych. Najpierw ćwiczyłem tylko w szkole i w sklepie z instrumentami Centrali Handlowej Prze-

mysłu Muzycznego. Lata 80., wszystko na kartki, nie było nic. Rodzice kupili mi wydrukowaną klawiaturę, tata nakleił ją na sklejkę i grałem, wyobrażając sobie dźwięki. Potem babcia Marysia – ta, która pracowała na roli – ufundowała mi pianino, pięknie zdobioną calisię, dzisiaj moje córki na niej grają. Bo ja po szkole pianino zamknąłem, przesiadłem się na gitarę. A potem przyszła polityka.

Miałem 28 lat, gdy w gdańskiej Hali Oliwii zapisałem się do Platformy. Pracowałem wtedy – chociaż z pierwszego zawodu jestem prawnikiem, z drugiego ekonomistą – w firmie wodociągowej, która współpracowała z wieloma gminami. Jako młody kierownik działu sprzedaży jeździłem, negocjowałem z radnymi, burmistrzami, wójtami stawki opłat za wodę itp. I patrzyłem na swoją gminę, a w tej radzie tylko każdy szarpie w swoją stronę, nic do przodu. Korciło mnie, żeby to zmienić. Poznałem fajnych ludzi i tak sobie siedzieliśmy na ławce nad rzeką w parę osób, które nic nie mogą...

Ty nie masz nic, ja nie mam nic...

– Właśnie, ale nie chodziło nam o własne kariery, tylko o to, co nam się nie podoba. Ponad 10 lat ludzie w gminie gadają, żeby był u nas park przemysłowy, a to się samo nie robi. I w moim 35-tysięcznym Goleniowie zawiązaliśmy stowarzyszenie, miks ludzi w różnym wieku. Był rok 2002, pierwsze bezpośrednie wybory do samorządów – i my je wygraliśmy. Powiedziałem: koniec klótni, każdy dostanie jakąś funkcję, ale musi podpisać z nami tzw. pakt dla gminy. Napisałem chyba pięć punktów, w tym powstanie parku przemysłowego. Mogłem zostać wiceburmistrzem albo przewodniczącym rady, ale mówię: halo, jestem pierwszy raz radnym, nie będę pajacował. Zostałem szefem komisji budżetowej i szefem ugrupowania, które miało sześciu radnych, a jak kończyliśmy kadencję – 14 radnych na 21. W polityce ludzie są ambitni – i dobrze – ale wielu Ikarów leci na oślep jak najwyżej i jak najszybciej. Ja inaczej. Zacząłem od tego, że przez cztery lata nie opuściłem żadnej komisji ani sesji, a pracowałem w trzech komisjach, po godzinach pracy.

Moje stowarzyszenie dalej wygrywało wybory, mogłem zostać starostą, ale namówiono mnie na start do sejmiku – żeby Goleniów miał tam kogoś. Zaraz potem – żebym startował do Sejmu. W 2007. Odmówilem, bo awansowałem w pracy i w szczecińskim Zakładzie Wodociągów przejąłem do zrealizowania drugi największy po Czajce projekt wodociągowo-kanalizacyjny w Polsce i tej części Europy, „Pomorzany”. Inwestycja za 1,2 mld zł, kilkanaście kontraktów. Szczecin i Warszawa były wtedy jedynymi dużymi miastami w Polsce, które nie miały oczyszczalni, więc trochę się ściągaliśmy z Czajką, no i nam w 2010 udało się skończyć ten projekt, rozliczyć go bez uwag ze strony Unii. 13 lat pracowałem w tym sektorze.

ZBUDUJEMY PAŃSTWO PARTNERSKIE

Teraz od 13 lat jest pan marszałkiem.

– Namawiano mnie jeszcze wcześniej, ale też odmówilem. W końcu mówię: dobra, leć, chociaż nie wiem, czy nie walnę za szybko o ziemię. W pierwszej kadencji wracałem do domu o 22, zacząłem popadać w depresję, bo nie mogłem się wygrzebać z pracy. Musiałem się nauczyć tego urzędu, zdelegować zadania, oddzielić realne od nie-realnych. Teraz, w trzeciej kadencji, już się czuję pomału dinozaurem samorządowym. Cała grupa ludzi ciężko na mnie pracuje – jak w pilce nożnej, jeden napastnik, a ileś osób mu podaje piłki. Parę lat temu wybrało mnie na prezesa zarządu Związku Województw RP, mimo że jestem z dalekiego Szczecina. Po drodze doszedł Europejski Komitet Regionów.

Może taki powinien być kiedyś parlament Europy?

– Europejski Komitet Regionów to bezpośredni most między Unią a obywatelami, ta-

ki europejski parlament samorządowców, 330 członków. Promujemy ideę unijną czasem wbrew populistycznym, antyeuropejskim rządom. Język Unii jest suchy, technokratyczny, my przekazujemy skomplikowane rzeczy językiem przyjaznym, zrozumiałym dla mieszkańców.

Budują mechanizmy, żeby nikt inny w przyszłości nie mógł wygrywać wyborów

Od lat tłumaczę politykom w Europie, że demokracja europejska to nie tylko Parlament Europejski i rządy narodowe. My, burmistrzowie, radni, prezydenci miast, mamy tak samo mandat demokratyczny. W interesie Europy jest budowanie szybkiego łącza między miastami i regionami a Europą. Populiści rządzą nie tylko w Polsce. Jak jest sukces za fundusze unijne, to mówią: dzięki nam. A gdy mają problemy – nawet jeśli Unia nie ma z tym nic wspólnego – obarczają ją winą. Na mocy traktatów Komisja Europejska nie ma kompetencji w ochronie zdrowia, to domena państw narodowych – ale populiści mówili: Unia zawiódła, nie ma szczipionelek. Na otwarcie tunelu na zakopiance PiS nie zaprosił przedstawiciela Komisji do mikrofonu, chociaż 85 proc. funduszy dała Unia. Z tunelem pod Świną musieliśmy przypominać: halo, rządzie, złotówki nie daleście, pieniądze dały nasze miasto i Unia. Tu chociaż przedstawiciel Komisji mógł coś powiedzieć, a mnie posadzono z przodu dzięki prezydentowi Świnoujścia. Gdyby nie Janusz Żmurkiewicz, siedziałbym za pisowcami w jakimś 17. rządzie, a, nieskromnie powiem, mam zasługi w tym, że ten tunel tu i teraz powstał.

W 2014 podpisał pan pierwsze porozumienie z prezydentem Świnoujścia.

– Przekonałem pana prezydenta, że zostały mi fundusze UE z poprzednich lat, mogę ich użyć do finansowania dokumentacji, abyśmy byli gotowi na perspektywę funduszy unijnych 2014-20. Gdy rządy przejął PiS, dzięki tej dokumentacji budowa tunelu ruszyła.

Na otwarciu siedział pan koło Kaczyńskiego, mówił, że niezdolność działania to już historia.

– Jak PiS coś mówi, to jest dokładnie na odwrót. Ale nie gadałem tam z nikim, poszedłem się przebiec z mieszkańcami pod tunelem, jedyna taka okazja. W budowie tunelu pod Świną jedyną zasługą rządu PiS jest to, że rozpatrzył pozytywnie wniosek Świnoujścia w konkursie, który ogłosił rząd Platformy.

Często na poziomie lokalnym czy regionalnym szybciej coś wychodzi niż sterowane centralnie. W ludziach na dole jest determinacja, łatwiej wszystkiego dopilnować. Między powiatami, miastami, regionami jest dobra konkurencja, my się nawzajem podpatrujemy, staramy się patrzeć innowacyjnie. A kiedy już zbudujemy państwo partnerskie, w którym władza nie traktuje obywateli, organizacji pozarządowych, firm jak poddanych i pacholków – parę dziedzin bę-

dzie funkcjonowało lepiej na poziomie regionalnym.

Które?

– Znowu wzorce Skandynawii. W ochronie zdrowia nie ma systemu idealnego, ale Szwecja i Dania mają dobre rozwiązania. Tam to jedna z głównych odpowiedzialności władz regionalnych. Nie jakiś NFZ zarządzany centralnie, ale samorządy dostają składki zdrowotne obywatela i odpowiadają za dostarczenie mu usług publicznych na najwyższym poziomie. W Danii już liczą nawet, czy lepiej, żeby pacjent przyjeżdżał do szpitala i leżał trzy dni, czy żeby przez te trzy dni lekarz przyjeżdżał do niego do domu i tam go zaopatrywał, bo pacjentowi wygodniej, a dla szpitala taniej.

My mamy szpitale rozproszone, które często słabo leczą na poziomie powiatowym, a brakuje np. miejsc opieki długoterminowej przy starzejącym się społeczeństwie. W Skandynawii wysokospecjalistyczne jednostki leczą ciężko chorych, a szpitale powiatowe prowadzą m.in. opiekę długoterminową. Kiedyś nie było dróg, szybkiego dojazdu, dzisiaj mamy dobrze działające pogotowie ratunkowe. Czasem broni się np. kardiologii w szpitalu powiatowym, ale kiedy w rodzinie starosty komuś serce źle bije, to jedzie do szpitala wysokospecjalistycznego.

Żałuję, że w Polsce nie obroniły się kasy chorych, wprowadzone przez Jerzego Buzka. Nie zgadzałem się w tej sprawie ze swoją partią, a ostatecznie zlikwidował je Leszek Miller. Błąd. Dzisiaj dyrektorzy szpitali co miesiąc dostają inne wytyczne od NFZ, a przecież szpitale to firmy, które powinny planować na 10 lat – w jakie oddziały inwestujemy, jak to finansować. Nie da się inaczej tego systemu uzdrowić, jak z powrotem dać większe kompetencje samorządowcom.

Platforma bierze to pod uwagę?

– Nie wiem, może ktoś wpadnie na lepszy pomysł. Ale zdrowie to, po inflacji, największa bolączka Polaka.

Zle jest też finansowanie szkolnictwa wyższego. Przyszeli do mnie kiedyś przedsiębiorca, miał na najwyższym poziomie park maszyn obróbki skrawaniem CNC, cyfrowych, i potrzebował inżynierów: „Pan jest odpowiedzialny tutaj za gospodarkę regionalną, weź mi pan wytłumacz, dlaczego wy nie kształcicie inżynierów. Nawet za komuny, jak budowali zakłady chemiczne w Policach, to na Politechnice utworzono wydział chemii, żeby miał tam kto pracować”. Miał rację. Władze regionalne odpowiadają za stymulowanie rynku pracy, przyciąganie inwestorów itd., więc konieczne jest dostarczanie kadr, ale na to nie mam wpływu, to się ustala na linii rektor – minister. Ale nie wszystko musi zależeć od Warszawy.

Pan się nie wybiera na pierwszą linię frontu?

– Warszawskich planów nie mam, dostawałem propozycje startu do parlamentu, ale zawsze się czułem samorządowcem, na dużą politykę może będzie czas. Jestem na Pomorzu Zachodnim szefem PO, mam tu silne osobowości, polityków, którzy robią fantastyczne wyniki w wyborach: Bartosza Arłukowicza, Tomasza Grodzkiego, Sławomira Nitrasa, Magdalenę Filiks, Arkadiusza Marchewkę, Grzegorza Napieralskiego – więc ustawiłem się trochę w roli koordynatora i szefa sztabu.

W dużych państwach, np. w nieco większej od nas Hiszpanii, pozycja władz lokalnych i regionalnych jest ogromna. Mam przyjaciół z Partido Popular, partii, która wygrała ostatnie wybory. Rząd ma konstruować Alberto Núñez Feijóo – mój kolega, który przez 17 lat był prezydentem regionu autonomicznego Galicja. W wielu krajach o ustabilizowanej demokracji władze regionalne często przejmują stery odpowiedzialności na szczeblu krajowym, po czym muszą się liczyć z regionami. Lokalni politycy są dla wyborców bardziej wiarygodni, u nas też wielu ma wyższe zaufanie niż Kaczyński czy Ziobro, i to też jedna z rzeczy, która PiS drażni. ●

GÓWNIARYZACJA POLSKI

Jak jest normalnie, to władza dziękuje artystce, że zwraca uwagę na palący problem. No, ale jesteście w Polsce

Ziemowit Szczerek

Agnieszka Holland zrobiła coś, co zazwyczaj robią artyści na całym świecie, przynajmniej tym, do którego aspirujemy, a nawet, którego czujemy się częścią: do wolnego świata Zachodu. Czyli nakręciła film o tragicznych wydarzeniach, których aktualnie jesteśmy świadkami, i w wyniku których giną ludzie. Władza, która w rzeczonym wolnym świecie Zachodu, zgodnie z duchem wolności i demokracji, powinna dziękować artystce za krytykę i wyciągać z niej wnioski, starając się być najbardziej humanitarną, jak się da, sięgnęła po gówniarskie inwektywy i obrzucanie szlamem. I to szlamem nazistowskim.

Bo cóż: oto Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości, na przykład, zaczął porównywać twórczość Holland do twórczości propagandzistów III Rzeszy, wyciągać winy przodków, przypisywać złośliwe intencje, a wszystko to jest, wiadomo, jakże bardzo zgodne z duchem prawniczych zasad in dubio pro reo i praesumptio boni viri, czyli w razie wątpliwości rozstrzygania na korzyść oskarżonego i domniemania dobrej woli, którymi kierowano się już dwa tysiące lat temu w Rzymie i które stanowią bazy kodeks etyczny naszej cywilizacji, czy to na sali sądowej, czy to w życiu codziennym. Słowem: minister sprawiedliwości RP zaszczuwa, pomawia i w ogóle dopuszcza się sprzecznego z duchem prawa ataku na obywatelkę własnego kraju, której, jako rzeczony minister właśnie, powinien bronić.

To dość typowa narracja na prawicy. Hitler, naziści i tak dalej ścielą się gęsto w wypowiedziach i wpisach prawniczych działaczy, a ja przypominam sobie, jak jeszcze parę lat temu, i nawet skutecznie, sami sobie zabranialiśmy porównywania działań populistycznej, skrajnie prawicowej władzy do działań hitlerowców w III Rzeszy, choć niektóre mechanizmy, jak wiecie nienawiści, podporządkowywanie sądownictwa „interesowi

narodowemu”, a w rzeczywistości interesowi partii, szcucie na mniejszości itd. jako żywo mogły się kojarzyć z tamtymi czasami. Co zresztą – koniec końców – wypunktował podczas rocznicy wyzwolenie obozu w Auschwitz jego były więzień, dziennikarz i historyk Marian Turski. Przypominał wtedy, że „Auschwitz nie spadło z nieba”, a było efektem pewnego przygotowania gruntu, bardzo podobnego do tego, co w narracji populistycznej prawicy dzieje się dziś. Ale cóż – przypominał, strona opozycyjna raczej nie nadużywa argumentum ad Hitlerum, przynajmniej w ramach oficjalnego dyskursu. PiS nie ma z tym problemu. Podjął skierowany w swoją stronę, ale porzucony na ziemi cep i wali nim na oślep. Minister – nie minister.

I nikogo na rzeczonej populistycznej prawicy nie interesuje, że nikt inny, jak szef kampanii PiS i europosel tej partii publikuje rasistowski i zwyczajnie głupi tweet prorosyjskiego i posługującego się mową nienawiści profilu twitterowego RadioGenoa, którego autorzy zmontowali film porównujący białych ludzi wypożyczających na jednej z europejskich plaż przed II wojną światową z „dzikim” tłumem ciemnoskórych migrantów. I pisze Brudziński, że „Polska w 2023 roku



czą do zatrzęsniętej na głucho Polski. Serio, tak napisał: „My nie wpuszczymy NIKOGO”. Jeszcze niedawno tak głupie teksty wygłaszali tylko ludzie pokroju Roberta Kononowicza, który zapewniał solennie, że „niczego nie będzie”.

problemów z policją natomiast nie ma z jakiegoś powodu posel Grzegorz Braun z Konfederacji, który, mimo ewidentnego wtargnięcia na niepodobający mu się, bo niespecjalnie spójny z nacjonalistyczno-konserwatyw-

mującego się z jego nazwiskiem granatnika, ale warto pamiętać, że dla przeciętnego obywatela RP, który odpaliłby w miejscu pracy taki granatnik i uszkodził poważnie budynek, konsekwencje takiego czynu nie skończyłyby się wyłącznie na plasterku naklejonym na ucho. Szymczyk jednak nie ma problemu, żeby opowiadać publicznie o tym, że to on w tym całym wydarzeniu jest ofiarą. I tak dalej.

Premier Morawiecki wygaduje bzdury o tym, jak broni Polski przed Berlinem, Brukselą, Kijowem i Donaldem Tuskiem, co dziś wywołuje jedynie uśmieszek na ustach komentatorów, a nie kończy się politycznym trzęsieniem ziemi: co by nie mówić, wszystkie trzy wymienione stolice to stolice naszych sojuszników, którzy wspierają się wzajemnie w wojnie Kijowa z niewymienioną przez Morawieckiego w tym zestawieniu Moskwą. I co z tego? Jak mówił klasyk, Jacek Kurski – „ciemny lud to kupi”. I sam fakt, że gdy po słowach tak jawnie ogłaszających własnych wyborców idiotami rzeczony Kurski nie tylko nie skończył swojej politycznej kariery, ale długo kierował telewizją publiczną, powinien być nas ostrzec, że czasy idą jeszcze gorzej. Bardziej głupie i jeszcze bardziej gówniarskie. I przyszedł. ●

Minister sprawiedliwości RP zaszczuwa, pomawia i w ogóle dopuszcza się sprzecznego z duchem prawa ataku na obywatelkę własnego kraju, której powinien bronić

przypomina jeszcze Bogu dzięki Europę z 1936 roku”, wychwalając czasy, gdy w Europie utrwał się hitlerowski nazizm, faszyzm Mussoliniego i inne duszne, ciężkie konserwatywno-faszystowskie -izmy, i gdy rasizm i nienawiść wobec mniejszości były tak rozchulane, że w krótkim czasie doprowadziło to do przemysłowych mordów ludzi. Jeszcze niedawno takie teksty jak ten Brudzińskiego uznane by były za mowę nienawiści, a polityk je wygłaszające musiałby przeproszać. Co najmniej. Dziś przechodzą w zasadzie bez echa. A po chwili kolejny hit: premier Mateusz Morawiecki zapowiada na Twitterze, że rządy PiS „nikogo” nie wpusz-

Itak to się kręci. Idiotyzmy, które padają ze strony rządzących, wytwarzają nowe standardy. I tak, na przykład, Sebastian Kaleta, sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, wbrew faktom może sobie gadać, że zatrzymanie przez policję posłanki Koalicji Obywatelskiej Kingi Gajewskiej, do którego doszło w Otwocku podczas spotkania premiera Morawieckiego, wynikało z faktu, że policja nie została poinformowana o tym, że Gajewska jest posłanką, mimo że każdy, kto włączy sobie nagranie z tamtej akcji, na własne uszy słyszy, że policjanci byli o tym przez świadków zdarzenia informowani na bieżąco. Specjalnych

nymi poglądami posła, wykład w Żydowskim Instytucie Historycznym i mimo agresywnego przerwania tego wykładu, został potraktowany przez funkcjonariuszy bardzo grzecznie. A środków przymusu bezpośredniego, takich na przykład jak podjętych wobec Gajewskiej, wobec niego nie zastosowano.

Policja nie interweniowała nawet wtedy, gdy skrajni nacjonaliści od dawnego lidera nacjonalistycznego Marszu Niepodległości Roberta Bąkiewicza, startującego dziś, notabene, z list PiS, zakłócili wiec prounijny na Pl. Niepodległości w Warszawie. Nie ma co wspominać nawet sprawy komendanta policji Szymczyka i ry-



FOT. AGNIESZKA KUBLIK

PO PRAWDZIE

A gdzie nasze billboardy?

12 proc. ankietowanych nie wie, czy pójdzie na wybory, a co dziesiąty z tych, którzy chcą oddać głos, nie wie, kogo poprze.

Agnieszka Kublik



Podlasie, mała wioska, w sumie w całej gminie około 4 tys. uprawnionych do głosowania, w samej wsi – ze 2 tys. Przejeżdżam główną drogą.

W takim jakby centrum – bank, kilka sklepów, apteka, bar, przystanek PKS – siedem plakatów wyborczych. Sześć PiS, jeden Koalicji Obywatelskiej, zresztą trudny do identyfikacji, bo niemal w polowie zasłonięty przez dywan pana handlującego starzyzną.

Zagaduję przechodnia, pokazuję ten szpaler z sześcioma billboardami PiS.

– Zaplacili, to powiesili – ucina.

No tak, ale przecież KO też za to by zapłaciła?

Jadę dalej. Tylko przy głównej drodze naliczamy 22 billboardy. 20 PiS i dwa KO.

W 2007 r., kiedy po dwóch latach upadła IV RP, PO wygrała w całej Polsce z wynikiem 41,51 proc. PiS dostał 32,11 proc. Ale w tej podlaskiej gminie ugrał aż 51 proc. PO dostała 15 proc. i przegrała także z PSL, które miało 21 proc. poparcia.

W 2011 r. PiS wygrał tu z wynikiem 42 proc., PSL dostał 27 proc., PO – 16 proc.

W pamiętnym 2015 r. PiS również był zwycięzcą: 49 proc., PSL – 24 proc., PO – 8 proc.

W 2019 r. PiS triumfował: aż 64 proc., KO – 12 proc., PSL – 11 proc.

Przegwizdane? Szkoda czasu i sił, bo tu walka o głosy to krew w piach? Otóż z sondaży wynika, że choć PiS na wschodzie wciąż jest potężny, to w tym regionie aż 12 proc. ankietowanych nie wie, czy pójdzie na wybory, a co dziesiąty z tych, którzy chcą oddać głos, nie wie, kogo poprze.

Jarosław Kaczyński w pełni rozumie, jakie zagrożenie kryje się za tymi pozornie skromnymi liczbami. Zagrożenie i szansa. – Przekonanie nawet niewielkiej części przybliży nas do wygranej nawet wówczas, gdy wszyscy inni przekroczą próg wyborczy – przekonywał na jednym z wieców.

Billboard wyborczy to prosty i tani sposób na dotarcie do ewentualnego wy-

borczy. Nawet nie trzeba się przy nim na pracować, bo nie musi być – jak w przypadku nowego majonezu czy kampanii społecznej – dowcipny, pomysłowy, błyskotliwy, intrygujący. Ma tylko utrwalić imię i nazwisko kandydata, skojarzyć z partyjną listą i numerem na liście. Całe zadanie PR-owca to dobrać zdjęcie tak, by sprawiało na nas wrażenie, że mamy kontakt wzrokowy z kandydatem. Że patrzy nam prosto w oczy.

Jak pisze Sergiusz Trzeciak, ekspert od marketingu politycznego, w książce „Drzewo kampanii wyborczej, czyli jak wygrać wybory”, billboard jest dobry dla wszystkich kandydatów i dociera do wszystkich wyborców. Bo trafia nawet do tych, którzy wyborami się nie interesują, i tych, którzy żyją w swoich społecznościowych bańkach. Billboard to nie wyskakujące okienko w przeglądarce czy na YouTube, które można zablokować, ani reklama w telewizorze, którą można przełączyć.

Te PiS-owskie, gęsto porozwieszane billboardy to strzał w dziesiątkę. Rozmieszczone tak, że nie sposób ich nie zauważyć. Portrety ogromne. Kandydaci podążają za nami wzrokiem przy głównej drodze. Oświetlone. Nie konkurują z innymi komercyjnymi plakatami.

A do tego każdy z kandydatów ma jakieś swoje hasło: „Blisko ludzkich spraw”, „Dumni z Podlasia”, „#kocham podlaskie”, „Bezpieczna przyszłość Podlasia”.

Skąd taka rażąca dysproporcja?

PiS się przechwala, że na kampanię wyda „tyle, ile będzie zgodne z prawem”. Czyli wszystko jasne, partię rządzącą stać, na dobrą sprawę ma do dyspozycji wszystkie zasoby państwa.

Ale, ale...

Przed czterema laty PiS i KO w kampanię wpompowały po mniej więcej 30 mln zł, czyli prawie wszystko, co miały i ile mogły.

– W tej kampanii będziemy poruszać się w podobnych widelkach – zapowiedział Radosław Fogiel, były rzecznik PiS.

PO też chce wykorzystać swój limit, czyli właśnie około 30 mln zł.

Więc chociaż jedni mają na usługach publiczną telewizję i radio oraz nielimitowany dostęp do publicznych pieniędzy, a drudzy nie, to akurat na billboardy mają wszyscy.

KO uznała, że tu, na wschodzie, nie warto zabiegać o głosy?

PiS czuje, że głosy oddane na wsi mogą być kluczowe dla ich trzeciej kadencji. Ale Koalicjo, wszak to działa w obie strony!

To tylko mały wycinek kampanii wyborczej, wiem, zapewne niereprezentatywny.

Jednak daje po oczach. Oczach wyborców. ●

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Ostatni dzień wakacji

Janusz Rudnicki

Rano zanosilo się na dobrze, mocne słońce, czyste niebo, powiedziała, pojedziemy z nią do weterynarza dzisiaj, co? Nalegała już od jakiegoś czasu, ociągałem się, po co z zezem od razu do weterynarza, ale ona nie, jedziemy, jedziemy, trzeba sprawdzić, to może być nowotwór lub jaskra. Miała kota na punkcie tej kotki, może dlatego, że ta chodziła za nią jak pies. Ona z mieszkania, Znajda za nią, ona na ulicę, Znajda za nią, raz aż do sklepu, czekała, aż wyjdzie.

Nie chciałem, powiedziałem, że-by jechała sama, jej stary samochód nie ma klimatyzacji, a mnie gorąc zabija, ale nie, nie, pół godziny drogi, poczekam na nią w aucie i już, będzie szybko, a potem pokaże mi dziką plażę, będziemy sami, wie przecież, że mam mizofobię.

No dobrze, kotkę do klatki, ruszamy i już na pierwszym biegu głośny, przeciągły miauk, a biegów pięć. Na drugim coś jak krajalnica do chleba, dalej pila tarczowa, na piątce poznałem, co to kocie piekło.

I nagle...

Jeśli zgodzimy się z tym, że życie nasze jak bieg przez plotki, to napotkamy za wysokie. Na przykład trzy kombajny nagle przed nami. Jazda 20 na godzinę, w samochodzie od asfaltu stopni 45. Nie skręca, będą jechać tam gdzie my, bo droga jak matka, tylko jedna. Ona na gorąc odporna, bo go polubiła, ja jak bitka wieprzowa w pocie własnym. A teraz kombajny, przejazd kolejowy i szlaban, stoimy. Kiedy wali się wszystko, śpiewam ostatnią zwrotkę Mazurka, z tym ojcem zapłakany i Basią, ale do „tarabanów” nie dochodzę, ona mi przerywa. Nie może ścierpieć, kiedy ktoś przy niej śpiewa lub gwizdże, więc wychodzę z tej starej mydelniczki i drę się, ale niemo, więc wyglądam jak zdjęty z obrazu „Krzyk”. Wyjechalibyśmy parę minut wcześniej lub nieco później, ale nie, wyjechaliliśmy akurat tak, że-by się nadziać.

Szlaban się podnosi, włączemy się, trochę chłodniej, chmury się robią i kiedy skręcamy na drogę do weterynarza, wybucha burza. Leje tak, że widać nic, znowu stoimy, w samochodzie parno, uchylam okno, ona krzyczy, że nie, i ma rację, woda się wlewa.

W środku źle, na zewnątrz gorzej i kiedy trochę mniej leje i chcę ruszyć, ona przypomina sobie, że esemesa musi napisać, a w czasie jazdy nie umie, niedobrze jej się robi, stoimy. Piszę jednym palcem, dziobie ten ekran jak kura ziarna, kot wyje, nie mogę już, chcę przystąpić do hymnu, ale też nie mogę, przypominają mi się brzoskwinie, zaczynam o nich myśleć, pomaga.

Jedziemy, wycieraczki ledwo nadążają, gubię drogę, kręcę się dookoła i nagle muszę hamować. Bo przede mną kombajny. Te same. Nie wytrzymałem, musiałem dokończyć: Słuchaj jeno, pono nasi biją w tarabany.

Powiedziała, nienawidzę cię.

Ciemno już było, kiedy stanęliśmy pod szyldem „Folwark zwierzęcy”. W oknach przechodni też ciem-

no, dzwoniła, waliła w drzwi, niko-go.

Wracaliśmy, nie mówiąc nic, kot wiadomo, co robił.

Znowu przejazd, szlaban, wyszedłem z auta i nagle jej przeraźliwy krzyk, Znajda wyskoczyła za mną i uciekła. Pod „Folwarkiem” dała jej wodę i źle zamknęła kłatkę. Pobiegła za nią, jej wołanie „Znajda, Znajda” i piekielny huk przejeżdżającego pociągu, nie zapomnę.

Wróciła jak w gorączce, światło latarki w telefonie za słabe, w bagażniku miała latarkę czołową, nałożyła na głowę i powiedziała: co, będziesz tak stał? I ruszyła. Zamknąłem auto i za nią, szła przodem, odwróciła się do mnie i powiedziała, że jakbym nie wyszedł, to nie by się nie stało. Potem znowu się odwróciła i zapytała, dlaczego ja nie wołam, nie chciałem, nie umiem wołać, przywoływać kota, sam nie wiem dlaczego, może... No nie wiem, może mnie to jakoś poniża? I to jeszcze kota z zezem, nie wiem jakim, rozbieżny, zbieżny czy oba te na raz. Tą latarką czołową świeciła mi prosto w oczy, powiedziałem, że-by się do mnie nie odwracała, zrozumiała, że nie mogę już na nią patrzeć i jeszcze bardziej rzuciła zaczęła we mnie słowami, jeszcze bardziej mnie osłepiając snopem z głowy, jak oskarżony na przesłuchaniu, tak się czulem, krzyczała, że nie jest jeszcze stara, a męczy się z takim bioodpadem jak ja, powiedziałem, żebyśmy się rozeszli, większa będzie szansa, że ją znajdziemy, odwróciła się w trybie natychmiastowym, a ja natychmiast poczułem ulgę, przestała mnie osłepiać.

Patrzyłem na niebo, bo gwiazd na nim było pełno i poczułem się, jakbym był... Wstyd się przyznać, ale jakbym w brzuchu mamy był. Miała czarną sukienkę, a na niej cekiny, tandetne cekiny na prowincji w PRL-u, złote lata sześćdziesiąte, i jak pani namalować kazala kredkami niebo w nocy, to namalowałem ją, w tej sukience, i na pytanie, kto to, powiedziałem, że to Pani Niebo. Jej mąż ją dla niej kupił i odszedł, zanim zdążyła przymierzyć, a ja podrosnąć, po paru latach dopiero ubrała ją po raz pierwszy, na jego pogrzeb, żeby mu się lyso zrobiło.

Migotała mi z oddali, ja jej na pewno też, jak robaczki świętojańskie w tym dzikim lesie my, zamiast na dzikiej plaży. Żal mi się jej zrobiło, ale dopiero z oddali. Mi z oddali wszystkich żal, bo kiedy blisko, to już tak nie. Dlatego myślałem wcześniej o brzoskwinia, kupiliśmy kiedyś i położyłem je w szali jedna na drugą, no i zaczęły się psuć, miała pretensje i miała rację, one nie mogą się dotykać, wtedy szybko gniją. Myślałem o tym, że tak jest też czasami z ludźmi, kiedy łączą się w pary.

Wróciłem do auta pierwszy, Znajda siedziała przy nim. ●

Z LESZKIEM LICHOTĄ*
ROZMAWIA AGA KOZAK

Szalenie wzruszył mnie nowy „Znachor”, ale ja chyba mam do tego rodzinną predyspozycję: mój ojciec i dziadek to chirurdzy. Do tego dziadek, niczym twój bohater, też był mężczyzną niewiele słów...

– Ja to w moim bohaterze bardzo lubię.

Powściągliwość?

– Raczej brak zbędności. Powściągliwość kojarzy mi się z gryzieniem się w język: coś bym chciał, ale się wycofam. A moja postać w „Znachorze” po prostu nie robi zbędnych, niepotrzebnych i banalnych rzeczy. Mam wrażenie, że w jakiś sposób tę historię wszyscy znamy i właśnie za to ją lubimy, za tego faceta, który ma zestaw wszystkich najlepszych naszych ludzkich cech.

Jakich?

– Nie narzuca się. Jest pokorny i uważny, słucha ludzi, jest empatyczny, uczciwy, bezinteresowny. Ma te wszystkie cechy, które sami byśmy chcieli mieć, ale często nie stać nas na to, na taki komfort bycia dobrym. Było naprawdę fajnie być nim przez chwilę, bo musiałem do tych jego cech u siebie sięgnąć. Dać im pierwszeństwo. I czulem się świetnie z tym, że nie muszę nic udowadniać, naddawać, być atrakcyjniejszy, niż jestem, adorować itd. Że mogłem po prostu być, akceptować wszystko. Przez chwilę pożyczyć tym jego – znachora, Kosibę, Wilczurę – życiem. Bo on jest pogodzony z rzeczywistością, jest tylko niepokodzony z brakiem pamięci, coś go gryzie. Ma w sobie dramat, którego chyba nawet nie jest świadomy.

Czyli lubiłbyś takie życie, które prowadził Kosiba?

– Pomyślmy, przez 15 lat, kiedy się tułał, to – tak to sobie wyobraziłem – wstawał rano, nie miał planów, po prostu patrzył, co przyniesie dzień. Może dzisiaj pomieszka tu chwilę, a może tam? Może komuś w tym miejscu akurat pomoże? Może ktoś go nakarmi, a może zdobędzie jedzenie inaczej? Ja to odczytuję jako totalne pogodzenie się ze światem. Nie ma w tym niepokoju: nie kombinuje, nie kradnie, nie próbuje być lepszy. Jest w tym jakieś takie zen. I tak sobie myślałem: przecież my wszyscy wiemy, że też takie zen mamy w sobie. Wiemy, że gdy wyjedziemy z miasta w jakąś głąsę, to się czujemy dobrze. Mówimy: „Och, jak nam było tego potrzeba!”. Tylko gdy za długo tam jesteśmy, to brakują nam bodźców, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Chcemy wrócić tu do tej adrenalinki, dopaminki.

Więc po prostu lubiłem być znachorem. On uruchamiał te wszystkie najfajniejsze, najprostsze, najbardziej naturalne ludzkie odruchy. To znaczy ja musiałem je uruchomić, żeby sobie z nim poradzić.

Jak się uruchamia w sobie takiego dobrego i pogodzonego ze światem człowieka?

– To kwestia nastawienia i wyboru. Jak się ze mną spotykasz tak jak dziś, to przecież ty decydujesz, jakie wrażenie zrobisz, jaka będziesz. Czy lubisz mnie, czy nie lubisz. Czy to będzie na odwal się, czy sobie naprawdę pogadamy, czy damy sobie czas. Sami decydujemy o tym, z czego, z jakich wewnętrznych narzędzi korzystamy. Jak idziesz się spotkać z babcią, to jesteś radosna i uśmiechnięta. A jak idziesz do urzędu, to już masz – o tu – gulę. Więc na tym polega to, co nazywam „uruchamianiem” tych pokładów w sobie.

Muszę ci się jeszcze do czegoś przyznać. Ja myślałam, że mnie ten film nie ruszy, a obejrzałam go trzy razy i za każdym razem – o, jak teraz – ryczałam. – Jesteś idealną widzką!

Myślę, że to dlatego, że po prostu tęsknię za tym rodzajem męskości, za ojcem takim. Za takim rodzajem partnerstwa, miłości i wsparcia.

– Każdy z nas za tym tęskni. A im mniej udane te relacje mieliśmy lub mamy w życiu, tym



bardziej za nimi tęsknimy. I dlatego ta historia znachora działa na nas od lat i od pokoleń, bo przecież często ludzie mają różne powikłane relacje rodzinne i miłosne. Chyba każdy chciałby, żeby jego czy jej ojciec był fajny. A ten jest superfajny. Tak patrzę na tę historię, na tę córkę, z którą mojego bohatera los rozdzielił, i potem te dwie dobre energie – przy czym ją już niezależną i wyrośniętą – łączy, to mnie też to wzrusza. Więc nawet nie wiem, co ci powiedzieć, bo mam wrażenie, że ty myślisz o tym filmie dokładnie tak samo jak ja. Mówię rzeczy, które ty możesz mi mówić. Może ty opowiedz mi o sobie, tak bym nawet wołał.

Wiem, że dodaliście do klasycznej historii znachora parę elementów, między innymi takiego współczesnego troskliwego i kochającego córkę ojca.

– Bardzo nam na tym zależało. Bo skoro on przez większą część tej opowieści szuka córki, tęskni za nią, to niezbędne wydawało się pokazanie, że miał z nią ważną i wartościową relację. Że była jego oczkiem w głowie, zanim rozpętała się tragedia. Bo inaczej widzimy faceta, który – jak to w książce czy w poprzednich wersjach filmowych było – jest zajęty tylko swoim zawodem. Nie widzimy go w domu, bo go w nim nie ma. To właściwie czego i kogo, jakiej relacji my mamy żałować? Pokazaliśmy więc kochającego ojca.

To nowoczesne ujęcie. Jeszcze do niedawna nieobecni emocjonalnie ojcowie, których w domu nie ma, bo pracują albo są w swoim mniemaniu tylko od przyniesienia pieniędzy na stół, to była norma. – I to jest też Dołęga-Mostowicz sprzed stu lat. On pokazał taki obraz świata: „zła” matka, dobry ojciec, co samo w sobie było wywrotowe, bo u nas tylko matka Polka na piedestale, a ojcowie zawsze źli. No, ale to jest historia akurat o takim typie człowieka, o którym chce się czytać. I ja wiem, że tacy ludzie, lekarze,

ojcowie istnieją. I że w niepatologicznych sytuacjach tak bywa, że te córki są oczkami w głowie tatusiów.

Ty sam masz ...

– Córkę i syna.

Łatwo ci jest być ojcem w dzisiejszych czasach? Dużo słucham mężczyzn, którzy mówią, że to wcale nie jest takie proste.

– Ja mam trochę inne doświadczenia niż większość ludzi, bo my inaczej wychowujemy nasze dzieci: w pewien sposób tworzymy dla nich świat, bo nasze dzieci nie chodzą do szkoły. A myślę, że konflikty pokoleniowe pojawiają się wtedy, kiedy dziecko większość zachowań przejmuję ze szkoły. Wraca wtedy do domu i chciałoby, żeby „u nas było jak u innych”. „Ten czy ta może, a czemu ja nie mogę?” U nas nie ma takich kwestii, bo jesteśmy cały czas ze sobą. Ale mam paru znajomych, ojców, którzy zostali odsunięci od swoich dzieci. Wiem zatem, jakie to są tragedie, wiem, ile to ich emocjonalnie kosztuje.

A jak obserwujesz innych mężczyzn, to co sobie myślisz o nich jako o ojcach? Bo, wiesz, z jednej strony może wjechać epigenetyczna surowość, z drugiej nieobecność, z trzeciej te opowieści o Polakach nieplacących alimentów są zatrważające...

– Ci, których znam – każdy z nich stara się być dobrym ojcem. Ale przecież nie jestem z nimi na co dzień i nie wiem, jak naprawdę sobie radzą. Z drugiej strony my możemy chcieć jak najlepiej, ale dzieci i tak mogą uznać, że to nie wystarczy. Mnie moje wspomnienia rzecz sprzed 15 lat, kiedy straciłem nerwy – bo nie potrafiłem sobie poradzić z sytuacją – i one tylko to pamiętają. Nie pamiętają z tych 15 lat tego wszystkiego, co było fajne, tylko właśnie to: „Ale wtedy jednak przegiąłeś!”. I mogę sobie mówić, że to było daw-

no i że wiem, że postąpiłem źle i że przecież reszta jest taka fajna. I nic.

Słyszałam, że uczysz swoje dzieciaki matematyki, choć tobie samemu ta matematyka weszła dopiero, kiedy zaczął cię uczyć twój starszy brat.

– Mogę jej uczyć dlatego, że sam nie miałem z nią łatwo. Zresztą, że z tej matmy nic nie wiem, zorientowałem się w ostatnim momencie przed ważnym egzaminem, co niejako wymusiło sytuację, że musiałem się po prostu dowiedzieć. Gdy mój brat rozpoczął ze mną tę matematyczną edukację, to siedziałem trzy miechy w domu nad nią non stop. I dzięki bratu ją zrozumiałem. Nagle zyskałem taką ogromną łatwość w tej matematyce: po prostu mi się tak wszystko poskladało i już wiem, co z czego wynika, więc mogę uczyć. Ale też bym nie podkreślał tego tak, że ja jej uczę...

...bo?

– ...bo takie próby były na początku, ale potem się okazało, że może dla dobra naszych relacji byłoby lepiej, żeby rodzic nie uczył dziecka. No bo ja mam swoje granice cierpliwości. „Czego tu jeszcze nie rozumieć” i takie tam... Jakieś niepotrzebne emocje w to wchodzi. Poza tym młodzi ludzie jednak wolą, jak obcy człowiek ich czegoś uczy, większy posłuch ma.

Masz dwóch braci.

– Starszych o pięć i o dziesięć lat.

Czy kiedy taty zabrakło, to oni przejęli opiekę nad tobą?

– Matka przejęła w zasadzie wszystkie ojcowskie obowiązki, choć bracia też oczywiście musieli się wykazać. Byłem trochę za młody, żeby to wszystko dostrzec.

Czy oni byli twoimi męskimi wzorcami? Czy jednak chciałeś być np. inny niż tata, którego pamiętałeś?

FOT. BARTOSZ MROZOWSKI



Premiera nowej, zrealizowanej przez Netflixa, wersji "Znachora" na podstawie słynnej powieści Dołęgi-Mostowicza – w środę 23 września. Więcej na Netflix.com

– Mężczyźni chyba nawet nie tyle starają się być od ojca inni starają się być lepsi. I mam nadzieję, że tak jest, że każde pokolenie jest lepsze, bo wtedy ten świat ma jakiś sens. Mam nadzieję, że moje dzieci będą lepsze niż ja. Na pewno średni starszy brat był w jakiś sposób dla mnie autorytetem, bo dużo przebywałem z jego przyjaciółmi jako ten najmłodszy, więc na pewno był taki okres paroletni, że to on był takim „wyznacznikiem faceta”. To z nimi jeździłem na różne wyprawy...

Coś mi się wydaje, że wtedy różne inicjacje mogą szybko pójść?

– Nie, bo my byliśmy jacyś tacy... poukładani. Nie mieliśmy nigdy okresu buntu. Kiedy słyszę, że ktoś miał okres buntu, to się zastanawiam, co to znaczy.

Ale charakter silny to ty masz. Widać, że się podpalasz szybko. Mówisz też wprost, że wolność jest dla ciebie ważna.

– Ale ja zawsze miałem dostęp do tej wolności, nie musiałem się o nią drapać, więc też nie musiałem się buntować. I to zasługa mamy i jej metod wychowawczych, tej wolności, którą nam dała, co było bardzo mądre: bo, pomyśl, mama wychowywała trzech synów – gdyby zaczęła z nami walczyć, to miałyby naprawdę ciężko. Więc ona wybrała wspieranie, ale nie narzucanie swojego zdania. Nawet przy wyborze zawodu i szkoły nigdy nie usłyszałem: „Może coś innego?”, tylko: „No dobra, jeżeli uważasz, że to jest to, to rób”. Jak sobie teraz o tym myślę, to co to był za szalony pomysł, żeby chłopak z Wałbrzycha poszedł do szkoły aktorskiej?

Bo u was to co, górniczy?

– Mechanicy, górniczy. Mój tata był ślusarzem. Ciągłe myślenie, co to był za pomysł i co za przyzwolenie!

A teraz, w życiu dorosłym, wkurza cię coś? Przeciw czemuś się buntujesz?



• Jerzy Bińczycki, Znachor z filmu Jerzego Hoffmana z 1982 roku

FOT. JERZY GOŚCIK/EAST NEWS

– No pewnie, że tak. Niekompetencja, głupota – dużo rzeczy mnie denerwuje. Natomiast staram się, żeby to nie miało wpływu na mnie. Omijam te rejony... jak ktoś jest taki – niekompetentny lub głupi – to przecież nie muszę z nim gadać. Albo staram się wszystko załatwić inaczej.

Aktorzy, zwłaszcza aktorki, które z tobą były na planie, mówią o ogromnej przestrzeni, którą dajesz, właśnie wolności, wsparciu.

– Serio?
No to musi mi to jakoś naturalnie wychodzić. Zresztą postać znachora jest też taka – on jest wyzbyty ego, więc ja, grając, nie mogłbym jakiegoś nadwrażliwego ego na wierzch wywalić, zwłaszcza że ja ego też nie lubię. Wolę przypatrywać się wszystkim, z którymi coś współtworzę. Zależy mi na tym, żeby każdy był najbardziej

kreatywny i najbardziej wolny w tym, co robi. I żeby nie podporządkowywać procesu i ludzi sobie, bo przecież razem osiągniemy lepszy efekt, niż gdyby wszyscy mieli – nie daj Boże! – grać pode mnie.

Ale aktorstwo raczej się kojarzy z ego. Przynajmniej kiedyś się kojarzyło.

– No, i znam takie typy, które ego mają niezdrowe, ale szybko przestają z nimi pracować: odmawiam albo kończę projekt. Nawet za wiele nie tłumaczę – nie ma co, bo to może się spotkać z niezrozumieniem. Wolę odejść. Nawet wziąć na klatę to, że jestem zły, że uciekam i rozwalam robotę. No ale trudno, mniej mnie to kosztuje niż znoszenie tego.

Jak myślę o tym „złym”, męskim ego, to myślę o arogancji, o stawianiu siebie na pierwszym miejscu, byciu głośnym,

Znam takie typy, które ego mają niezdrowe, ale szybko przestają z nimi pracować. Wolę odejść. Nawet wziąć na klatę to, że uciekam i rozwalam robotę. **Mniej mnie to kosztuje niż znoszenie tego**

a nawet przemocowym. To taka ciemna strona męskości.

– To ja jej nie lubię. I muszę zaznaczyć, że nie uważam, że jeśli coś jest „męskie” bądź „żeńskie”, że to jest przypisane do płci – ty np. możesz mieć te cechy „męskie”, a ja „żeńskie”. A jeśli ktoś jest taki, jak opisałaś, to wynika to zazwyczaj z jakiegoś niespełnienia, nie-szczęścia na jakimś etapie jego życia, z którym sobie po prostu nie poradził. I właśnie te frustracje wyrzuca w taki sposób. Nie jest pewny siebie, więc walczy o to, żeby jego było na wierzchu. Tylko tym potrafi udowodnić, że jest cenny, ważny. Nie lubię tego. Na tyle mam pewności siebie i przyzwolenia, żeby świat i rzeczy działały się czy wyglądały inaczej, niż ja sobie życzę, że nie ma czegoś takiego, żebym musiał o to walczyć. Nie ma nawet w moim słowniku takich słów jak „walka”. I tak, są ludzie, którzy – gdybyś postawiła tu butelkę – powiedzieliby: „Wezmę to rozwalę, będzie tulipan”, ale ja przez lata powyjaśniałem, poustalałem ze sobą, poukładałem pewne rzeczy w głowie, i dla mnie to po prostu butelka.

Nie lubię niczego narzucać światu. Radzę sobie bez narzucania, a jak ktoś chce mi narzucić, to wolę aikido niż karate.

A jak masz coś do załatwienia ze sobą samym, to się wycofujesz?

– Tak, chowam się do jaskini.

Co masz w jaskini? Stół do snookera?

– Snooker pomaga. Jest po to, żeby zachować koncentrację albo pobudzić się do pewnego rodzaju skupienia, może wręcz wyciszyć się do tej koncentracji. Ale w mojej jaskini raczej chodzi o to, żeby zejść z drogi wszystkim, żeby znaleźć własną przestrzeń, własny kącik i móc ze sobą coś przepracować. Jak to jest, że uważam, że powinno być w ten sposób, a nie inaczej? Jak to jest, że nie dopuszczam jakiegś możliwości. Jak już znajdę powód tego myślenia, to mówię do siebie: „Przecież tak

też może być, przecież świat się nie zawali, nic złego mi się nie stanie. W zasadzie większość będzie szczęśliwsza, to tylko plus”.

W badaniach wychodzi, że polscy mężczyźni nie mają tych man caves, garaży, swoich przestrzeni, żeby ze sobą samym побыć...

– Nie? U mnie tą jaskinią de facto jest głowa.

Ale żeby znaleźć dla siebie przestrzeń, musisz sobie usiąść raczej w pokoju czy wyjść do lasu?

– To jest drugorzędne. Jeżeli mam przestrzeń w pokoju, to mogę w pokoju. Jeżeli nie, to muszę wyjść i ją znaleźć. Nie ma to znaczenia, zawsze tą jaskinią jest głowa. Mam też swój „garaż”: to piwnica. Wieczorami, gdy już wszyscy pójdą spać, a ja coś muszę przerobić czy mam problem, to idę właśnie tam.

Co w tej piwnicy jest?

– Popielniczka. I fotel. I snooker. I ja – siedzę sobie i myślę. Nie zakupuję, nie potrzebuję zakopywać problemu – ja się chcę z nim spotkać, wziąć go na klatę i rozwiązać.

Inną rzeczą, której Polacy nie mają, jest przyjaciel. Facet, bliski mężczyzna.

– To musi być trudne, chociaż trudne też jest otwieranie się przed kolegami, ale ja przecież też tak mam. Jak mam problem czy tam wyzwanie – zwał, jak zwał – to uważam, że nikt za mnie tego problemu nie rozwiąże. Więc dzielenie się nim z kumplem też mi nie pomoże, a tylko przysporzy problemu drugiej osobie: będzie musiała przez chwilę żyć moim życiem i stanie się to jej problemem. A i tak na końcu wszystkie decyzje muszę podjąć sam. Zdecydować czy w lewo, czy w prawo.

A czego trzeba, żebyś ty był przyjacielem drugiego faceta?

– Nie wiem, ja cały czas uważam, że mam przyjaciół i że ich nie mam. Nie wiem, na czym to polega. Nigdy nie potrzebowałem z nich korzystać. Przyjaźń kojarzy mi się z radosnym spędzaniem czasu. Nie z tym, że ten przyjaciel ma być w złym momencie, żeby mi pomóc, mnie wesprzeć. Przyjaciele są od tego, żeby się wspólnie bawić. I dlatego może nie obarczam swoimi problemami innych – żeby nie popsuć tej przyjaźni, zabawy?

Wiem, że masz na bakier z autorytetami, ale czy ty kiedyś spotkałeś takiego swojego znachora?

– Nie, bo znachor jest dla mnie superbohaterem: ma za dużo dobrych cech naraz, żeby to mógł udźwignąć jeden człowiek. Natomiast ludzi żyjących w takiej harmonii z codziennością, otwartych, takich, co nie pędzą, tylko akceptują to, co im przynosi dzień, co im przynosi los, poznałem. To jest imponujące i uczę się od nich tego wszystkiego.

Możesz powiedzieć, że to twoi przyjaciele?

– To są ludzie, z którymi się wiąże – oni wiedzą, o kim mówię.

Powiedziałeś kiedyś: „empatię trzymam dla rodziny”.

– No tak. To jest jakby inny rodzaj wrażliwości. Jestem wobec moich dzieci zupełnie bezbronny. Bo wiem, że cokolwiek zrobię, zawsze to będzie z pozycji siły. Po prostu jestem większy, bardziej doświadczony, potrafię nazwać rzeczy. To wszystko w ogóle mnie rozczula, godzę się na wszystko dla nich. Mam dla moich dzieci zarezerwowany taki specjalny rodzaj bycia: możemy sobie pozwolić na bezbronność wobec siebie.

Jest taka scena w „Znachorze”, kiedy Kosiba zaczyna płakać.

– Ma istotny powód.

Ma. Ale chyba nie musi być aż tak istotny? Ty sam przyznajesz, że płaczesz na filmach, a przecież, że zacytuję to straszne stwierdzenie: „faceci nie płaczą”.

– Jak nie płaczą, to znaczy, że są pozbawieni dostępu do jakichś istotnych emocji. To jest ułomność. Wrażliwy człowiek płacze – po

FOT. BARTOSZ MROZOWSKI



prostu. Jak się spotyka z niesprawiedliwością, chamstwem i jest bezsilny wobec tego, no to co mu pozostaje?

No jak to co? Pobić się, przypierdolić komuś, wyżyć się.

– O tak, podobno tak niektórym najłatwiej. Mnie nie.

Wróć jeszcze na chwilę do filmu. Dodałście do „Znachora” sensualność, pracowaliście nad tym z reżyserem.

– Po to się robi nowe adaptacje historii, które lubimy: znamy je, ale chcemy je opowiedzieć na nowo i obejrzeć na nowo. Przecież zmienia się świat, nasze myślenie o wielu rzeczach. Punktem wyjścia było to, że znachor stracił pamięć, ale nic więcej.

„Stracił pamięć, ale nie jaja”, że zacytuje ciebie.

– Dalej jest człowiekiem, dalej jest facetem. I uważam, że po 15 latach tułaczki ma prawo do szukania spokoju, spełnienia. Na szczęście w naszej kulturze zmieniła się percepcja ludzi, którzy owdowieli, rozeszli się, rozwiedli – jest przyzwolenie na to, żeby sobie dać drugą, trzecią i piątą szansę. W pokoleniu naszych matek i babć, jeżeli zostały wdowami, to to był koniec ich życia, zwłaszcza miłosnego. Nie wolno było szukać drugiego faceta, spełniać się z kimś innym, najwyżej potajemnie. I tak sobie myślę, że jeżeli ten facet od tylu lat się tułał, to on też pewnie chciał już odpuścić to szukanie. W naszej wersji znachora pojawia się Zośka, która jeszcze go do tego osadzenia się namawia, zapewnia mu godziwe warunki. I on widzi, że jest fajnie, że tak mogłoby zostać. Sensualność – fajnie to nazwałaś, bo niektórzy mówią po prostu „sceny seksu” – pojawia się naturalnie. I to nie jest właśnie tylko seks, to bliskość, radość bycia razem dwojga ludzi, którzy byli doświadczeni przez los. Obydwoje coś stracili, a gdy się spotkali, poczuili, że mogą znowu coś pięknego przeżyć i uzupełnić się nawzajem, wesprzeć się. Zrobiliśmy więc sceny o dojrzałej miłości, nie o chuci, tylko o bliskości i akceptacji siebie dwojga ludzi. Mnie się to bardzo podoba, że w tej wersji znachor jest uczłowieczony.

Okej, zgodzę się, że seksualność tej męskiej postaci jest bardzo wyważona i lekko wstrzymana: powolna w tym sensie, że on dojrzeva do zbliżenia. Ale z drugiej strony jest też inna scena, soczysta, cudownie wkomponowana jak obraz Wyspiańskiego: mężczyzna się kąpie, a patrząca na niego Zośka bardzo zmysłowo je jabłko.

– Specjalnie wymyśliliśmy tę scenę, bo zawsze na filmach jest odwrotnie: to kobieta bierze prysznic, a facet to obserwuje – i to jest erotyczne. A tutaj znachor po prostu po całym dniu pracy w młynie myje się w rzece. Zośka to widzi i w niej budzą się emocje i pragnienia. Bo przecież kobiety takie mają.

No dobrze, to ja teraz muszę powiedzieć coś, co może ci się nie spodobać: reżyser

*Leszek Lichota

• aktor filmowy i teatralny, absolwent Akademii Teatralnej w Warszawie. Zaraz po ukończeniu Szkoły Teatralnej w 2002 roku trafił do Teatru Polskiego w Poznaniu, w którym zagrał główne role w „Platonowie” Piotra Kruszczyńskiego i „Terroryzmie” Pawła Łysaka. Znany jest także z licznych seriali, w tym z „Prawa Agaty”, „Na Wspólnej”, „Czasu honoru”, „Watahy”, „Pułapki” czy „Osaczonego”, a także między innymi z następujących filmów: „Lincz”, „Karbala”, „Czuwaj” czy „Miłość jest wszystkim”, „Boże Ciało”, „Orleń”. Zanim zdecydował się na zawód aktora, szukał różnych pomysłów na życie. Handlował używanymi samochodami, był bramkarzem, instruktorem narciarskim, olimpijczykiem historycznym, a także trenował boks i piłkę nożną.

Michał Gazda powiedział, że dlatego cię wybrał do tej roli, bo ociekasz testosteronem.

– Muszę sobie z Gazdą pogadać.

Niektórzy mówią też, że to ze względu na twoją seksualność.

– W takim razie ja nie wiem, co to jest seksualność. Jako dzieciak byłem – i to pewnie gdzieś zostaje – zakompleksionym chłopakiem. Wszystkie fajne dziewczyny wiązały się z moimi kumplami. Zawsze byłem z boku, zawsze za duży, zawsze za gruby. Nie czuję tego testosteronu i seksualności. A z Michałem cenimy siebie wzajemnie. I mamy dużo zaufania do tego, co robimy. Wiemy, że każdy z nas robi dobrze to, co ma do zrobienia, ale wzajemnie się też przypilnujemy. Jeszcze z Tomkiem Augustynkiem za kamerą nie ma szans na konflikty. Wiem, że nasza współpraca będzie łagodna, dobra, owocna, bezkonfliktowa. Ja wiem, że mam w nim wsparcie, że gdybym przeholował, przesadził albo nie doszacował, to on mi to powie. Że nie będzie się bał tego powiedzieć. On też wiedział, że we mnie ma wsparcie, jestem o tym przekonany.

Brzmi jak partnerstwo.

– Takie filmowe partnerstwo. Martwi mnie ta seksualność, ten testosteron tylko. No dobra, żartuję.

W pewnym momencie „Znachora” pada to sakramentalne: „mężczyzna musi spłodzić syna, postawić dom i posadzić drzewo”. Ty się czujesz takim trochę tradycyjnym facetem? W końcu zbudowałeś już parę obiektów na własnym glampingu, ogrodzenie też chyba potrafisz postawić... Czy nie obchodzi cię w ogóle ta kategoria tradycyjne czy nowoczesne?

– Nigdy nie byłem dobry w takich rzeczach „warsztatowych”: gniazdko czy motoru naprawić bym nie umiał. Więc budowanie, projektowanie mnie zafascynowało. Nagle coś stwarzałem od początku. Biorę kartkę, długopis, linijkę, wymierzam, planuję, konstruuje – i to mnie kręci. Czy to jest tradycyjnie, czy nie – nie mam pojęcia. Pod tym względem mogę być tradycyjny.

Nie lubię też wyręczać się kimś, a jak się zepsuje, to można naprawić, a nie wyrzucić i kupić nowe – w tym sensie jestem tradycyjny.

Czujesz, że to budowanie, wasz glamping w Jaśliskach i Polańczyku, to jakiś naturalny etap w życiu?

– Tak, bo trzeba było dojrzeć do tego. Połączyć wszystko to, czym się w życiu zajmowałem i o czym myślałem. Bo przecież ja skończyłem szkołę hotelarską. Miałem w Warszawie knajpę – klub ze sceną – i burgerownię – to wszystko było po coś, po to, żeby te doświadczenia połączyć, scalić. Jeszcze do tego w miejscu, które jest mi bliskie zawodowo, bo przecież filmy tam kręciłem. Wszystko po prostu przychodzi w swoim czasie i swoim miejscu.

Miałeś klub i burgerownię?

– Prowadziłem w latach 2012-14 w budynku Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych przy ulicy Chełmskiej 21 klub „Wkręt”, gdzie odbywały się koncerty i stand-upy. Nawet mnie namówili kiedyś, żebym tam wystąpił w teatrze improwizowanym. Była to otwarta przestrzeń, gdzie niczego nie narzucałem, tylko stwarzałem warunki, aby uwolnić ludzką kreatywność. Jak ktoś miał pomysł i chciał wystąpić, to słyszał „Proszę bardzo, zapraszam, zrób. Scena jest twoja”. I to fajnie działało, ale już nie miałem czasu się tym zajmować. No i miałem na Powiślu burgerownię, nazywała się Dartburger.

Co to za nazwa?

– Ja ją wymyśliłem! Olśniło mnie! Kolega, który był kucharzem i robił nasze burgery, grał w darta, czyli rzutki, i wymyśliłem, że w naszej knajpie będzie się grało o to, ile się płaci. Składałaś zamówienie, dostawałaś lotki i rzucalaś. Mogłaś mieć zniżkę, darmowe frytki, colę. Jakbyś rzuciła maksa, to byś miała za darmo. I ludzie mieli wkrętkę, kupowali, zamawiali, rzucali.

Czy te „drugie nogi” jak klub czy burgerownia były dlatego, że ty czuleś, że wasz zawód jest niepewny?

– Cały czas tak czuję. Ciągłe mówię o tym wszystkim. Przecież wystarczy wypadek i mnie nie ma. A sława, jak mówią, na pszym koniu jeździ, może to wszystko skończyć się za pięć minut. Moja przydatność może się skończyć. Jest mnóstwo aktorów, którzy fajnie grali i byli lubiani, i już o nich nie słyszymy. Może się źle starzeją, może brukowce coś o nich napisały, może ktoś powiedział „z tym panem albo z tą panią lepiej nie”. To zawsze może się zdarzyć, więc lepiej mieć alternatywę i nie wyładować w domu aktora.

Twoją alternatywą jest teraz glamping w małej miejscowości w Beskidzie, ale nie tylko tam wrastasz w lokalną społeczność. W Józefowie też opowiadają legendy o twojej pomocy.

– Nie lubię o tym mówić, ale tak, pomogłem dobremu znajomemu stamtąd dostać się do programu, gdzie ludziom leczy się zęby.

„Znachor” zadziałał?

– Nie, zwykła ludzka przyzwyczajoność. On zawsze gniazdko w domu naprawi czy jak z wodą są problemy, to zawsze pomoże. Wiedziałem, że mogę się mu przysłużyć i odwzajemnić w ten sposób, i nie widzę w tym problemu, wstydu ani niczego wielkiego.

Oduczyłeś się miasta.

– Przyjeżdżam, kiedy trzeba, i wyjeżdżam. Po knajpach nie chodzę. Jak mogę, to jadę na nasz glamping ptaków posłuchać.

Dobrze ci z tym?

– Najlepiej. Tam jest życie w prawdzie i w zgodzie z przyrodą. To ona i pory roku określają rytm twojego życia. Tam nie będziesz miała centralnego i nie przejeździsz sobie w ciepłku przez zimę. Trzeba kupić drewno, zwieźć z lasu, rąbać i mieć przygotowane na chłody, bo jak ci zabraknie, to będziesz w dupie. Na wiosnę trzeba posadzić, co ma być posadzone, bo jak tego nie zrobisz, to ci nie wyrosnie latem. I ten rytm jest naturalny. W dodatku czujesz, że do tego jesteśmy stworzeni, że od tego to się wszystko zaczynało. I mi się wydaje, że jednak tu, w przyrodzie, czujemy się jako ludzie najlepiej. Ci, którzy nas odwiedzają, często mówią: „Tego potrzebowałem: ciszy, spokoju, odsapnąć”. A ja zawsze mam w głowie takie pytanie: jeśli tego tak potrzebujesz, to czemu nie rzucisz wszystkiego i nie przeniesiesz się tu? Może naprawdę potrzebujesz tak żyć, a nie ciągle pędzić za czymś, być pod kimś i spełniać czyjeś marzenia. Szybciej, więc, wyniki. W przyrodzie tego nie masz, żyjesz w sposób prosty.

Ale jest zapierdol.

– Ale naturalny. Inaczej uciążliwy. Mnie jest tam po prostu dobrze, energia jest tam dobra. Z wilkami nie sypiam. ●

Prawo rządność

Wczytaj się i nie daj sobą manipulować.
Subskrybuj Wyborcza.pl



Wino – grono wyciśnięte do ostatniej kropli

Wrzesień miesiącem... winobrania. Do niedawna dla większości z nas nie byłoby to oczywiste skojarzenie. Jednak Polacy coraz chętniej, w sklepach i restauracjach, sięgają po wino. Warto więc wiedzieć, jak powstaje ten szlachetny napój.

Wawrzyniec Święcicki

Wytwarzanie wina to skomplikowany proces. Składa się z kilku podstawowych etapów oraz wielu technik winiarskich, dających praktycznie nieskończenie wiele możliwości komponowania wina w zależności od inwencji winiarza. I właśnie słowo „komponowanie” w przypadku wina wydaje się kluczowe. Wiele winiarzy porównuje proces winifikacji do tworzenia muzyki. Tak o swojej pracy – jako pisaniu partytury z wielu nut –

mówi Marek Rak, objaśniając mi działanie urządzeń w swojej winnicy Kazimierskie Wzgórze. W poprzednim zawodowym wcieleniu był menedżerem. W pracy winiarza przykłada wielką wagę do technologii, kontroli i przewidywalności produkcji wina. Odmienne podejście prezentuje właściciel leżącej w pobliżu Kazimierza Dolnego winnicy w Dobrem Kamil Barcentewicz, który zgodził się opowiedzieć mi o produkcji

wina. To enolog i winiarz, niestroniący od eksperymentów. – Jestem dla wina tylko towarzyszem, który nie poprawia natury, a jedynie przygląda się z fascynacją całemu procesowi. Wierzę w wino jako produkt kultury i tak też je traktuję. Podziwiam je, szanuję i nie staram się korygować tego, co jest doskonale w swoim naturalnym pięknie. Założenie winnicy to dla mnie element długiej i wyboistej drogi, którą rozpocząłem od miłości do muzyki i teatru.

ANATOMIA WINOGRONA

Winogrona w naturalny sposób stanowią najdoskonalszy materiał do produkcji wina. Żaden inny owoc nie ma tak dużej zawartości cukru potrzebnego do przeprowadzenia fermentacji alkoholowej, kwasów zapewniających pożądaną kwasowość oraz związków fenolowych i tanin nadających winu niepowtarzalny smak. Inne owoce wymagają dodatku cukru, aby można było wyprodukować z nich alkohol. Nie z każdego winogrono można zrobić wino. Te okazałe o dużych i smacznych owocach, które znamy z półek sklepowych, to odmiany deserowe i do produkcji wina się nie nadają. Winogrona stosowane do winifikacji przez profesjonalnych winiarzy prezentują się niepozornie i ich smak nie zachęca do bezpośredniego spożycia.

Owoce (jagody) tworzą grono o **cylindrycznym, stożkowym lub rozgałęzionym kształcie**. Jedno grono może się składać z kilkuset jagód.

W gronie jagody mogą być ułożone **ściśle lub luźno**. Luźne ułożenie zapewnia wentylację i dobrą ekspozycję owoców na opryski zapobiegające ich pleśnieniu.

Im mniejsze jagody, tym większy udział skórek w moszczu i więcej zawartych w skórcie cennych substancji istotnych w procesie winifikacji.

Szypułka
Zazwyczaj się je usuwa przed rozpoczęciem winifikacji. Niekiedy jednak owoce poddaje się tłoczeniu razem z szypułkami, wykorzystując je jako naturalny drenaż usprawniający oddzielanie soku od skórek i pestek. Szypułki zawierają garbniki i mogą dodawać winu cierpkości. Dlatego w zależności od stylu wina w niektórych przypadkach gałązki pozostają w moszczu winnym przez całą fermentację.

Miąższ
Stanowi większą część owocu i jest źródłem soku. Ma postać galaretki zawierającej głównie wodę, cukier (13-15 proc.) i kwasy organiczne (5-10 proc.). W miąższu znajdują się m.in. sole mineralne, pektyny, enzymy, olejki eteryczne i witaminy. Miąższ jest głównym źródłem smaku i kwasowości win białych. Zarówno w jasnych jak, i ciemnych winogronach ma taki sam kolor, dlatego można robić wina białe również z ciemnych winogron (np. Pinot Blanc).

Skórka
W skórcie winogron znajdują się substancje aromatyczne, potas oraz szczególnie istotne w procesie winifikacji związki fenolowe – **antocyjany** (ciemny barwnik) i **garbniki** (taniny).

Pestki
Jagody zawierają najczęściej od 2 do 4 nasion. Podobnie jak skórka pestki winogron zawierają bardzo dużo garbników. W trakcie wyciskania owoców trzeba uważać, żeby ich nie zmiażdżyć. Nadmierna ilość garbników może nieodwracalnie zniszczyć smak wina. Pestki stanowią jeden ze wskaźników dojrzałości winogron. Początkowo są jasno zielone. W miarę dojrzewania, pod wpływem gromadzących się w nich garbników, ciemnieją aż do uzyskania barwy brązowej.

CO ZNAJDZIESZ, GDY ZAJRZYSZ DO KIELISZKA?

Cukry i akohol etylowy

W winogronach występują różne rodzaje cukrów. Najwięcej jest **fruktozy** i **glukozy**. Cukry te różnią się słodyczą. Fruktaza jest bardziej słodka. W miarę dojrzewania zawartość cukrów w owocach zmienia się. Dojrzałe winogrona powinny mieć zbalansowany poziom glukozy i fruktozy. W przejrzystych fruktoza staje się dominującym cukrem. **Obecne w winogronach cukry stanowią pożywkę dla drożdży, które w procesie fermentacji przekształcają cukier w alkohol etylowy. Do wyprodukowania 1-proc. alkoholu drożdże zużywają ok. 17 g cukru na litr wina.** Zawartość cukru jest jednym z parametrów decydujących o momencie zbioru winogron. Nadmiar cukru w owocach oznacza, że wino będzie za mocne (powstanie za dużo alkoholu) lub za słodkie (pozostanie w nim niesfermentowany cukier).

Zawartość cukru w poszczególnych rodzajach win:

Wina wytrawne: do 4 g/l	4 g
Wina półwytrawne: do 12 g/l	12 g
Wina półsłodkie: do 45 g/l	45 g
Wina deserowe: ponad 45 g/l	45 g +

Związki fenolowe – antocyjany i garbniki

Antocyjany są to związki pigmentowe obecne w ciemnych winogronach odpowiedzialne za charakterystyczny ciemny kolor czerwonego wina. **Garbniki (taniny)** pochodzą ze skórek owoców, pestek oraz ścian beczek, w których wino dojrzewa. Nadają winu cierpkość. Zarówno antocyjany, jak i garbniki z czasem wchodzą w reakcje z innymi związkami fenolowymi i ulegają polimeryzacji. Dlatego w procesie starzenia wina (w butelce) zmianie ulega zarówno jego kolor, jak i smak (łagodnieje).

1 proc.
inne składniki, w tym:
0,4 proc. kwasy
0,1 proc. polifenole

86 proc. woda

12 proc. alkohol etylowy

1 proc. glicerol

Kwasy organiczne

Najważniejszymi kwasami w winogronach są kwas winowy i kwas jabłkowy. Ich stężenie różni się w zależności od odmiany, klimatu i dojrzałości winogron. Przeważa **kwas winowy** (jest go dwa razy więcej), który nadaje winu przyjemny cytrusowy, dojrzały smak. **Kwas jabłkowy** ma bardziej świeży smak zbliżony do smaku zielonych jabłek. Jego obecność jest pożądana w białych winach i niemiłe widziana w winach czerwonych. Kwasowość jest obok zawartości cukrów drugim najważniejszym parametrem decydującym o momencie zbioru winogron. Trzecim ważnym kwasem niewystępującym w owocach, ale pojawiającym się w winie przede wszystkim czerwonym jest **kwas mlekowy**. Jego obecność jest wynikiem konwersji części kwasu jabłkowego mającej na celu złagodzenie smaku wina.

Związki aromatyczne

Rozróżniamy trzy rodzaje aromatów obecnych w winie.

Aromaty pierwotne (odmianowe) Pochodzą od substancji aromatycznych zawartych w owocach. Nuty zapachowe: roślinne, kwiatowe i owocowe.	Aromaty wtórne (fermentacyjne) Powstają w procesie fermentacji alkoholowej. Nuty zapachowe: piekarnicze, drożdży, chleba, piwa.	Aromaty trzeciorzędne (bukiet) Powstają na etapie dojrzewania wina w beczce. Nuty zapachowe: balsamiczne, przyprawowe (wanilia, cynamon), odzwierzęce (wyprawiona skóra, piżmo), orzechowe.
--	--	--

DROGA Z KRZEWU DO BUTELKI

Produkcję wina nazywa się winifikacją – obejmuje ona cały proces od zbioru winogron aż do zabutelkowania gotowego wina. Proces ten przebiega w różny sposób w zależności od koloru wytwarzanego wina.

→ wino białe → wino czerwone

2. Oddzielanie szypułek i miażdżenie winogron

Zebrane winogrona oddziela się od szypułek w młynko-odszypułkowarce. W tym samym urządzeniu miażdży się jagody, oddzielając skórki winogron od miąższu i soku. Tak powstaje pulpa nazywana **moszczem winnym**.

3. Tłoczenie

Do tłoczenia winogron używa się specjalnych pras. Najbardziej popularne są **prasy pneumatyczne**. Zapewniają one równomierne wyciśnięcie soku bez niebezpieczeństwa zmiążdżenia pestek. Tłoczenie trwa ok. 2 godzin.

W przypadku win białych do prasy trafia świeży moszcz (**sok**). Etap tłoczenia poprzedza spłynięcie **samocieku** – soku, który oddziela się samoczynnie lub pod niewielkim naciskiem prasy. Jest to najbardziej klarowna frakcja wina. Winiarze często fermentują frakcje samocieku i frakcje wyciskaną w osobnych zbiornikach i dopiero po porównaniu parametrów powstałego wina ewentualnie je mieszają na etapie kupażu. **Samociek stanowi ok. 60 proc. uzyskanego moszczu.**

Przy produkcji win czerwonych wyciska się nie świeży sok, lecz moszcz poddany wcześniej maceracji i fermentacji (**wino**).

4. Sedymentacja

Zarówno samociek, jaki i sok uzyskany w wyniku tłoczenia przelewa się do szczelnych zbiorników (bez dostępu powietrza), często schładzając do 5 st. C i pozostawia na 24 godz. Po opadnięciu na dno zbiornika pływających w moszczu cząstek owoców zlewa się płyn znad osadu.

5. Fermentacja alkoholowa

Kluczowy proces, w którym drożdże przekształcają zawarty w owocach cukier w alkohol. W konwencjonalnym winiarstwie stosuje się wyselekcjonowane drożdże dobierane pod kątem oczekiwanego efektu fermentacji. W winiarstwie tradycyjnym polega się na drożdżach natywnych (tzw. dzikich) naturalnie występujących na owocach i w winiarni. Proces fermentacji i jego rezultaty są wówczas mniej przewidywalne, ale dla wielu winiarzy i miłośników wina bardziej ekscytujące.

W czasie fermentacji oprócz alkoholu wytwarza się ciepło i dwutlenek węgla. Im jest cieplej, tym proces zachodzi gwałtowniej, a wraz z pęcherzykami gazu ulatniają się z wina aromaty. Dlatego głównym zadaniem winiarza jest utrzymanie stałej, możliwie niskiej temperatury. Po wyczerpaniu cukru proces samoczynnie się zatrzymuje.

6. Zimna stabilizacja (wymrażanie)

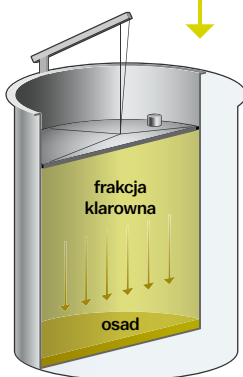
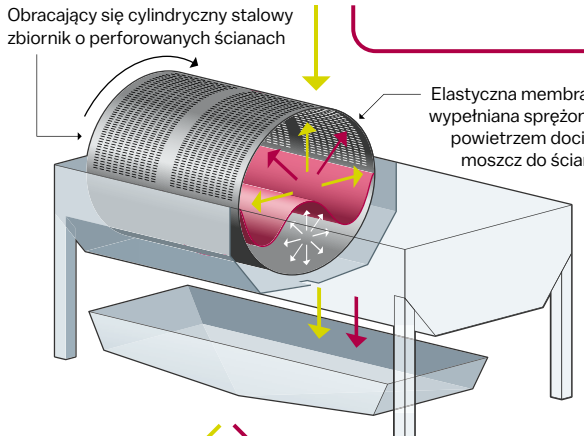
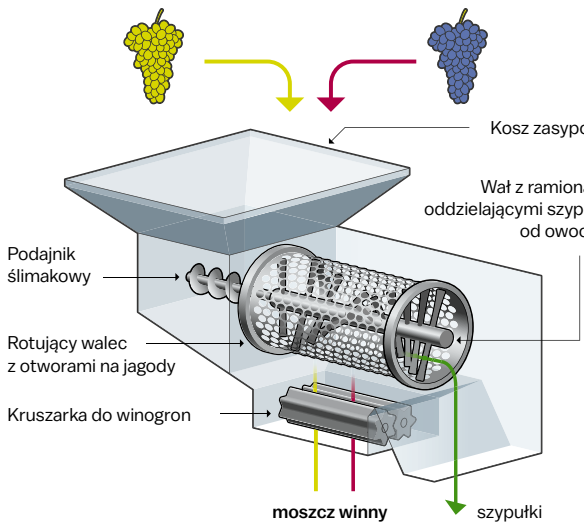
W trakcie dojrzewania wino poddaje się procesowi wymrażania. Schładza się wino w zbiornikach lub beczkach do temperatury ok. 0 st. C na okres ok. 1-3 tygodni. Na ściankach zbiorników wytrącają się **kryształy kwasu winowego**.

8. Stabilizacja mikrobiologiczna (filtracja)

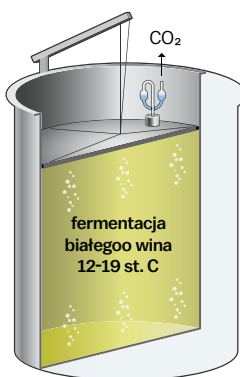
Do filtracji stosuje się płyty celulozowe o zróżnicowanej porowatości. Zazwyczaj wystarczy usunąć z wina frakcje stałe niewidoczne dla oka. W przypadku win słodkich niezbędne są drobniejsze filtry zatrzymujące bakterie i drożdże.

9. Kupaż

Etap mieszania win różnego pochodzenia, jakości i odmian, a nawet różnych roczników. Technika ta umożliwia poprawienie koloru i smaku wina oraz zwiększenie ilości produktu. Wino uznawane za **odmianowe (jednoszczepowe)** może mieć domieszkę winogron innych szczepów, jednak nie więcej niż 15 proc., i dodatek ten nie może zmienić charakterystycznych cech szczepu podstawowego.

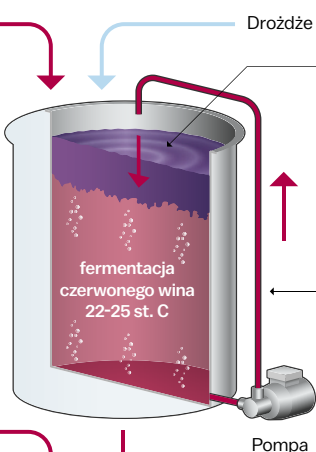


Kadz stalowa z ruchomą pokrywą i systemem regulacji temperatury (obieg glikolu).



Białe wino fermentuje w zbiornikach z ograniczonym dostępem powietrza, by się nie utleniło (inaczej traci kolor i część aromatu).

← Drożdże
→ Bakterie mlekowe



Do fermentacji czerwonego wina używa się otwartych zbiorników, bo dostęp tlenu z powietrza jest odcięty przez pływającą na powierzchni grubą warstwę skórek i pestek.

By zintensyfikować proces maceracji i fermentacji, wino z dna zbiornika pompuje się i zalewa nim pływające skórki, dzięki czemu dostarcza się drożdżom tlen i zapobiega tworzeniu się kwasu octowego w skórkach.

4*. Fermentacja jabłkowo-mlekowa

To rutynowy proces przy produkcji wina czerwonego. Polega na dodaniu do wina **bakterii kwasu mlekowego, które przekształcają ostry kwas jabłkowy w delikatniejszy kwas mlekowy.** Oprócz złagodzenia smaku i nadania wina kremowego charakteru obniża się również kwasowość wina.

6. Obciążenie wina i dojrzewanie

Po zakończeniu fermentacji zlewa się młode wino znad osadu zawierającego martwe drożdże i cząstki owoców do nowych zbiorników i pozostawia na okres kilku miesięcy, by dojrzało. Można również pozostawić młode białe wino w zbiorniku z osadem. Wówczas nabierze ono kremowej konsystencji i drożdżowych aromatów (biskoptów i orzechów).

Dojrzewanie wina odbywa się w stalowych lub betonowych kadziach albo w beczkach. Stalowe zbiorniki mają najmniejszy wpływ na wino, dębowe beczki – największy. Zawarte w drewnie dębowym garbniki i aromaty przechodzą do przechowywanego w nich wina. Jednocześnie ze względu na porowatą strukturę drewna wino powoli się utlenia, a alkohol i woda odparowują. Co kilka dni trzeba uzupełniać poziom wina w beczce (danina dla aniołów). Beczka po 4 latach traci właściwości aromatyzujące.

7. Stabilizacja białkowa (klarowanie)

Proces polegający na dodaniu do wina najmniejszej skutecznej dawki środka stabilizującego wychwytyjącego znajdujące się w winie **białka**. W przypadku białego wina najczęściej stosuje się **bentonit** – ilasty minerał o ujemnym ładunku elektrycznym przyciągającym cząsteczki białek. Nie nadaje się on do wina czerwonego, gdyż powoduje jego odbarwienie. W tym drugim przypadku zazwyczaj stosowany jest **karuk** (klej rybi). Usunięcie białek nadaje winom klarowność oraz pozwala uniknąć powstania niechcianych odorów. Nadmierne klarowanie może mieć niekiedy negatywny wpływ na wino, dlatego winiarze podchodzą do tego procesu z delikatnością.

11. Rozlew i zamykanie butelek

Ostatnim etapem winifikacji jest butelkowanie. Do zamykania butelek z winem najczęściej stosowany jest **naturalny korek** wyrabiany z kory dębu korkowego. Coraz częściej jednak spotyka się **korki syntetyczne i metalowe zakrętki**. Sposób zamknięcia nie świadczy o jakości wina. Ponieważ większość win jest przeznaczona do wypicia w ciągu maksymalnie trzech lat od wyprodukowania, metalowe nakrętki są praktyczniejsze. Przepuszczają mniej powietrza, dzięki czemu wina dłużej zachowują świeżość i nie są narażone na wadę korkową.

10. Dodanie siarczynów

Dwutlenek siarki jest od wieków stosowany w winiarstwie ze względu na **właściwości bakteriobójcze i antyoksydacyjne**. Jest to bardzo popularny środek konserwujący. Poza winem występuje np. w napojach gazowanych, sokach, konfiturach, wędlinach, mrożonkach i suszonych owocach. Do win czerwonych zawierających dużo tanin, które działają jak konserwanty, dodaje się mniej siarczynów niż do win białych. **Siarczyny nie mają niekorzystnego wpływu na zdrowie osób, które nie są na nie uczulone.**

*proces stosowany głównie w produkcji win czerwonych

ŹRÓDŁO: WINNICALDLA.PL, DOBREWINO.PL, FESTUS.PL, R. MYŚLIWIEC „UPRAWA WINOROŚLI”

W GÓRACH BARDZIEJ CHCE MI SIĘ ŻYĆ

Samotny jestem w Polsce, a nie tam.

Radosław Leniarski

Paweł Kopeć zmarł 3 lipca o godzinie 3.19 na stoku Nanga Parbat na wysokości 7400 m n.p.m. w ramionach Sauliusa Damuleviciusa. Pomoc z obozu III – butla z tlenem – nigdy nie nadeszła. Według wielu zagranicznych świadków na górze panował chaos, a wspinacze dopuścili się zaniechań, które mogły się przyczynić do śmierci polskiego himalaisty.

Waldemar Kowalewski – Waldi – przez 4,5 godziny próbował sprowadzić Pawła Kopcia w bezpieczne miejsce, aż w końcu nie dał rady iść z nim dalej. Opowiada „Wyborczej”, jak tragiczne wydarzenia na Nanga Parbat wyglądały z jego perspektywy – człowieka, który znalazł się w krytycznej sytuacji: zagroże-

nia własnego życia i zbliżającej się śmierci towarzysza.

Zastanawiałem się, dlaczego Kowalewski chciał o tym mówić. W trakcie rozmowy się domyśliłem: powodem było to, co działo się nie w górach w Azji, ale w Polsce.

Co się z tobą działo przez ostatnie miesiące?

WALDEMAR KOWALEWSKI, ZDOBYWCA 10 OŚMIOTYSIĘCZNIKÓW: Zniknąłem. Na pięć miesięcy wyjechałem do Nepalu i Pakistanu.

Najpierw byłem z grupą fajnych ludzi pod Mount Everestem na trekkingu. Wszedłem na Lobuche (6119 m n.p.m.). Pięć minut od szczytu jest półka na trzy namioty. Nie pierwszy raz tak zrobiłem, więc jest też to trochę sentymalne. Lobuche jest idealny z powodów aklimatyzacyjnych. Kiedyś – w 2017 r. – wchodzę na Lobuche solo, bo nie było chętnych z powodu pogody. Pod samym szczytem rozbijam namiot, a tu z góry, już niemal z wierzchołka, na mój namiot ktoś sika. Patrzę i oczom nie wierzę, nie, to chyba nie Rafał Fronia. „Fronia, to ty?!” – krzyk-

nałem. „Nie. Święty Mikołaj” – odpowiedział. Na szczycie pojedliśmy herbatniki, popiliśmy herbatę.

Teraz też sobie spałem na Lobuche. Nagle ktoś szarpie za linki. Czyżby Fronia? Patrzę, 2-3 w nocy. Otwieram, a tam szarpa młody, może 20 lat. Pyta, czy to baza. „No co ty, chłopie? To szczyt”. Patrzę, a on w traperkach na nogach, trzęsie się z zimna, hipotermia totalna. Jest z gigantycznym plecakiem, takiej wielkości jak on. Dawaj go do namiotu, herbata, masaż stóp dwie godziny. Rano podziękował, otwiera plecak, a tam wszystko dla dwóch osób – buty, raki, puchówki, dwa czekany, grube rękawice. Miał klienta w bazie, ale ją minął, szedł, szedł, aż doszedł prawie na szczyt Lobuche w traperkach i o mało nie umarł, a na pewno straciłby palce u nóg i rąk, bo nie śmiał wyciągnąć z plecaka rzeczy nienależących do niego.

Po Lobuche poszedłem jeszcze na szczyt Island (6189 m n.p.m.) i dopiero na Kanczendzongę (8586 m n.p.m.). Mój ósmy ośmiotysięcznik. Trzeci szczyt świata. To dziwne, ale nikt tam nie robi trekkingu do bazy, tylko wszyscy przyla-

tują helikopterem. „Jaki helikopter, co to za pomysły?” – myślę.

Ja idę, bo muszę się zaaklimatyzować. Przewodnicy bali się o mnie, że się zgubię, zginę, bo tak już bywało, trekking do bazy pod Kanczendzongę jest paskudnie trudny. Ale jacyś Hiszpanie się dołączyli, ktoś jeszcze i poszliśmy. I faktycznie trekking szok. Mówi się, że trasa na lodowiec Baltoro jest trudna [tamteży trzeba iść do baz dla wypraw na K2, Broad Peak i Gasherbrum], to to było Baltoro Quattro. Do- staliśmy strasznie w kość, każdy cierpiał, choć towarzyszymi byli porządni wspinacze. Jeden, 21-letni Francuz Vadim Druelle, potem z bazy na szczyt solo bez dodatkowego tlenu wszedł w 19,5 godziny, co jest rekordem świata. Fajnieśmy razem z nim skakali między obozami, bo ja byłem bardzo dobrze zaaklimatyzowany, ale on to maszyna, as nad asami.

Nie czujesz się samotny, gdy wyjeżdżasz na pięć miesięcy?

– (dłuższa cisza) Rodzina się rozpada. Jestem w trakcie rozwodu.

Z powodu gór?



– Góry były najważniejsze, ale to nie ja chcę rozvodu. Żona chce odejść. Tak się po prostu dzieje. Więc samotny jestem w Polsce, a nie tam. Mieszkam pod Szczecinem sam. W górach bardziej chce mi się żyć.

Pierwszy raz byłem w górach tak długo. Przemieszczałem się między Nepalem i Pakistanem. Tylko raz pozostałem w jednym miejscu trzy dni. Wciąż chciałem iść dalej, bez przerwy. Uczestniczyłem w powtórnych atakach na Kanczendzongę po zaledwie półtora dnia odpoczynku, większość wspinaczy odpuściła powtórny atak, chyba 90 procent, a tylko Kristina Harila [norweska wspinaczka, która weszła na wszystkie ośmiotysięczniki w 92 dni] – w sumie byliśmy razem na trzech ośmiotysięcznikach – weszła za pierwszym razem. Miała lepszy program w GPS. Myśmy się zgubili. Ale za drugim podejściem dotarłem na szczyt. Gasserbrum II atakowałem dwukrotnie.

Pięć miesięcy w Himalajach i Karakorum zaplanowałem dużo wcześniej, tylko nie wychodziło. Dwa lata temu, rok temu. Teraz dobrze się wszystko ułożyło. W Polsce życie mi się rozpadło całkowicie, za to w górach jest dobrze...

Nie myślałeś, żeby – skoro góry są najważniejszą przyczyną odejścia żony – zrezygnować raczej z nich?

– Kiedyś miałem takie myśli, wiosną 2018, kiedy zginął przy mnie mój partner na Dhaulagiri Simone La Terra [Waldi wspominał, że na jego oczach namiot Włocha wraz z nim porwał huragan i zrzucił w przepaść]. Strasznie źle się czułem. Sądziłem, że to, co się ze mną dzieje, to nie jest żadna trauma ani depresja, tylko po prostu takie samopoczucie. Psycholog powiedział mi, że to jednak jest depresja. Wy tłumaczył mi, że myślenie codziennie o czymś takim przez rok czy dwa lata, poczucie zmęczenia tymi myślami, nawet nie mocnymi, ale uporczywymi, dosłownie dzień w dzień – to są objawy głębokiej depresji. Nie wiedziałem nawet, że jestem zdolny do depresji, kojarzę tę chorobę raczej z wrażliwymi osobami, a sam się za taką nie uważałem. A na pewno nie nazywałem tego samopoczucia jakąś jednostką chorobową. Po prostu tak się czułem. To była jedyna śmierć w górach, którą tak mocno przeżyłem. 65 wspinaczy zginęło w tych samych górach wtedy, gdy i ja tam byłem, ale to śmierć Simone’a La Terry tak na mnie wpłynęła.

Miałem to nieszcześnie uczestniczenia w trzech wielkich katastrofach, które ludzie czasami nazywają 3 x 16, choć w sumie wiadomo, że zginęło prawdopodobnie więcej osób niż 48. Na Dhaulagiri w 2012 byłem w II obozie, gdy piętro wyżej lawina zawięła cały obóz III. Zginęło 16 osób, a my ze Zbyszkiem Bąkiem spóźniliśmy się z wchodzeniem, co nam uratowało życie. W 2014 serak pod Everestem się oberwał i lawina zabrała 16 najlepszych szerpów, byłem niedaleko. W 2015 wiosną, znów Mount Everest, kiedy byłem w bazie po wejściu na sąsiedni Lhotse – trzęsienie ziemi, kolejnych 16 wspinaczy zginęło, zaorana połowa obozu [w Nepalu zginęło w tym trzęsieniu 9 tys. ludzi].

Zawsze są ofiary, ja nie słodzę. Taką jest prawda. Wróciłem z mojej 17. albo 18. ekspedycji, podczas których byłem na 10 ośmiotysięcznikach, bo nie zawsze się udawało, jak na przykład w szalonej wyprawie zimą na K2 w 2021. Na 14 z 17 czy 18 ekspedycji, w których brałem udział, zginęli ludzie. Zrobiłem sobie kiedyś taki czar ny remanent.

Z Nepalu przyleciałem do Polski, musiałem być na rozprawie związanej z rozwo dem. Ledwo zdążyłem z tej Kanczendzong i, zbiegłem z niej, można powiedzieć. Dotarłem do Szczecina dzień przed rozprawą, niezwykle dla mnie ważną. A potem z powrotem do Pakistanu. 8 czerwca byłem już w drodze na Nanga Parbat.

• **Waldemar Kowalewski (z lewej) na szczycie Broad Peak**

Słyszę, że palisz. Jak to możliwe, że na wszystkie niskie ośmiotysięczniki wchodzisz bez dodatkowego tlenu i jednocześnie palisz...

– Eee, to teraz to ziółka trochę, leczniczo, a tak na co dzień to e-papierosy. Palę rzadko, czasem, jak mnie ktoś poczęstuje. Od razu czuję, że papieros mi zabiera płuca. Dużo płynam, to moja główna metoda przygotowań, i tracę kilka-kilkanaście procent wytrzymałości po papierosie. Tego się nie da oszukać.

Na Nanga Parbat wydarzyło się mnóstwo rzeczy dotąd słabo wyjaśnionych.

– Umówiliśmy się bodaj w siedmiu Polaków, wśród nich był Paweł, że pójdziemy na szczyt z pominięciem obozu IV. Poznałem ich tam, w bazie. Bardzo fajni ludzie. Od razu było miło, od pierwszego wejrzenia. Z Pawłem mijaliśmy się w rotacjach [wspinacze się aklimatyzują, spędzając czas na coraz większych wysokościach], więc niezbyt dobrze się zaznajomiliśmy. W trójce aż trzy noce spędziłem jako jedyny. Nie rozumiałem tego – przecież to najlepsza adaptacja do warunków w strefie śmierci. Byli tacy wspinacze, którzy spędzili tylko jedną noc w obozie III i tak się złożyło, że żaden nie dotarł na szczyt. Wśród nich

„Tylko nie mów czasem, że góry i małżeństwo dadzą się pogodzić, bo nie dadzą”. Żona kazała mi to powtórzyć w wywiadzie, ale wtedy tego nie zrobiłem. **Więc mówię teraz**

rewelacyjny Victor Rimac z Peru. Jemu też się wydawało, że jeden dzień aklimatyzacji w trójce wystarczy.

Skąd ten pomysł z pominięciem obozu IV? Nanga Parbat to obszerny ośmiotysięcznik. W drodze na szczyt pokonuje się ogromny dystans, na co trzeba czasu. A więc jest niebezpiecznie.

– Wszyscy chcieliśmy założyć obóz IV, lecz zrobili to tylko Saulius i jego wspinaczkowy partner Wołodimir Lanko. Ale wtedy grupa szerpów zdecydowała, że idzie z klientami na szczyt z trójki, bez zakładania obozu IV. Ja byłem przygotowany dzięki aklimatyzacji. Nie pierwszy raz byłem świadkiem takiej zmiany sytuacji. Wiele osób zdecydowało, żeby z nimi iść.

Dlaczego?

– Najlepiej iść za grupą szerpów, jeśli jest po opadzie śniegu. A właśnie było. Bo oni idą w grupie i robią głęboki ślad, tralują. Wtedy o niebo łatwiej iść. Kiedyś na jeden z ośmiotysięczników nie wszedłem, bo nie dałem rady wspinać się wiele godzin, przebijając się samotnie w śniegu, czasem po kolana, a czasem po pas głębokim – zbyt szybko wyczerpują się siły, zbyt długo to wszystko trwa. Jak się idzie w grupie, można się zmieniać, co często robię, wspomagając szerpów, i idę na szczyt pół godziny, godzinę.

Czyli lepiej było się do nich przyłączyć...

– Tak. Ale się baliśmy, że tylko wystartujemy razem, a zaraz potem oni nam uciekną. Szli z dodatkowym tlenem, w grupie. Pytanie było, jak szybko będziemy, czyli jak długo skorzystamy z ich śladu. Czasem ślad znika po godzinie, tak jest zawiewany śniegiem. I tak było tym razem. Wyszedłem trochę później niż reszta Polaków, potem wyminąłem kogoś, potem następnego, potem ktoś inny mnie wyminął. Po dwóch godzinach po przejściu szer-

pów w ogóle nie było po nich śladu. Dystans zwiększał się z godziny na godzinę. My nie byliśmy coraz wolniejsi, po prostu byliśmy wolni. A oni – korzystając z butli i na zmianę przecierając szlak – byli szybcy.

W pewnym momencie dotarliśmy do miejsca, gdzie zwykle jest obóz IV, ale tam nie było nic oprócz butli z tlenem, którą zostawili szerpowie. Często tak robią – są puste lub pełne. Jak schodziłem ze szczytu, to zauważyłem że jej już nie było.

W sumie to była moja najdłuższa akcja szczytowa. Od wyjścia z obozu III do dotarcia na szczyt i zejścia z powrotem do obozu III minęło 28,5 godziny. Miałem kiedyś akcję 25-godzinną – w 2017 r. na Broad Peak (8051 m n.p.m.), ale tutaj to był dramat. Z tego 4,5 godziny holowałem Pawła.

Widziałem twój filmik z podejścia. Mijałeś schodzących ze szczytu Piotra Krzyżowskiego, Pawła Kopcia, kogoś jeszcze. Jak wyglądał Paweł, gdy go wymijałeś, idąc pod górę?

– Mijałem ich, Niemkę Anję Blachę i jeszcze Węgry [Csaba Vargę]. Krzyknąłem do Piotra i Pawła dla żartu: „Jak Polaki, to zagryźlaki!”. Bardzo się ucieszyłem, widząc ich. Zapyta-

łem Piotra, ile jeszcze na szczyt, powiedział, że godzinę, ale były prawie dwie. Paweł jest w kadrze tego filmu. Nie zauważyłem, żeby było z nim coś nie tak. Mijając go nieco wyżej niż Piotra, powiedziałem: „Hej, gratulacje!”, i poszedłem dalej.

Znalazłem Pawła, schodząc ze szczytu. Szedłem szybko, ryzykownie, bo strasznie późno dotarłem na wierzchołek, a na szczycie zacząłem odczuwać halucynacje. Traciłem kontrolę. „Zaczyna się” – pomyślałem. Miałem to już wcześniej na Dhaulagiri. Pomimo trzech nocy w obozie III przeszedłem niewystarczającą aklimatyzację, bo jednak ten obóz był za nisko.

Wiedziałem, że muszę w pół godziny obniżyć się o jakieś 200 metrów, bo będzie ze mną źle. Zasuwałem, ratując życie. Gasłem szybko. Wszystko zaczyna się od tego, że człowiek dąży do tego, żeby przysiąść chwilę, odpocząć, złapać drzemkę, zmrużyć oczy. Ale jak to zrobisz, to będzie koniec. Ludzie tak umierają, zamarzając.

Były sprzeczne informacje, że się zgubiłeś, że nie wiesz, gdzie jesteś, że masz ciężkie halucynacje...

– Anja coś pokręciła, gdy składała relację Piotrowi Krzyżowskiemu, a on to zgłosił do bazy. Aż tak źle nie było.

Sam bym nie wiedział, że sprowadzałem Pawła przez 4,5 godziny. Ale w trójce był operator, który nagrywał szczyt. Aparat został ustabilizowany na statywie, zapisywał się obraz nocy pod Nanga Parbat. Na filmie widać światelka i widać upływający czas. Niewinny zapis tragedii. Operator pokazał mi później nagranie: „Patrz, Wal di, tutaj jest twoje światelko, masz mocną czołówkę, schodzisz szybko. A tu docho dzisz do Pawła, wasze czołówki się łączą, jest godzina 20. Dalej posuwacie się strasz-

nie wolno. Tutaj od niego odchodzisz. Jest godzina 0.30”.

Kilkanaście minut później doszedłeś do namiotów rozbitych w założonym w międzyczasie obozie IV. To znaczy namiotu Sauliusa i Wołodimyra.

– No tak, tylko że widok tego namiotu mnie trochę zaskoczył. Zanim to się stało, wiele się wydarzyło.

Gdy schodziłem sam z Pawłem, trzykrotnie ześlizgiwał się w dół na odcinku może 100 metrów. Szliśmy stromym zboczem, ale trawersując mniej więcej w poziomie, w wydeptanym szlaku. Było w miarę bezpiecznie, jeśli ktoś szedł świadomie i pewnie. Paweł jednak lewitował. Gdyby upadł na plecy i zsunął się w dół, mógłby zjechać daleko, a niżej zaczynała się przepaść. Nie było żadnej pewności, czy upadnie na plecy. Upadał na brzuch, ja się za nim rzucałem też na brzuchu i wylapywałem go, a potem wciągałem na ścieżkę. Nie pamiętam, ile to trwało przy jego pierwszym upadku i drugim. Ale trzeci pamiętam dokładnie – 45 minut wyciągałem go na ścieżkę.

Kiedy już byliśmy na ścieżce, zatrzymaliśmy się. Odpoczywałem. Potem Paweł szedł kilka-kilkanaście metrów i sytuacja się powtarzała.

Związałem go linami, zrobiłem czterometrową lonżę. Wykorzystałem moje linki i jego, przeciąłem, powiązałem. I tak go ciągnąłem. Ale sam już nie miałem siły. Mijała 22. godzina od wyjścia z obozu III, na szczycie byłem rekordowo późno, bo o 17, i wciąż znajdowałem się bardzo wysoko, ponad 7400 m n.p.m. Zrobiłem mu zastrzyk w przedramię z deksametazonu. Zawsze mam ze sobą dwa w takich plastikowych pojemniczkach po lekach, po witaminach. Już w strzykawce, gotowe do zrobienia. Noszenie ampulek nie ma sensu. Jak potem przygotować zastrzyk zmarzniętymi rękami, w ekstremalnych warunkach, często w nocy, gdy wiatr wieje, a ktoś umiera, bo to zwykle są właśnie takie krytyczne okoliczności? Robiłem chłopakom szkolenie w namiocie, Paweł też był. Prosiłem, żeby każdy miał dwa przygotowane zastrzyki. Miałem przy sobie dwa i dobrze, bo jeden mi pyłówka wytrąciła z rąk – kilka takich lawin pyłowych schodziło, niezbyt mocne były, no ale strzykawka poleciała, straciłem ją.

Za trzecim wyciągnięciem Pawła, zostaliśmy tam. Próbowaliśmy go zmotywować na żonę, na dzieci, ale nie miał żony ani dzieci. No to na rodziców. Na początku agresywnie: „Zdechniemy tu, Paweł! Obaj tu zdechniemy, rozumiesz?!”. Potem inaczej. Łagodniej, jakoś tak... Nic nie działało. Nie ruszył się. On tam umarł, ale o tym dowiedziałem się dopiero na dole, w trójce.

Wysłałem informację komunikatorem satelitarnym, że Paweł jest umierający. Napisałem, że ma dwie godziny przed sobą, jeśli nie dostanie tlenu. Pawłowi też to powiedziałem, choć w sumie nie wiedziałem, czy to precyzyjne.

Ostatnią godzinę był z nami Mariusz Szczechowicz. Był strasznie trafiony. Miał narastające halucynacje, o czym przekonywałem się powoli, bo nie rozpoznałem od początku, że jest z nim aż tak źle. Piotr [Krzyżowski] wspominał potem, że gdy schodził, spotkał Mariusza idącego w górę – na wysokości 7500-7600 m. „Gdzie idziesz? Co robisz?”. „Idę na szczyt”. Było na to o wiele godzin za późno. „Schodź!”. „Dobra, schodzę, tylko pofotografuję trochę”. Mariusz twierdził, że umówił się z Pawłem na szczycie na godz. 18, bo jest rezerwacja i musi zdążyć, bo inaczej rezerwacja przepadnie. Jakby to była restauracja albo pub. To mnie rozbiło całkowicie.

Szczerze mówiąc, nie miałem głowy patrzeć, jak on się czuje, bo tak byłem zajęty Pawłem. W końcu powiedziałem, że trzeba iść w dół po pomoc. Mariusz sam iść nie chciał, bo się obawiał, że zabłądzi i że są szczeliny, uważał, że ja będę szybszy. Faktycznie tak było. Pomyślałem, że skoro nie dotarł do szczytu, to może jest

w lepszej nawet formie niż ja. Więc ich zostawiłem.

Schodzę w dół, patrzę, a tu namiot – Saulius i Wołodymyr z naszej mesy w bazie rozbili obóz IV. Bardzo się ucieszyłem. Radiem Sauliusa połączyłem się z Piotrem: powtórzyłem to, co napisałem komunikatorem. Paweł jest w stanie krytycznym, nie współpracuje, ma maksymalnie dwie godziny życia przed sobą. Wiedziałem, że Paweł miał 2 tys. dolarów w bagażu w bazie, więc napisałem, że Paweł daje 2 tys. temu, kto przyniesie mu tlen w butli, którą mieliśmy w obozie. Wszystko jest udokumentowane.

Brutalne...

– Wiem, ale chodziło o życie, a jego tylko to mogło uratować. Nie jestem naiwny. Nikt za Bóg zapłać by nie ryzykował. Jak jest zagrożenie życia, trzeba walić po oczach dużymi pieniędzmi. Mocny człowiek z tlenem, sam używający tlenu dotarłby do Pawła w dwie i pół, trzy godziny. Po drodze nie ma żadnych dramatów wspinaczkowych.

Czyli była szansa na uratowania Pawła?

– Na styku. Paweł umarł o 3.19 Sauliusowi na rękach. Ja po 0.30 dzwoniłem od Sauliusa z informacją o tych ostatnich dwóch godzinach Pawła. Gdy doszedłem do trójki, była 3.30 w nocy. Paweł już nie żył, ale ja tego jeszcze nie wiedziałem. Natomiast byłem świadomy, że do świtu nie dociągnie.

Dlaczego nikt nie ruszył z ratunkiem?

– No właśnie, jeśli chodzi o prośbę o butlę dla Pawła: przyznaję, wysiłek wejścia na szczyt był ekstremalny i nawet szerpowie, którzy to zrobili i wrócili, nie chcieli podjąć tej próby. Byli umordowani. Słyszałem też od Piotra, który rozmawiał ze wszystkimi o tych 2 tys., że zgodził się jeden HAP [high altitude porter, w Pakistanie odpowiednik himalajskiego szerp] we włoskiej grupie Marca Confortoli. Nie był wyznaczony do atakowania szczytu, więc nie miał wielkich zobowiązań wobec klienta. Ba, Włosi już wtedy zdecydowali, że nie będą atakować szczytu i zwracają. To było dla mnie najbardziej bulwersujące. Bo gdyby szli na szczyt, to egoizm ich decyzji o nieudzieleniu pomocy byłby bardziej zrozumiały. No i ten Ali, HAP... Dlaczego w ogóle posłuchał Confortoli? Przecież i tak szli w dół. A mógłby życie komuś uratować, zarobić kupę kasy i wyrobić sobie szacunek w środowisku, co zaprocentowałoby w przyszłości. Potem, gdy się spotkał w dolinie, tłumaczył, że bardzo żałuje.

Zaś Saulius już nie poszedł na szczyt. Akcja ratowania Pawła go zatrzymała. Ja nie wiem, może też bym zawrócił, gdyby mi zmarł człowiek na rękach. Może też psychicznie nie dałbym rady.

Wcześniej słyszałem o tym Confortoli, że to jakiś superman, wokół rozciągał aurę niezwykłości, ale chodził wszędzie z szerpami do pomocy i z dodatkowym tlenem. Nie krytykuję chodzenia z szerpami i tlenem, ale po co robić z siebie nie wiadomo jakiego bohatera? Unikał potem kontaktu i pierwszy uciekł z bazy. Miał pewnie obawy, czy ktoś z nas, Polaków, nie będzie chciał mu skóry przetrzepać. I faktycznie, gdybyśmy się o tym dowiedzieli wcześniej, to nie wiem, co by było, bo każdy z nas był tym zachowaniem oburzony. Ale powtarzam, te wszystkie wysiłki uratowania Pawła prawdopodobnie byłyby nieskuteczne.

łem, że powinienem być około godz. 22-24 na wierzchołku. Byłoby wspaniale, bo zwykle podczas takich nocy jest mroźno, a więc śnieg jest bezpieczny, jest klawrownie i nawet nie trzeba odpalać czółówek, tak księżyc wali światłem. Odpocząłem więc chwilę, bo byłem bez odpoczynku w bazie w sumie już 16 dni z rzędu powyżej 6000 m. Chciałem pójść na szczyt z ominięciem górnych obozów. 16 godzin drałowałem w górę, choć to był kolejny dzień tak wysoko, drugi ośmiotysięcznik w 12 dni. No i na górze znów mnie złapała mgła, choć wcześniej widziałem z daleka nawet światła Jędrka Bargiela. Zawróciłem na 7500 m.

Masz za sobą 10 ośmiotysięczników. Teraz były Kanczendzonga w Himalajach, Nanga Parbat i Gaszerbrum I w Kara-

Na 14 z 17 czy 18 ekspedycji, w których brałem udział, zginęli ludzie. Zrobiłem sobie kiedyś taki czarny remanent

Myślałem, czy nie wrócić po tym wszystkim do Polski. Wybrałem góry. W Polsce rozwód, depresja. Zostałem. Pojechałem na Gaszerbrumy. Na Gaszerbrum I, całkiem trudną górę, weszliśmy po strasznie wyczerpującym trekkingu – pośpiesznie, bo się baliśmy, że nie zdążymy na okno pogodowe – niemal z miejsca w stylu alpejskim, bez tlenu, bez szerpów. Ale na drugi Gaszerbrum nie dało się wejść. Byliśmy całkiem niedaleko od szczytu, 108 m pod nim, lecz nie potrafiliśmy odnaleźć drogi w mleku, które tam panowało. Siedziałem ze dwie godziny i rozmyślałem, co robić. Doszedł do nas przewodnik, Pakistańczyk Muhammad, który był już na szczycie pięć razy. Ucieszyłem się. Powiedziałem mu: „Jest nasz bilet do nieba”. Ale on usiadł, zastanawiał się i powiedział, że nie wie, gdzie jest szczyt.

Jeszcze raz spróbowałem, bo miała być pełnia księżyca, a ja nigdy podczas pełni nie byłem na szczycie. Wykalkulowa-

korum i dwukrotny nieudany atak na Gaszerbrum II. Dokończysz zadanie?

– Tak. Chcę być na wszystkich. Realizuję to marzenie od 11 lat. Dopnę swego albo zginę, próbując. Są jeszcze inne możliwości niepowodzenia: zdrowotne na przykład, tak jak teraz kontuzja kręgosłupa z powodu zbyt długiego trekkingu na koniu podczas powrotu z Gaszerbrumu. Konia zamówił sobie za duże pieniądze, bo 200 dolarów, pewien szarpa, który się spieszył na samolot. Ale wkrótce się okazało, że ten szarpa jest szybszy niż koń, a do tego jazda po wertepach i stromych ścieżkach jest niebezpieczna. No więc najpierw jechała moja partnerka wspinaczkowa, a kiedy ona wymiękła, to ja jechałem. Cierpiałem i czekałem na koniec. Potem nie mogłem chodzić przez dwa tygodnie, a teraz się leczę.

Wkręciły cię te góry na amen. Nie widzisz nic poza nimi i nie chcesz już nic widzieć...

– Zawsze taki byłem. Jak mi synowie chcieli dokuczyć, to mówili, że jestem fanatykiem. I mieli rację, choć dokuczali. Jak pracowałem, byłem pracoholikiem. Teraz nie mogę być pracoholikiem, bo spółka jest zamrożona z powodu rozwodu. Kochałem pracę. Wtedy góry były ważne, lecz nie najważniejsze. Teraz to już popłynąłem całkiem. Chyba tak. Ale też dlatego popłynąłem całkiem, bo gdy tam jestem, czuję się szczęśliwy. Nie cierpię uczucia, jakie zapanowuje nade mną w Polsce.

Jakiego uczucia?

– Rozwód. To jest straszne. Okropne. Nie do opisanie. Byliśmy razem 27 lat.

Biorę tutaj antydepresanty, ja, który byłem zawsze z daleka od jakichkolwiek leków. Woląłem, żeby mnie bolało, niż brać. Antydepresanty? Uważałem, że jak ktoś ich potrzebuje, to sobie w życiu nie radzi. I wyobraź sobie, że przez pięć miesięcy nie wziąłem ani jednej tabletki.

Góry. Pojechałbym jesienią. Ale nie dam rady pewnie. Fizycznie one wyczerpują. Psychiczenie też. Jednak w porównaniu z tym, co mam tutaj, to jest żart, to jest nic, to jest relaks.

Wiesz, że wkrótce dokończysz dzieła.

I co wtedy?

– Nie wiem. Coś znaję.

Rozłączyliśmy się, lecz za chwilę Waldi zadzwonił i powiedział:

– Zapomniałem coś dodać. Kiedy rozmawialiśmy dwa lata temu, żona to słyszała i stwierdziła: „Tylko nie mów czasem, że góry i małżeństwo dadzą się pogodzić, bo nie dadzą”. Kazała mi to powtórzyć w wywiadzie, ale wtedy tego nie zrobiłem. Więc mówię teraz. ●

OGŁOSZENIA

Wojciech Fusek • Jerzy Porębski

KURCZAB
SZPEJ, SZPADA I TAJEMNICE
NIEZWYKŁE ŻYCIE
JANUSZA KURCZABA

OD TATR PO HIMALAJE
LITERACKIE WYPRAWY Z WYDAWNICTWEM AGORA

GOPR
NA KAŻDE WZKAZANIE
WOJCIECH FUSEK • JERZY PORĘBSKI

POLSKIE HIMALAJE
JANUSZ KURCZAB • WOJCIECH FUSEK • JERZY PORĘBSKI

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

Wydawnictwo
Agora

Która partia gra w klubie Dąb Przybyszów

Polskiej polityce życzę, żeby była jak polska siatkówka.

Marcin Matczak

Nie potrafię się cieszyć tak jak kiedyś z wygranej polskich siatkarzy. To znaczy cieszę się, ale jakoś tak bez maksimum emocji.

Dlaczego? Może dlatego, że grają tyle, że już nie nadążam. Jak nie mistrzostwa Europy, to mistrzostwa świata, jak nie Liga Narodów, to olimpiada. Odczuwam tu, jak w portfelu, inflację, tyle że emocji, deprecjację złota, bo jak wygrywają, to zaraz coś przegrają, a jak przegrają, to zaraz coś wygrają. Tak samo Iga Świątek. Brakuje mi poczucia ostateczności, które daje emocje ostateczne, skrajne. Jak w finale mistrzostw świata w piłce nożnej, kiedy było wiadomo, że albo Messi zdobędzie ten puchar teraz, albo już nie zdobędzie go nigdy. A tu wiadomo, że będzie jeszcze raz.

Przychodzi więc ta wygrana i odchodzi. Zupelnie jak afery PiS, tyle że z nimi zamiast chwilowego zachwytu przychodzi chwilowe oburzenie. Ale też zaraz mija. Dlaczego nie trwa? Dlaczego te afery nie czepiają się władzy?

Bo współczesna polityka jest punktowa emocjonalnie. Elektorat tresowany przez media społecznościowe, ciągle patrzący na ekscytujące obrazy, nie czyta opisów, szuka udziału w emocji, nie w analizie. Nie interesują go przyczyny czy dalekosiężne konsekwencje, ale wspólne przeżycie oburzenia albo zachwytu. Afera działa trochę tak jak porażka piłkarzy – daje chwilowe poczucie zawodu, nawet wstydu, ale po chwili mija i życie toczy się dalej. „PiS-owcy, nic się nie stało!”, skanduje elektorat, a kolejne sukcesy albo porażki przykrywają to, co było wcześniej. Nie ma trwałości, jest chwilowość.

Bo sport i polityka mają wiele wspólnego. Ta ostatnia jest u nas rywalizacją dwóch drużyn: każda ma swoje barwy i swoje pieśni, każda ma swoje rytuały i swoje tańce „haka” – jak rugbiści. U nas nazywają się one marszami, w czasie których rywalizuje się frekwencją, ale też dość mocno wygraża rękami.

Bardziej ślepy na błędy swoich jest elektorat PiS. Jeśli PiS-owi idzie źle, wyborcy zostają mu wierni jak klubowi, nawet gdy zostaje zdegradowany. Piłch mógł kibicować Cracovii, mimo że ciągle przegrywała. Ludzie kibicowali wiernie Polonii czy Widzewowi, gdy te spadały do niższych lig. Politykowi PiS, nawet gdy kradnie, elektorat śpiewa: „Nigdy nie będziesz szedł sam”, i racjonalizuje, pomija, zapada w polityczną amnezję. Nie jakoś gry się tu liczy, ale ślepa wierność.

Gdy ukochaną partię dopada afera, jej polityczni kibice przeżywają dysonans. Ktoś oskarża to, co jest częścią ich tożsamości, a więc obraża ich samych. Twardy elektorat przyznający, że afera rzeczywiście zatapia jego partię, jest tak samo prawdopodobny jak człowiek przyznający: „Zupełnie się myliłem co do swoich wyborów – jestem kompletnym idiotą”. Nikt nie jest tak uczciwy intelektualnie, by to zrobić.

Stąd duża popularność wymówek, które łagodzą winę („nie płaciło się za wizy, ale za wizyty” – ha, ha, ha) i jeszcze większa popularność odpowiadania zarzutem na zarzut. Dlaczego w przypadku wiz PiS się nie tłumaczy, tylko Ziobrą pokazuje, że to PO brała łapówki za wizy? Bo na przyspieszkę: „Zawsze i wszędzie Legia nieszanowana będzie” druga strona nie może zareagować, zaszywając się w zaciszu pokoju i rozważając skrupulatnie przyczyny tego nieszanowania, ale musi odpowiedzieć: „Chy-

ba ty!”. I robi nam się polityka gówniażersko-kibolska i potem się dziwimy, że jest u nas tak, jak jest.

Można powiedzieć: cóż w tym złego, że twardy elektorat utożsamia się z partią jak z drużyną – nie wybiera jej jak szkoły dla dziecka, na podstawie jakości, ale dlatego, że jest częścią ich tożsamości? Ano to, że partie polityczne mają nam dostarczać nie rozrywkę, ale usługę – dobre rządzenie krajem. Mimo to wielu kibicuje PiS nawet wtedy, gdy ten spada do politycznej A klasy, gdzie zamiast grać w piłkę, łamie przeciwnikom kości i gania sędziego ze sztachetą.

Wielu uważa, że gdybyśmy mieli lepszą edukację obywatelską, sprawy wyglądałyby inaczej. To stara, naiwna wiara, że ludzie robią złe rzeczy z niewiedzy i gdyby im tylko to porządnie wytłumaczyć, nie robiliby ich. Nieprawda. Dlatego marszałek Grodzki w TVP niewiele zdziała. Jest postrzegany jak trener Legii, który mówi kibicom Lecha, że powinni się zastanowić, komu kibicują. Wierzący ślepo nie widzą argumentów. Jeśli będą chcieli umniejszyć zło, zrobią to – mała nieścisłość wystarczy im, by zwątpili w winę, drobna luka, by zakwestionowali całość zarzutu.

Ale to dotyczy najwerniejszych. Są ludzie pośrodku sceny politycznej niemający skłonności wyznawców. Są wśród nich oportuniści, którzy zagłosują na tego, kto da im więcej, ale są i tacy, którzy szukają alternatywy dla obecnej władzy, bo wiedzą, że psuje Polskę. Emocjonalność polityki oznacza, że trochę nie ma sensu nawracać wierzących – trzeba szukać wątpliwych. A tych, jeszcze niezdecydowanych, jest – jak pokazują sondaże – coraz więcej.

Czy opozycja wie, kto jest w tej grupie? Czy ma dla niej jakąś propozycję? Od dłuższego czasu staram się przekonywać, że pomiędzy głównymi partiami, które są jak walczący na ustawce kibice, stoi duża grupa ludzi, którzy nie chcą tej walki i skrajności. I to oni mogą zdecydować o wyniku wyborów.

Wróćmy jednak do związków sportu z polityką. Moja krótka kariera piłkarska zaczęła i skończyła się w klubie klasy A o nazwie Dąb Przybyszów, który był wyjątkowy, bo jego boisko nie było całkowicie poziome. Oznaczało to, że jedna z drużyn w każdej połowie miała pod górkę. Mam wrażenie, że podobnie wygląda polska polityka. Tyle tylko, że u nas PiS ma w obu połowach z górki, a im dłużej będzie rządził, tym z górki będzie miał bardziej.

Dlatego polskiej polityce życzę, żeby była jak polska siatkówka – żeby kibicować komuś, bo jest naprawdę dobry w tym, co robi, a nie dlatego, że trzeba być mu wiernym, nawet gdy kompromitująco fauluje i przegrywa. A siatkówce życzę, żeby była jak nasza polityka – bardziej ostateczna, stojąca przed wizją bezpowrotnej utraty czegoś cennego. Wtedy będzie budzić większe emocje.

I szykuję się do wyborów, które emocjonujące będą na pewno, bo – jak mistrzostwa w Katarze dla Argentyny Messiego – dla naszej demokracji mogą być ostatnie. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka.

A poprzednia – „**Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości**” – nadal w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

Gepard

„Gdyby dziś rządził Tusk, Polki nie wychodziłyby po zmroku z domu”.

Michał Rusinek

Mieliśmy ostatnio do czynienia z interesującym pod wieloma względami dialogiem między – zgodnie z precedencją – trzecią i drugą osobą w państwie, czyli marszałkiem Senatu Tomaszem Grodzkim a marszałkinią Sejmu Elżbietą Witek. Był to dialog na orędzia transmitowane przez telewizję publiczną. Telewizja ta, jak dobrze wiemy, udostępnia swój eter prawie wyłącznie przedstawicielom rządu, ale ma ustawowy obowiązek transmisji orędzi także marszałka Senatu, będącego przedstawicielem opozycji. To niewątpliwie przykry obowiązek dla instytucji, która wolałaby mówić to samo jednym głosem. Ot, taka pozostałość resztek demokracji w naszym kraju. Szkoda, że pan marszałek Grodzki tak rzadko korzysta z tej możliwości, bo w ten sposób mógłby powiedzieć coś innego niż to, do czego widzowie TVP zostali przyzwyczajeni w ostatnich latach.

Tę wymianę orędzi trudno właściwie nazwać dialogiem, raczej rozmową gęsi z prosięciem. Tu uwaga dla posła Janusza Kowalskiego, który powiedzenia – na przykład o otwieraniu się noża w kieszeni – zwykł rozumieć dosłownie: nie jest to z mojej strony forma dehumanizacji czy animalizacji trzeciej i drugiej osoby w państwie. Prosiłbym też o niepytanie mnie, kogo uważam za gęś, a kogo za prosię. To jest stare powiedzenie (można je znaleźć na przykład w listach Chopina), które stosujemy wtedy, kiedy rozmawiające ze sobą osoby się nie rozumieją i nie dogadują. Na przykład jedna zadaje pytania, a druga na nie nie odpowiada.

Marszałek Grodzki zarysował telewidzom aferę wizową – „największą aferę XXI wieku”, „korupcję na najwyższych szczeblach władzy” – i zadał rządzącym pięć pytań: „1. Od kiedy wiedzieliście o tym procederze i jego skali? 2. Kto z was, waszych współpracowników czy urzędników korzystał materialnie na tym przerzucie? 3. Kto stał na czele tego gangu, a kto został przez władzę wyznaczony na kozła ofiarnego? 4. Czy odebraliście sygnały od państw sojusznicznych z NATO, że wśród wpuszczanych przez was migrantów są też osoby podejrzwane o terroryzm? 5. Kiedy odpowiecie na te pytania opinii publicznej na otwartej konferencji?”. Pytania zostały wprowadzić zadanie prezydentowi, premierowi, wicepremierowi oraz ministrom MSZ i MSWiA, ale można było liczyć na to, że odpowie na nie marszałkini, skoro postanowiła się do orędzia marszałka odnieść.

Nic z tych rzeczy. Owszem, odniosła się ona do afery wizowej, nazywając ją „wyolbrzymioną do niebotycznych rozmiarów” sprawą „rzekomego wydania wiz pracowniczych z naruszeniem procedur”. Nie postawiono jeszcze nikomu formalnych zarzutów, ale to właśnie państwo polskie wykryło „niebezpieczeństwo naruszenia procedur” i wobec osób „mogących brać w tym udział natychmiast wyciągnięto twarde konsekwencje”. Po czym zapewniła, że „sprawa jest skrupulatnie wyjaśniana, państwo polskie sprawnie zadziało, by przeciąć domniemane nieprawidłowości”. To skądinąd ciekawe sformułowanie, bo „nieprawidłowość” jest słowem najłagodniejszym z możliwych i sugerującym raczej usterkę systemu, nie łamanie prawa przez konkretnych ludzi. Nieprawidłowość można wyeliminować, naprawić, ewentualnie wyjaśnić. „Prze-

ciąć” można co najwyżej spekulacje na temat „nieprawidłowości” i na tym z pewnością pani marszałkini zależy. Natomiast „rzekomy”, „domniemany”, „mogący brać udział” – to określenia wynikające z tego, że śledztwo jest w toku, a więc w pewnym sensie z ostrożności procesowej, ale zarazem przesuwają one aferę wizową w sferę tymczasowych domysłów, a więc osłabiają jej znaczenie. Trzeba jednak zauważyć, że afera ta ustawiła PiS w pozycji, w której w ostatnich latach znajdowało się rzadko – w pozycji defensywnej. Do tej afery musi się bowiem jakoś ustosunkować.

Schopenhauer rozmowę gęsi z prosięciem nazywa strategią dywersji: jeśli ktoś stawia ci jakiś zarzut, to zamiast się bronić i na niego odpowiadać – zmień temat. Taką właśnie strategię zastosowała pani marszałkini. Zamiast mówić o wizach, mówiła o kryzysie migracyjnym oraz „regularnej inwazji na wyspę Lampedusa”. Słowo „inwazja” sugeruje, że mamy do czynienia ze zbrojnym wtargnięciem na terytorium innego państwa i zaczynamy postrzegać uchodźców – nazywanych przez Elżbietę Witek wyłącznie „nielegalnymi imigrantami” – jako grupę zmilitaryzowaną. O rzeczywiście dramatycznej sytuacji na Lampedusie media liberalne informują najczęściej jako o „napływie”, prawicowe zaś – jako o „inwazji” lub (nieco mniej zmilitaryzowanym, ale także wrogim) „najeździe”. Tak czy owak, pytania o aferę wizową to zdaniem pani marszałkini „manipulacja” i odwracanie uwagi od „realnego problemu, czyli inwazji nielegalnych imigrantów na Europę” (tu inwazja rozumiana jest szerzej). A sprawcą tego problemu jest oczywiście Donald Tusk, którego nie może zabraknąć w żadnej wypowiedzi polityka czy polityczki PiS-u, bo przecież Kartagina musi zostać zburzona.

„Gdyby dziś rządził Tusk, Polki nie wychodziłyby po zmroku z domu, a rodzice bałoby się posyłać dzieci same do szkoły czy na basen. Na polskich ulicach płonęłyby samochody, a poruszanie się komunikacją miejską byłoby nie łąda odwagą. Dzielnice grozy nie byłyby fikcją filmową, ale rzeczywistością, z jaką mierzą się miasta we Francji czy Szwecji. Takiej chcieli by Polski” – powiedziała pani marszałkini w trybie przypuszczającym, ale jakże sugestywnym. Wiedząc, że oprócz dramatycznych wizji potrzebne jest też krótkie, zapadające w pamięć hasło, które cytować będą dziennikarze, Elżbieta Witek powiedziała: „Premier Donald Tusk to nic innego jak Lampedusa w Polsce”.

To bardzo ciekawe stwierdzenie. Giuseppe Tomasi di Lampedusa był pisarzem i arystokratą, księciem Lampedusy i diukiem Palmy di Montechiaro. Jego życie przypadło na czasy dyktatury Mussoliniego, był jednak jej absolutnym przeciwnikiem. Jako pisarz zasłynął z opublikowanej pośmiertnie wielkiej powieści „Il Gattopardo”, przełożonej przez Zofię Ernstową jako „Lampart”, zaś przez Stanisława Kasprzysia jako „Gepard” – a więc zwierzę może nie aż ryż, ale z pewnością płowe. Pojawia się w niej taki oto gorzki fragment, który dotyczy wprowadzić Sycylii czyków, ale mógłby dotyczyć też nas: „Sen jest tym, czego chcą Sycylijczycy, i będą zawsze nienawidzić ludzi, którzy zechcą ich zbudzić, choćby nawet po to, by im wręczyć najpiękniejsze dary [...]. Stąd niewiarygodny współcześnie objaw powstawania mitów, które można by otaczać szacunkiem, gdyby były naprawdę antyczne, ale są to jedynie ponure próby pogrążenia się w odmgłach przeszłości, a ta pociąga nas tylko dlatego, że żyć przestała”. Bardzo dziękuję pani marszałkini za przypomnienie nam tej wspaniałej powieści, której akcję Lampedusa rzeczywiście mógłby dziś osadzić w Polsce. ●

ZETKI W PRACY

MARZĄ O KOLUMBII I SENEGALU

Przed dekadą pierwsza pensja wynosiła 1650 na rękę, ostatnio 2850, a na słynnych śmieciówkach pracuje tylko 1 procent młodych. To czemu się skarżą?

REKLAMA

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Kamil Fejfer

Pisząc o młodych na rynku pracy, w dobrym tonie jest zacząć od narzekania na ich roszczeniowość. Albo od narzekania na tych, co narzekają na roszczeniowość młodych.

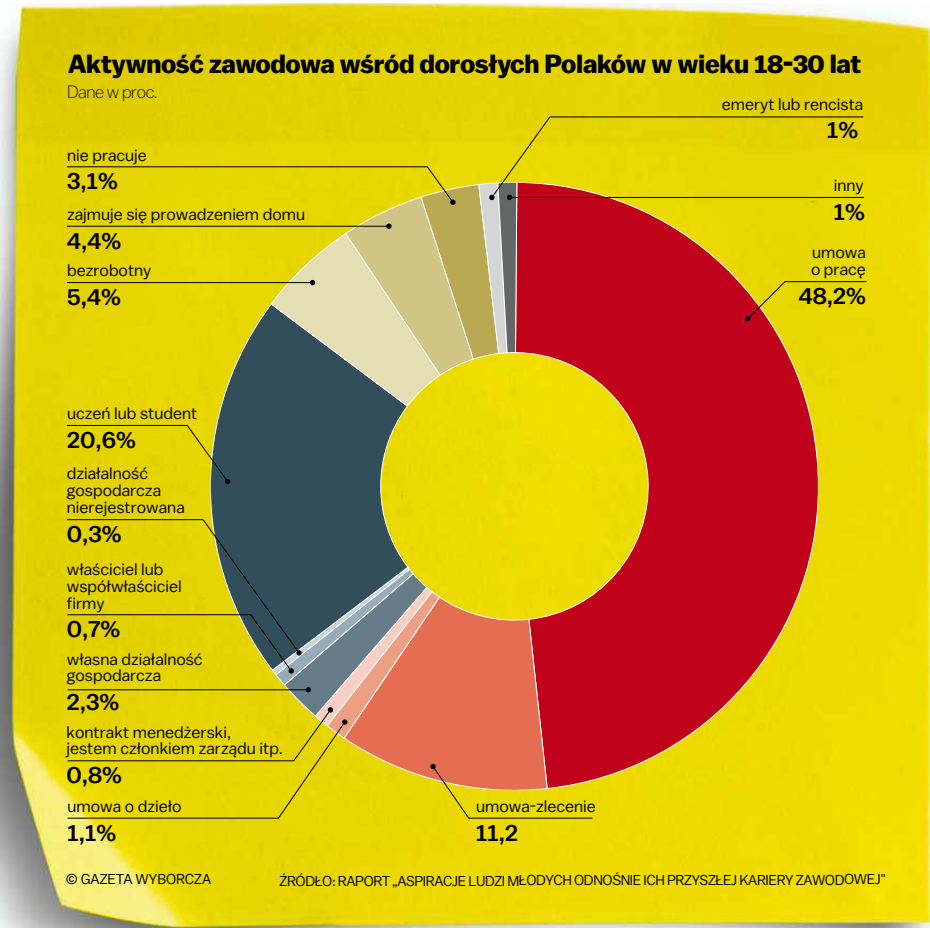
Ten refren ma jednak już dobrą dekadę albo więcej, więc powtarzanie go byłoby mało interesujące. Bardziej produktywna niż zajmowanie stanowiska po którejśkolwiek stronie sporu jest próba spojrzenia z dystansu. A pojawia się ku temu okazja, ponieważ wybory za pasem, więc i partie starają się przyciągnąć młodych wyborców postulatami odnoszącymi się do rynku pracy. Jak jest z tym pokoleniem Z i młodszymi millenialsami?

Generalnie – znacznie lepiej niż z ich rówieśnikami dekadę lub dwie dekady wcześniej.

Zacznijmy od statystyk bezrobocia. Zazwyczaj jest tak, nie tylko w Polsce zresztą, że bezrobocie wśród młodych jest wyższe niż wśród osób, które mają już jakiś staż. Powody są oczywiste. Najmłodszy dysponuje mniejszym doświadczeniem, a więc po pierwsze mają mniejszy wybór ofert, zwłaszcza jeżeli chcą pracować za nieco wyższe stawki niż minimalna, a po drugie nie są pierwszym wyborem pracodawców. Wdrażanie kogoś od zera jest bardziej kosztowne niż zatrudnienie osoby z jakimś zawodowym bagażem.

Według danych Eurostatu

w 2022 r. w Polsce stopa bezrobocia wynosiła 2,9 proc. Co, nawiasem mówiąc, było jednym z najlepszych wyników w Unii. Lepiej było tylko w Czechach, gdzie osób bez pracy było 2,2 proc. Nieco więcej bezrobot-



nych niż u nas było w Niemczech: 3,1 proc. Średnia dla całej UE to 6,2 proc.

Jeśli chodzi o ten wskaźnik, wiele lepiej być po prostu nie może. I prawdopodobnie w przyszłości, oby jak najdalej, będziemy z rozrzewnieniem wspominać czasy, kiedy średnioroczne bezrobocie w Polsce utrzymywało się całymi latami (precyzyjnie rzecz ujmując – od 2017 r.) poniżej 5 proc.

A jak wyglądała sytuacja młodych? Rzeczywiście, nieco gorzej niż średnia, ale również bardzo dobrze. **W 2022 r.** według Europejskiego Urzędu Statystycznego **bez pracy było 3,5 proc. młodych w wieku 15-29 lat.** Europejska średnia to 6,3 proc.

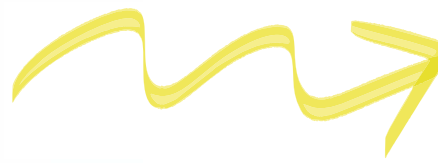
Tu dwa słowa wyjaśnienia. Niektórzy mogą wzruszyć ramionami: no tak, trudno, żeby bezrobocie w tej grupie było wysokie, skoro niemal wszyscy między 15. a 18. rokiem życia chodzą do szkoły, a spora część starszych również studiuje. Otóż osoby, które wciąż się uczą, są dla

statystyk niewidoczne, ponieważ traktuje się je jako nieaktywne zawodowo. To znaczy, że nie pracują, ale także nie szukają pracy. A za bezrobotną uważa się osobę, która nie ma pracy, ale jej aktywnie poszukuje. Podobnie zresztą nie mówimy o emerytach jako o bezrobotnych. Seniorzy, którzy dostają świadczenie, wypadają ze statystyk bezrobocia.

Wróćmy jednak do bezrobocia młodych. Bo ciekawie jest dopiero, kiedy spojrzymy na trendy. To one mówią nam najwięcej, co dzieje się w gospodarce i w jakim kierunku ona zmierza. **Jeśli cofniemy się o dekadę,** do roku 2012, to zobaczymy, że **bezrobocie wśród młodych wynosiło prawie 10 proc.** Było więc niemal trzykrotnie wyższe niż obecnie!

Jeśli poszerzymy perspektywę o jeszcze jedno dziesięciolecie, to zauważymy, że dokonał się prawdziwy skok cywilizacyjno-rozwojowy. Ogólna stopa bezrobocia w 2002 r. **dobijała do 20 proc.** W przypadku młodych była o kilka-kilkanaście punktów wyższa. A to średnia dla całej Pol-

ski. Sytuacja w niektórych regionach i miastach była nieco lepsza. Ale za to w innych znacznie gorsza.



Dane o bezrobociu sprzed dwóch dekad mówią nam sporo o genezie sporu pokoleniowego między przedstawicielami pokolenia Z (urodzonymi w połowie 1995 r. do 2010 r.) i millenialsami (roczniki 1981-95) a pokoleniem X (końcówka lat 60. i początek lat 80.), które zaczynało kariery w latach 90. i zerowych. To osoby pamiętające pensje utrzymywane na skandalicznie niskich poziomach przez horrendalnie wysokie bezrobocie. Zawołanie „my się cieszyliśmy, że była jakakolwiek praca” można oczywiście postrzegać jako nieżyłociwe, kombatanckie bajanie dziadersów. Ale można też je rozumieć jako echo doświadczenia głębokiego niedostatku i niepewności, które dla młodszych generacji są zupełnie obce.

Tu rodzi się pokoleniowy spór i problem komunikacyjny. Doświadczenie długiego bezrobocia i pauperyzacji zostawia w pamięci głęboki ślad. Z niektórymi zostaje on na długie lata; części prawdopodobnie będzie towarzyszył przez całe zawodowe życie. Osoby, których start przypadł na kilkukilkunastokrotnie wyższe niż dziś bezrobocie, postrzegają pozycję osób wchodzących dzisiaj na rynek przez pryzmat swojej biografii. Z ich perspektywy uprzywilejowane zetki marudzą w sposób nieadekwatny do tego, z czym się stykają. Z drugiej strony młodzi nie mogą zrozumieć, dlaczego starsze od nich dwie dekady pokolenie nie może przyjąć do wiadomości, że świat się zmienił.

Ta zmiana ma odzwierciedlenie w oczekiwaniach płacowych młodych. Według opublikowanego w zeszłym roku raportu PwC „Młodzi Polacy na rynku pracy” mediana oczekiwanych zarobków wynosiła prawie 4900 zł na rękę. Przypomnijmy, że mediana jest wartością dzielącą zbiór danych na równe połowy. W tym przypadku połowa respondentów oczekiwała wyższej pensji, połowa niższej. Badanie przeprowadzono w grupie osób w wieku od 18 do 27 lat. To oznacza, że spora część mówiła ankieterom o oczekiwaniach płacowych wobec pierwszej pracy!



Zanim dojdziemy do tego, jak realnie kształtują się zarobki młodych, powiedzmy o pewnych lukach raportu. Nie był on reprezentatywny. Skupiał się na studentach i absolwentach z okolic największych aglomeracji. Sama stolica stanowiła około jednej trzeciej próby. Takie skalibrowanie ankietowanych niewiele mówi nam o całej populacji osób młodych. Po pierwsze, istnieje premia placowa za wykształcenie, po drugie, oczekiwania w dużych miastach są znacznie wyższe niż w większości kraju – ze względu na porównywanie się do lepiej zarabiających oraz na wyższe koszty życia.

Jednak nawet biorąc pod uwagę te poprawki, trudno sądzić, że oczekiwania młodych są adekwatne do tego, z czym zetkną się na rynku. Przypomnijmy, że w 2022 r. **przeciętne miesięczne wynagrodzenie w całej gospodarce** przy zatrudnieniu na umowę o pracę wynosiło **6350 zł brutto**, czyli **4650 zł na rękę**. Mniej o 250 zł, niż badani chcieli zarabiać! Warto jednak dodać, że tak zwana średnia krajowa liczona przez GUS również nie oddaje dobrze placowego pejzażu. Ciągną ją w górę najzamożniejsi. Średnią lub więcej zarabia około jedna czwarta, może jedna trzecia pracujących.

Mówiliśmy o oczekiwaniach. To teraz spójrzmy na rzeczywistość. Niestety **najświeższe adekwatne dane pochodzą z 2020 r.** Dzieje się tak, ponieważ Główny Urząd Statystyczny publikuje raporty placowe z podziałem na wiek co dwa lata. Ostatnie są właśnie z października wspomnianego roku. Danych z października 2022 r. możemy się spodziewać na początku roku przyszłego.

Jak więc wtedy wyglądały pensje młodych? Przekiętne miesięczne wynagrodzenie w całej gospodarce **w 2020 r.** wynosiło około 5750 zł brutto (4150 na rękę). **Przekiętna płaca osób do 24. roku życia wynosiła niecałe 3900 zł brutto (2850 na rękę)** – około 70 proc. średniego wynagrodzenia. Niestety GUS trochę niezyciowo tnie grupy demograficzne. Kolejnym bowiem kłosem są osoby w wieku od 25 do 34 lat. W tym przypadku średnią będą zawiązały starsze roczniki, które mają już spore doświadczenie zawodowe. Ale i ta grupa nie osiąga jeszcze średnich pensji na poziomie przekiętnego miesięcznego wynagrodzenia dla całej gospodarki – zarabiają około 93 proc. tej wartości.

I znów warto cofnąć się o dekadę. **W 2010 r.** średnie wynagrodzenie dla całej gospodarki wynosiło 3550 zł brutto (2550 na rękę). Dla osób do 24. roku życia – **2300 brutto, czyli 1650 na rękę!** Jeżeli weźmiemy pod uwagę poprawkę na inflację, średnie pensje od 2010 do 2020 r. wzrosły o 37 proc., a pensje najmłodszych pracowników o prawie połowę! Przez cały ten czas osoby do 24. roku życia zarabiały od 65 proc. do 70 proc. średniej. Trudno oczekiwać, że w ciągu ostatnich dwóch lat to się diametralnie zmieniło.

GUS-owskie badanie ma jeszcze jeden feler. Otóż jest prowadzone tylko dla firm zatrudniających powyżej dziewięciu osób. W mniejszych firmach zarabia się mniej, a to one zatrudniają około jednej czwartej wszystkich pracujących. Realnie więc powyższe wartości są zacementowane o kilkadziesiąt złotych niżej. O ile dokładnie? Tego nie wiemy, po prostu brakuje nam danych.



Jak by jednak nie patrzeć, wejściowe płace pokolenia Z są znacznie wyższe niż millennialów. Ci z kolei mieli na rynku łatwiej niż iksy.

Tu wspomnijmy o zerowym podatku dochodowym dla osób do 26. roku ży-

cia. Wprowadził go w 2019 r. PiS, a dotyczy osób wykonujących umowę o pracę, umowę zlecenia, płatne praktyki absolwencie i staż uczniowski. Co ważne, zerowym PIT-em nie są objęte umowy o dzieło. Ulga obowiązuje do poziomu 85 500 zł rocznie. Kolejne sumy są już opodatkowane.

Nie mamy badań, które pokazałyby, czy młodzi rzeczywiście zarabiają więcej niż w przypadku braku ulgi. Jest bowiem całkiem możliwe, że spora część pracodawców po prostu ścięła wynagrodzenia brutto, tak aby pensje na rękę wynosiły tyle, ile przed obniżką PIT. Zachętą do tego, poza zyskiem w postaci oszczędności wysokości płaconego wcześniej podatku, jest utrzymanie struktury wynagrodzeń w przedsiębiorstwach. Przedsiębiorcy wiedzą bowiem, że aby zachować sprawiedliwość (lub pozór sprawiedliwości) wynagrodzeń, musieliby dać podwyżki osobom, które są w strukturze oczko wyżej niż najmłodszy. Znacznie łatwiejszym ruchem jest obniżenie kwot brutto dla najmłodszych pracowników.

Rzućmy okiem na jeszcze jedno interesujące badanie oczekiwań osób zaczynających karierę. Według opublikowanego w zeszłym roku raportu **„Aspiracje ludzi młodych odnośnie do ich przyszłej kariery zawodowej”** Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Wiedzy Think! aż **56 proc. osób w wieku 18-30 lat chce być właścicielami firm!** To

dym w kraju pogrążonym w gospodarczym chaosie.

Jest jeszcze jedna rzecz, o której warto wspomnieć. Chodzi o słynne umowy śmieciowe, czyli głównie umowy zlecenia i umowy o dzieło. Problem jest zwłaszcza z tymi ostatnimi, ponieważ osoby pracujące w ten sposób, o ile nie są ubezpieczone z tytułu studiowania, nie dysponują ubezpieczeniem zdrowotnym. Nie odkładają też składek emerytalnych, co zemści się na nich, kiedy będą zbliżać się do wieku senioralnego. Jednak takich osób nie jest wiele – zaledwie nieco ponad 1 proc. przepytanych przez fundację Think! pracuje na umowach o dzieło.



Jak widać, obraz młodego pracującego pokolenia nie rysuje się w czarnych barwach. Jest znacznie lepiej niż dekadę temu i nieporównywalnie lepiej niż dwie dekady temu. Zawdzięczamy to rozwojowi gospodarczemu i wielu korzystnym procesom ekonomicznym w ostatnich latach. Część z nich odwróciły COVID i wojna oraz inflacja będąca pochodną obu tych kryzysów. Wydaje się jednak, że znów wkraczamy na ścieżkę postępu.

Przekiętne wynagrodzenie w całej gospodarce wynosi 4650 zł na rękę.

Mniej o 250 zł niż „zetki” chcą dostać w pierwszej pracy!

o tyle zabawne, że taka struktura rynku pracy nie byłaby ucieleśnieniem nowoczesnego społeczeństwa, wręcz odwrotnie. Kraje cechujące się naprawdę dużym odsetkiem osób prowadzących własne biznesy to... kraje rozwijające się.

Według portalu Statista najwięcej samozatrudnionych jest w... Nigerze. Około 95 proc. tamtego rynku pracy to osoby prowadzące własne firemki. Jeśli miałby się zrealizować świat preferowany przez respondentów raportu, to wylądowalibyśmy gdzieś między Kolumbią (50 proc. pracujących to samozatrudnieni) a Senegalem (64 proc. rynku pracy to osoby prowadzące jednoosobowe firmy). Wbrew pozorom wcale nie jest tak, że wysoko rozwinięte gospodarki opierają się na mikro- i małej przedsiębiorczości. Ich filarami są wysoko wydajne, duże i prężne firmy, które mają ogromne środki na innowacje, badania i rozwój oraz zasoby na eksperymentowanie z modelami biznesowymi.

Według „Aspiracji młodych” **deklarowana sytuacja materialna młodych** jest całkiem niezła. Jako „bardzo złą”, „złą” lub „raczej złą” w sumie określa ją 16 proc. badanych. **Jako „raczej dobrą, dobrą i bardzo dobrą” – 56 proc.** Jednocześnie sytuację gospodarczą w kraju **jako złą postrzega prawie 70 proc.,** a jako dobrą jedynie 10 proc. respondentów. Cóż, całkiem niezłe wiedzie się mło-

Ostatnio wiele mówi się o tym, że młode pokolenie oczekują coraz więcej od pracodawców. Nie chodzi tylko o pensje i standardy zatrudnienia, ale również o większe poszanowanie work-life balance oraz komfortu psychicznego. Wielu komentatorów uważa, że generacja Z oraz millennialsi rewolucjonizują rynek pracy. Ale to nie do końca tak. Osoby z najmłodszych pokoleń stawiają pewne warunki dlatego, że... mogą je stawiać. Wektor przyczynowości jest więc odwrotny. To nie trendy z TikToka, jak choćby quiet quitting, tzw. cicha rezygnacja (bez zaangażowania robię swoje i wychodzę) – zmieniają mentalność młodych (choć również), stawiać warunki pozwala im raczej prosperity po wielkim kryzysie. To o wiele łatwiejsze w świecie niskiego bezrobocia i wysokich pensji. Nie ma w tym absolutnie nic złego, przeciwnie – to symptom postępu.

Czy w takiej sytuacji partie polityczne mają coś do zaoferowania młodym na rynku pracy? W ich programach kilka rzeczy zasługuje na uwagę. W przypadku partii rządzącej to, że młodym oferuje jedynie technokratyczne postulaty w stylu dopłaty dla pracodawców tworzących miejsca pracy zdalnej (które i tak tworzą) oraz internetowej bazy ofert pracy z urzędów pracy (cóż, to też już istnieje w postaci dobrze radzących sobie portali rekrutacyjnych).

U Koalicji Obywatelskiej rzuca się w oczy zwolnienie z podatku dochodowego

osób zarabiających do 6 tys. zł brutto miesięcznie. Nie jest to postulat wprost skierowany do młodych, ale że oni dopiero zaczynają pracę, ich zarobki są statystycznie najniższe. Problem z tym postulatem jest taki jak z zerowym PIT-em dla młodych – obniżenie podatków nie musi oznaczać podniesienia pensji na rękę, tylko zwiększenie zysku przedsiębiorców.

Pomysły Konfederacji w zasadzie można ograniczyć niemal do tej jednej kwestii – obniżenia podatków (niemal wszystkim zresztą). Próżno jednak szukać informacji, w jaki sposób ta obniżka byłaby bilansowana w celu zapewnienia jakości usług publicznych przynajmniej na zbliżonym do dzisiejszego poziomie.

Najwięcej wydaje się oferować **Le-wica**, która, co prawda, nie ma postulatów wprost dla młodych, ale wiele z nich, z uwagi na specyficzne położenie osób zaczynających karierę, właśnie do nich ma największe zastosowanie. Lewica proponuje m.in. uporanie się z problemem umów śmieciowych, podniesienie płacy minimalnej do poziomu 66 proc. średniej krajowej oraz zakazanie darmowych staży i praktyk.

Miesiąc przed wyborami trudno cokolwiek powiedzieć o szansach realizacji któregośkolwiek z pomysłów, ale i bez nowych polityk powoli wracamy na tory wcześniejszego rozwoju. A wraz z nim wzrastać będzie poziom życia kolejnych pokoleń młodych dorosłych. ●

Kamil Fejfer

• Dziennikarz piszący o ekonomii i gospodarce. Współtwórca podcastu i kanału na YouTube „Ekonomia i cała reszta”. Współpracuje z „Pismem”, miesięcznikiem „Znak”, „Wyborczą”, „Krytyką Polityczną”, „NOIZZ”, „Dwutygodnikiem”. Autor książek „O kobiecie pracującej” oraz „Zawód”. Obie książki dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków na Publio.pl.

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, obniżają się kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na **Wyborcza.pl/Jutronauci**

NAUKOWCY PORZUCAJĄ POLSKĘ

ILUSTRACJA ADOBE STOCK

Z **PROF. ZBIGNIEWEM BŁOCKIM**,
DYREKTOREM NARODOWEGO CENTRUM
NAUKI W POLSCE, ROZMAWIA **DAMIAN
NOWICKI**

Pod koniec ubiegłego roku powiedział pan, że Polsce grozi „drenaż mózgów”, jeżeli budżet na naukę nie zostanie zwiększony. Jak ten drenaż będzie przebiegał?

– To już się dzieje i dotyczy przede wszystkim młodych ludzi. Nie jest tajemnicą, że nauka za granicą jest bardziej atrakcyjna niż w Polsce. Mobilność jest oczywiście ważna i to dobrze, że ludzie wyjeżdżają. Problem polega na tym, że z tych wyjazdów nie wracają i nie rozwijają w Polsce kariery na podstawie zdobytych umiejętności. Jednocześnie nie przyjeżdżają do nas osoby z innych krajów, bo nie znajdują tutaj wystarczająco atrakcyjnej oferty, porównując od studiów doktoranckich, po pracę w nauce.

Drenaż będzie też dotyczył starszych pracowników naukowych, zwłaszcza z dziedzin ścisłych i technicznych, którzy odnajdują się w przemyśle. To często świetnie wykształceni specjaliści, którzy w biznesie otrzymują wielokrotnie wyższe wynagrodzenia niż na uczelniach. Zamieniają naukowe laboratoria na prywatne i komercyjne. Są przyjmowani z otwartymi ramionami za granicą, więc ten exodus odbija się nie tylko na polskiej nauce, ale również gospodarce, jeśli nie zwiększy się budżetu na naukę.

Nie chcę zabrzmieć jak ignorant, ale w obliczu tak wielu innych kryzysów – jak służba zdrowia, energetyka, bezpieczeństwo militarne spowodowane wojną w Ukrainie – to czy zwiększenie środków na badania i innowacje nie będzie uznawane za mniej pilne?

– Nie da się rozwijać gospodarki w sensowny sposób bez silnej pozycji nauki. Najlepszym przykładem mogą być kraje rozwinięte, w których instytucje przyznające granty na badania mają dużą swobodę i wysokie budżety. Jest to oczywiście kompleksowy proces i samo zwiększenie funduszy nie wystarczy, ale jest niezbędne. Nauka jest ważna dla gospodarki także w tym sensie, że bez niej nie będziemy mieli technologicznego know-how. Najlepiej pokazują to statystyki, w których jesteśmy na szarym końcu Unii Europejskiej, nie porównując się już do takich krajów jak Izrael, Korea, Japonia czy Stany Zjednoczone.

Według danych Eurostatu unijny standard wydatków na naukę to niespełna 3 proc. PKB. Jaki jest najlepszy model finansowania nauki na świecie i który kraj go wdraża?

– Każde państwo ma inny model, bo boryka się z innymi problemami. Średnia wydatków na naukę wynosi trochę ponad 2 proc. PKB, ale te najlepsze kraje mają powyżej trzech. Fundamentem powinny być wydatki budżetowe na badania, których najważniejszą częścią są nauki podstawowe, a jego drugim elementem – inwestycje przemysłowe w innowacje.

W krajach, które wymieniałem, wydatki przedsiębiorstw na badania i rozwój są bardzo wysokie. W Polsce nie działają oba elementy. Nakłady na szkolnictwo wyższe



i naukę kształtują się na poziomie około 1,2 proc. PKB. Równie słabo jest w naszym przemyśle, ponieważ państwowe dotacje dla firm, teoretycznie przyznawane na rozwój, niekoniecznie przeznaczone są na innowacje. Ten stan istnieje już od kilkunastu lat, czego dowodem są rankingi innowacji, w których raczej spadamy, niż rośniemy.

Jakiś czas temu prezes Polskiej Akademii Nauk powiedział, że jego instytucja stoi na ostatnich nogach, a interwencje rządu są jedynie podtrzymywaniem agonii. Czy inflacja wpłynęła na działanie Narodowego Centrum Nauki?

– Oczywiście, choć Centrum jest instytucją usługową dla reszty środowiska, więc funkcjonujemy w nieco inny sposób niż pozostałe instytucje naukowe. Gdyby minister jutro przeznaczył nam dodatkowe 100 milionów złotych, to w całości przeznaczymy je na granty, ponieważ tym się zajmujemy – wspieraniem najlepszych projektów naukowych. Nie oznacza to, że mamy lepiej niż inni bądź że jesteśmy odporni na problemy ekonomiczne – również odczuwamy znaczny wzrost kosztów. W ciągu ostatnich pięciu lat nasz budżet wzrastał bardzo słabo, bo zaledwie o 13 proc., a w poprzednim roku de facto spadł.

Nawet gdyby inflacja była zerowa, to budżet NCN powinien realnie rosnąć przez wiele lat jako element długofalowego programu doganiania europejskiej średniej w nakładach na naukę. Dzisiaj natomiast NCN jest powoli zagładzane.

Co to oznacza?

– Zamrożenie budżetu NCN najbardziej uderza w samych naukowców. Z powodu inflacji drastycznie wzrosły koszty prowadzenia badań, naukowcy składają więc wnioski na wyższe sumy, a że nasz budżet nie rośnie, to nasi eksperci muszą odrzucić wiele świetnych projektów, które powinny być finansowane. Współczynnik sukcesu czy procent aplikujących, którzy otrzymują granty w konkursach NCN, na przestrzeni ostatnich lat regularnie spada. W zagranicznych agencjach zakłada się, że aby

system grantowy funkcjonował dobrze, współczynnik ten powinien wynosić ok. 30 proc. U nas aktualnie wynosi 13 proc., z tendencjami do dalszego spadku. Merytoryczna ocena projektu zaczyna przypominać loterię.

Na szali jest moim zdaniem ogólne dobro polskiej nauki. Te bardzo niekorzystne wskaźniki sprawiają, że wiele dobrych projektów nie może zostać zrealizowanych, a perspektywy młodych ludzi kurczą się znacznie szybciej. Warto nadmienić, że w obliczu coraz mniejszych wpływów finansowych ze strony rządu instytucje naukowe – jak właśnie PAN – jeszcze bardziej są zależne od naszych grantów. Ten ekosystem jest na tyle wrażliwy, że jak traci jedna osoba, to tracą po trochu wszyscy.

NCN grozi ograniczenie działalności?

– Ograniczyliśmy już maksymalną liczbę grantów kierowanych przez jednego naukowca z trzech do dwóch. Debatowaliśmy o innych ograniczeniach, na razie ich nie wprowadziliśmy, bo wielu doktorantom czy osobom na stanowiskach typu postdoc jeszcze bardziej by to utrudniło już i tak ciężką pracę.

Nasz obecny budżet wynosi ok. 1,4 mld zł. Udział naszego finansowania w krajowym budżecie na naukę spadł o pół procent – z ponad 6,1 proc. w 2022 roku do 5,6 proc. w tym roku. Apelowaliśmy do Ministerstwa Edukacji i Nauki o zwiększenie dotacji celowej dla Centrum o 300 mln zł i podmiotowej o 4,2 mln zł.

I co na to ministerstwo?

– Pierwsze sygnały wskazują niestety na to, że w przyszłym roku nic się nie zmienia.

W ciągu ostatnich kilku lat dochodziło do różnych sporów z MEiN.

– Niestety, nie mam wpływu na decyzje ministerstwa. Chcemy jak najlepiej dla polskiej nauki. Staramy się utrzymać działanie naszej instytucji, która od ponad 12 lat trzymała się najlepszych, międzynarodowych standardów. Dużą wagę przywiązaliśmy zawsze do wspierania młodych naukowców i stwarzania im takich warunków, aby

mogli konkurować z bardziej doświadczonymi badaczami. Wierzmy, że pensje dla młodych naukowców muszą być przynajmniej w jakimś stopniu konkurencyjne w porównaniu z wynagrodzeniami w biznesie czy warunkami, jakie mogą mieć za granicą. Takimi działaniami możemy zapobiegać odpływowi najlepszych badaczy i badaczy. Niestety, obecna sytuacja, szczególnie finansowa, sprawia, że coraz więcej osób, które do nas aplikują, jest odsyłanych z kwitkiem, co sprawia, że tracimy popularyzność nawet w samym środowisku.

Dlaczego?

– Ciężko utrzymać wysoką liczbę aplikacji, gdy ok. 80 proc. wniosków zostaje rozpatrzonych negatywnie. Kolejnym czynnikiem są pensje w grantach, które ostatni raz były waloryzowane dwa lata temu. Raczej ich nie obniżymy, ale na pewno nie będziemy ich na razie podnosić, co oznacza, że ich realna wartość spadnie o 20 proc.

A co z głosami, że system akademicki jest „zabetonowany”, a środowiskiem naukowym w Polsce rządzą centralnie sterowane układy warszawsko-krakowskie?

– To właśnie NCN wszelkie układy pomaga przezwycięzać, m.in. przez to, że nasze standardy są międzynarodowe i że recenzenci i eksperci oceniający wnioski w naszych konkursach to głównie naukowcy z zagranicy. Oskarżeniom o jakieś układy między Warszawą a Krakowem przeczą chociażby liczby. Faktem jest, że sporą część naszych grantów – blisko połowę – otrzymują naukowcy z Mazowsza i Małopolski, ale to z tych dwóch województw w ciągu 12 lat istnienia NCN wpłynęły niemal 43 proc. wszystkich wniosków. Na Mazowszu mieści się 33 proc., a w Małopolsce blisko 12 proc. instytucji – uczelni, instytutów PAN i innych jednostek, które kiedykolwiek składały wniosek.

Około 20 proc. środków z NCN trafia co roku do Uniwersytetu Warszawskiego i Jagiellońskiego, ale to wynika z wielkości tych instytucji, nie z personalnych prefe-

rencji. Blisko 50 proc. grantów dla Warszawy i Krakowa nie jest zresztą jakąś wyjątkową liczbą w porównaniu z innymi krajami. Przykładowo w Austrii tamtejsza agencja wspierająca naukę przeznaczyła ponad 60 proc. grantów dla instytucji z Wiednia. W przypadku grantów ERC to nawet ponad 80 proc. Podobnie we Francji: do Paryża trafia 86 proc. francuskich grantów ERC, do Pragi – 63 proc., a Barcelony i Madrytu – aż 73 proc. Bardziej niż „zabetonowania” jest to raczej odzwierciedleniem scentralizowanego systemu, w którym najlepsze instytucje znajdują się w największych ośrodkach.

Czy w takim razie naukę należy zdecentralizować?

– Tak, ale jednocześnie nie uważam, aby odgórne zarządzanie, komu przeznaczać środki finansowe, a komu nie, było najlepszym rozwiązaniem. NCN dąży do zdywersyfikowania geograficznego bez faworyzowania jakiegokolwiek regionu Polski. Od wielu lat powtarzam, że trzeba stworzyć system, który spowoduje, że do ośrodków regionalnych pójdą najlepsi, a także, że trzeba inwestować w rozwój dobrych jednostek naukowych nie tylko w największych częściach kraju. Przykładem może być program Miniatura NCN skierowany do osób, które jeszcze nie otrzymały naszych grantów. Docelowo mają z niego korzystać głównie naukowcy z mniejszych ośrodków i rzeczywiście ich aktywność w tym programie jest dużo bardziej zrównoważona geograficznie. To powinno być fundamentem całego obiegu w Polsce, razem ze zwiększeniem mobilności naukowców, np. poprzez zakaz zatrudniania osób w tej samej jednostce, w której zrobiły doktorat. Taka praktyka w Niemczech, Wielkiej Brytanii czy USA to standard, a zrezygnowanie z niej jest nie do pomyślenia.

Dlaczego? Przecież po 4 latach doktoratu młody naukowiec wsiąkł w środowisko, dzięki czemu w teorii powinien być skuteczniejszy i zwyczajnie szybszy w swoich badaniach, ponieważ nie straci czasu na różnego rodzaju wdrożenia czy poznanie nowego środowiska od zera.

– Po części to racja, ale jest wiele innych, mocniejszych argumentów świadczących o korzyściach z takich ograniczeń. Doświadczenia krajów, które wymieniłem, ich pozycja w świecie nauki oraz jej znaczenie dla państwowej administracji dokład-

nie pokazują, że to przynosi dobre efekty. Nauka z natury jest dość hierarchiczna i działa na zasadzie starszeństwa. W ten sposób absolwenci polskich uczelni ruszyliby w świat.

Jak się siedzi ciągle w jednym miejscu i np. czeka na kadrową wymianę pokoleniową i zwolnienie jakiegoś etatu, to ciężko jest się z tej struktury wyzwolić. Mam tu na myśli nie tylko administracyjne funkcjonowanie, ale także naukowy rozwój. Generalnie ferment w nauce, budowanie nowych i różnorodnych kontaktów oraz zmiany środowiskowe są dobre i bardzo potrzebne. Takie rzeczy powinno się szczególnie promować i premiować we wnioskach grantowych. Jak się w kółko robi te same rzeczy na poziomie doktoratu i habilitacji albo powiela rozwiązania promotora, to jak może dojść do jakiejś innowacji czy rozwoju?

Nie chcę teraz uprawiać czarnowidztwa, ale wyobraźmy sobie najgorszy scenariusz, w którym rządzący w Polsce nie będą inwestować w rozwój i badania, a ten drenaż się dopełni.

– Rozwój nauki jest przedsięwzięciem na dziesięciolecia, dlatego nie spodziewamy się nagłego załamania. To są rzeczy, które będą się odbijać nam czkawką za kilkanaście, kilkadziesiąt lat. Nauka była jednym z najbardziej zaniedbanych obszarów po zmianie ustroju w 1989 roku, czego dzisiejsze zjawiska są smutną konsekwencją. Nawet Czechy w większym stopniu zreformowały swoją naukę na tyle skutecznie, że środowisko choć jest tam znacznie mniejsze w rozmiarach, jest mocniejsze i bardziej wpływo-

we niż nasze.

Chciałbym także zwrócić uwagę na relację między ludźmi, którzy po zrobie-

niu doktoratów poszli do biznesu, a tymi, którzy zostali na uczelniach. Podstawową praktyką w krajach zachodnich jest to, że większość osób wybiera komercyjną ścieżkę kariery. Kluczem jest jakiś balans między tymi ścieżkami i aby po obu stronach znajdowali się ludzie otwarci na rozwiązywanie problemów i prowadzenie badań. Żeby nauka nie odbywała się kosztem gospodarki, a gospodarka nauki. W najczarniejszym scenariuszu co prawda nie umrzemy z głodu, bo mądrzy ludzie będą dalej pracować i rozwijać technologię, ale polska nauka zamieni się w rezerwuuar siły obliczeniowej, a nie twórczej i odkrywczej. A wydaje mi się, że ambicje mamy jednak większe.

To jak wypada konkurencyjność polskiej nauki na przestrzeni ostatnich lat i rządów?

– Nie widzę specjalnej różnicy w zależności od tego, kto i kiedy rządził. Nauka i edukacja zawsze były zaniedbany mi sektorami. Dzisiaj możemy usłyszeć i przeczytać zapowiedzi zmian w funkcjonowaniu NCN, które ministerstwo chętnie by podjęło, ale na razie działamy według standardów, które udało nam się wypracować, i mam nadzieję, że tak będzie dalej, niezależnie od wyników jakichkolwiek wyborów politycznych. Uważam też, że bardzo ważne jest, aby zaczęto traktować polską naukę jako element nauki światowej, która jest i powinna być niezależna.

A jak pan skomentuje zapowiedź ministra, że wprowadzi całkowicie reformujący system grantowy jeszcze tej jesieni? Czy można odczytać to jako groźbę?

– To dla nas nie jest nowa informacja. Zapowiedzi „postawienia NCN od początku na nogi” słyszymy od wielu miesięcy, ale nie znamy szczegółów tego planu, bo minister od dawna nie odpowiada na prośby o spotkanie. Wszystko, co do nas dociera, to informacje z mediów.

Na początku sierpnia minister Czarnek wyraził sprzeciw wobec grantu przyznanego dr. Szpilce na projekt pt. „Transkobiecość i sadomasochizm/BDSM”. Czy nazwanie „absurdalnym rozstrzygnięciem” przyznania dofinansowania projektowi wysoko ocenionemu przez grono ekspertów z Polski i ze świata wpłynie na inne projekty?

– Przypomniałbym przede wszystkim, a niektórym być może wyjaśnił, że w NCN o wszystkim decydują naukowcy. Tematyka projektów zgłaszanych do Centrum zależy wyłącznie od badaczek i badaczy, którzy starają się o finansowanie. Także oceną wniosków zajmują się wyłącznie naukowcy – polscy i zagraniczni eksperci. Oceniając zaś wniosek, biorą pod uwagę tylko kryteria merytoryczne, czyli wartość pomysłu badawczego oraz dorobek naukowy potencjalnych laureatów. Żaden z pracowników Centrum nie ma wpływu na decyzję ekspertów. NCN powstał na wzór ERC i działa według standardu obowiązującego w innych tego typu instytucjach na świecie. I cóż mogę więcej powiedzieć? Mam nadzieję, że tak pozostanie także w przyszłości.

Co w takim razie zrobić, gdy minister nauki ignoruje rady i sugestie całego środowiska naukowego? Przecież dokładnie to miało miejsce w grudniu zeszłego roku podczas wyboru członków rady NCN.

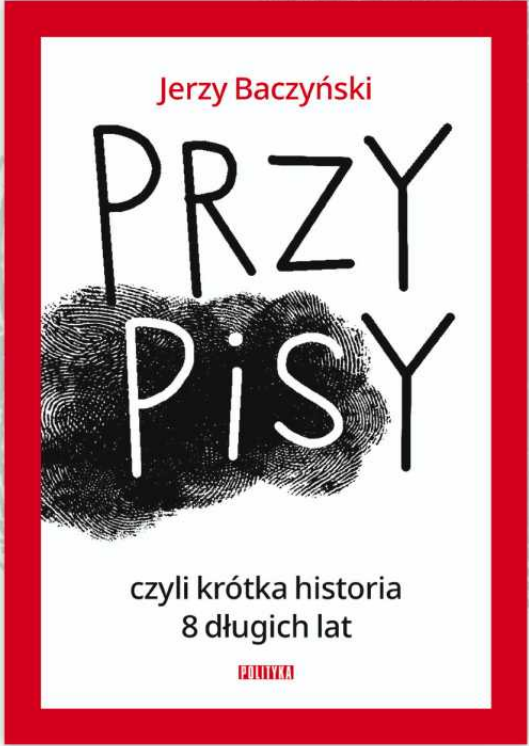
– Staram się robić, co mogę, aby NCN funkcjonowało najlepiej, ale nie na wszystkie procesy mam wpływ. Do tego należą m.in. nastroje i wola polityczna. Zresztą mnie tutaj od kilku miesięcy nie powinno być.

Jak to?

– Moja kadencja upłynęła w marcu, ale cały czas czekamy na mojego następcę. Nowym dyrektorem, wybranym przez radę NCN w lutym, będzie prof. Krzysztof Józwiak, który rozpocznie urzędowanie, jak tylko przyjdzie ministerialna nominacja. Chętnie podałbym konkretną datę, ale niestety jej nie znam. Sytuacja jest, jaka jest, a nam pozostaje jedynie czekać. ●

Chcemy jak najlepiej dla nauki, ale nie mam wpływu na decyzje ministerstwa

OGŁOSZENIA



Jerzy Baczyński

PRZY PiSY

czyli krótka historia 8 długich lat

GATUNEK

„PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat”

– najnowsza książka Jerzego Baczyńskiego, redaktora naczelnego tygodnika **POLITYKA**

Osobisty dziennik podróży przez Polskę pod rządami PiS

Historia 2015-2023 w zbliżeniach

Przenikliwa krytyka populistycznej władzy

Z rysunkami Janka Kozy

Szukaj POLITYKI z książką w kioskach, dostępna także w księgarniach oraz na sklep.polityka.pl



Kampania Platformy | Cicha Lewica | Koniec matur? | Top k-pop

Gruba kasa za odchudzenie | Reportaż z okopów | Dzieje murów granicznych

POLITYKA

TYGODNIK, nr 39 (1403), 2023 – 26.09.2023
Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) w nakładzie 369 995

SONDAŻ POLITYKI

Jak Polacy oceniają 8 lat rządów PiS

● stan demokracji ● poziom życia ● służba zdrowia ● edukacja ● język polityki

Rozmawiałem z szefem tajwańskiej dyplomacji

TAJWAN UCZY SIĘ
OD UKRAINY

USS Ronald Reagan trafiony rakietą, pasy startowe na Okinawie i Guam zniszczone oraz kilka innych scenariuszy dla Pacyfiku.

Andrzej Lubowski

Pół wieku temu Nixon usłyszał od Mao, że Chiny mogą poczekać 100 lat, aby przejąć Tajwan. Xi Jinping jest mniej cierpliwy. Straszy, pręży mięśnie i przestał dbać o pozory. Ameryka próbuje odstraszyć Chiny. A Tajwan bierze lekcje od Ukrainy.

Tego, jakie uznaje za najbardziej pożyteczne, dowiedziałem się kilka dni temu za pośrednictwem Zooma od szefa dyplomacji Tajwanu, dr. Josepha Wu:

Po pierwsze, Ukraińcy pokazali, jak ważna jest determinacja społeczeństwa.

Po drugie, że w wojnie asymetrycznej, to znaczy takiej, gdzie jedna strona ma teoretycznie druzgocącą przewagę, wynik niekoniecznie jest przesądzony.

Po trzecie, jak bardzo liczy się wsparcie międzynarodowe.

Wu, od pięciu lat szef dyplomacji Tajwanu, z doktoratem z Ohio State University, uważa, że gdyby świat zareagował ostrzej na interwencję zbrojną Rosji w Gruzji w 2008 roku i aneksję Krymu w 2014, Putin nie ośmieliłby się na inwazję w pełnej skali. Przypomina, że świat przeszedł obojętnie wobec chińskich zbrodni w Tybecie i Xinjiangu, a wydarzenia w Hongkongu rozegrały się na naszych oczach. Jest rozczarowany, że komunikat po ostatnim szczy-

cie G20 ledwie wspomina Ukrainę i nie ma w nim potępienia Rosji. – Jeśli świat nie zatrzyma Putina – mówi – to tylko ośmieli Xi.

Kilka dni wcześniej w Pradze powiedział: jeśli nie zatrzymamy Rosji na Ukrainie, zagrozi to całej wschodniej flance Europy. Jeśli nie powstrzymamy Chin, zanim napadną na Tajwan, spróbują zdominować Morze Wschodniocchińskie i Południowocchińskie i zagrożą Japonii, Filipinom i nie tylko.

Wu przypomina też, że skutki napaści Rosji na Ukrainę to niedobory energii, kryzys żywnościowy, globalna inflacja, i natychmiast dodaje, że „jakakolwiek wojna z udziałem Tajwanu, centrum półprzewodników zlokalizowanym na głównym światowym szlaku handlowym, miałaby jeszcze poważniejsze konsekwencje”.

Wszelkie spekulacje dotyczące kalendarza ewentualnego ataku nie oznaczają, że inwazja Chin jest nieunikniona. Wu przypomina, że napisana ponad dwa tysiące lat temu „Sztuka wojny” Sun Tzu jest wciąż dla chińskich przywódców i wierzchołki wojskowej obowiązującym przewodnikiem, zaś według Sun Tzu najlepsze rozwiązanie to zniszczenie przeciwnika bez sięgania po broń.

Pekin wolałby wziąć Tajwan bez walki. Ale sposób, w jaki towarzyszył Xi integrował z macierzą Hongkong, pogrzebał do reszty opcję pokojowego zjednoczenia.

Czy kłopoty gospodarcze, jakie ostatnio dopadły Chiny, zwiększą czy zmniejszą prawdopodobieństwo chińskiej agresji?

Dr Wu nie bez satysfakcji twierdzi, że gospodarka Chin wpadła w głębsze tarapaty, niż pokazują oficjalne wskaźniki. Na przykład, jeśli ktoś znajduje pracę tylko na godzinę dziennie, to nie figuruje jako bezrobotny. Pekin przestał też ujawniać staty-

styki bezrobocia wśród młodych, bo wyglądają bardzo kiepsko.

Gospodarcza mizéria aż się prosi o wskazanie kozła ofiarnego, zwiększa atrakcyjność podbijania militarno-patriotycznego bębna i ewentualność konfliktu zbrojnego. – Z drugiej strony – zauważa Wu – słabsza kondycja gospodarki ogranicza możliwości prowadzenia wojny, zwłaszcza gdyby miała potrwać jakiś czas.

Chińskie kłopoty nie mogą uspić Tajwanu, który musi pilnie zwiększyć gotowość obronną i przekonać Pekin, aby dwa razy pomyślał, zanim zrobi to, co zrobił Putin. A do tego Tajpej potrzebuje wsparcia z zewnątrz, nie tylko materialnego.

To niełatwe. Już w przypadku wojny Rosja – Ukraina wiele krajów nie angażuje się po żadnej stronie, a Tajwan jest w znacznie gorszej sytuacji. Nie jest członkiem ONZ, nie należy do większości organizacji międzynarodowych, znikoma liczba krajów utrzymuje z nim stosunki dyplomatyczne.

Tym bardziej liczy się międzynarodowe wsparcie i tym większa wdzięczność wobec tych, które je okazują. Minister Wu wymienia oczywiście USA, Kanadę, Wielką Brytanię, Francję, Niemcy, ale także Australię, Nową Zelandię, Koreę i Filipiny oraz Litwę i Czechy. Nas na tej liście odważnych zabrakło. Może dlatego, że Andrzej Duda dobrze się rozumie z prezydentem Xi, a depezę gratulacyjną w okazji ponownego wyboru wysłał mu w dniu elekcji – prezydent Biden musiał na ten zaszczyt sporo poczekać.

Wu szczególnie ciepło mówi, prócz Ameryki, o Francji. W sierpniu bowiem przy uchwalaniu rekordowego budżetu wojskowego francuski parlament zażądał od Macrona, aby w ustawie zapisano, że Paryż ma obowiązek bronić wolności żeglugi w Cieśninie Tajwańskiej i na Mo-

rze Południowocchińskim. I że ochrona pokoju w Cieśninie Tajwańskiej jest zgodna ze strategicznymi interesami narodowymi Francji.

Politykę Waszyngtonu w sprawie Tajwanu od wielu lat określano jako strategiczną dwuznaczność – opartą na założeniu, że najlepiej, aby wszystkie strony zgadywały, jak Ameryka zachowa się w razie wojny. To miało temperować chęć Chin do inwazji, a jednocześnie powstrzymać Tajwan przed ogłoszeniem niepodległości – w obawie przed atakiem Chin, które potraktują taką deklarację jako casus belli.

To podejście długo zdawało egzamin, dziś wszakże, zważywszy na siłę militarną Chin, nikt w Tajpej nie chce prowokować Pekinu, ogłaszając niepodległość. Natomiast Chiny w swych planach zakładają, że nie można wykluczyć interwencji Ameryki. Zatem to siła USA i jej sojuszników, a nie strategiczna dwuznaczność, jest tym co na razie (?) powstrzymuje Xi.

Po swych deklaracjach w ostatnich kilku latach Xi nie może sobie pozwolić na otwartą rezygnację z aneksji Tajwanu. Ameryka natomiast nie może sobie pozwolić, aby w drzazgi poszła jej wiarygodność i aby wrogi autorytarny reżim zapanował nad tak strategicznym obszarem.

Zawładnięcie Tajwanem otworzyłoby Chinom całą gamę możliwości. Ich flota mogłaby spokojnie operować na głębszych wodach – łatwiej byłoby jej realizować inne cele, takie jak panowanie nad całym rejonem Pacyfiku. Tajwan w rękach Pekinu byłby niczym niezatapialny lotniskowiec, który zagrozi Japonii, Korei Południowej i zdominuje Filipiny.

Xi zakłada, że USA nie zaangażują się w wojnę, nie mając pewności, że ją wygrają, więc Chiny dążą do uzyskania na tyle

wyraźnej przewagi w rejonie Pacyfiku, że-
by wyniku konfliktu nie można było z gó-
ry przesądzić.

Konfliktu, który mimo tych wszystkich
zmiennych zdaniem wielu jest nieuniknio-
ny. Choćby admirał Philip Donovan – nie
byle kto, bo do kwietnia 2021 roku dowód-
ca amerykańskiej floty Indo-Pacyfiku – pu-
blicznie ocenił, że Chiny planują atak przed
2027 rokiem. Gdy w ubiegłym roku wizytę
na Tajwanie Nancy Pelosi, wówczas prze-
wodniczącej Izby Reprezentantów, czy-
li trzeciej osoby w państwie, Chiny potrak-
towały jako prowokację, „okno Donovana”
zaczęło się przymykać.

Przeszło rok temu w książce „Danger
Zone. The Coming Conflict with
China” („Strefa niebezpieczeństwa.
Nadchodzący konflikt z Chinami”) politolo-
dzy Hal Brands i Michael Beckley postawili
tezę, że do przyspieszenia konfrontacji
popchnie Xi nie poczucie rosnącej siły, ale
obawa, że muskuły Pekinu mogą zwiot-
czeć. A skoro tak, to lepiej uderzyć prędzej
niż później. Oto zarysy ich scenariusza:

18 stycznia 2025 roku. Dwa dni dzielą
USA od inauguracji prezydenta, ale wynik
wyborów jest wciąż kwestionowany. Chi-
ny prowadzą gigantyczne manewry mor-
skie w pobliżu Tajwanu. Satelity szpiegow-
skie sygnalizują wzmożoną aktywność ich
wojsk. Amerykańscy analitycy biorą to za
kolejne pobrzękiwanie szabelką.

Mylą się.
O 10.01 rano czasu waszyngtońskiego
chińskie rakiety uderzają w pasy startowe,
budynki rządowe i instalacje wojskowe na
całym Tajwanie i w główne regionalne ba-
zy USA na Okinawie i Guam. W USS „Ro-
nald Reagan”, jedyny amerykański lotni-
skowiec w regionie, trafia rakietą balistycz-
na. Chińskie siły specjalne, wcześniej rozlo-
kowane na Tajwanie, niszczą infrastruktu-
rę, próbują mordować władze i sieją pani-
kę wśród ludności.

To preludium do głównej ofensy-
wy. Amfibie dokonują desantu na najła-
twiej dostępne zachodnie brzegi Tajwanu.
Z handlowych promów tradycyjnie obsłu-
gujących ruch w cieśninie nagle wydoby-
wają się małe amfibie ze sprzętem wojsko-
wym. Spadochroniarze szykują się do zdo-
bycia lotnisk i portów wyspy, aby utorować
drogę setkom tysięcy żołnierzy.

Szef Pentagonu informuje prezyden-
ta Bidena, że amerykańskie siły na zachod-
nim Pacyfiku nie są w stanie powstrzymać
chińskiej inwazji. Dodatkowe lotniskow-
ce, inne okręty, łodzie podwodne rozrzu-
cone od Hawajów po Zatokę Perską mo-
gą próbować przedostać się ku Tajwanowi,
ale to potrwa, pociągnie poważne straty
i nie gwarantuje sukcesu. Można zabloko-
wać dostawy energii i żywności, ale na wy-
niki przyjdzie poczekać, a Tajwan nie mo-
że czekać.

Zostaje tylko jeden sposób: zaatakować
siły chińskie bronią jądrową niskiej wydaj-
ności. Oznaczałoby to jednak zniszczenie
Tajwanu po to, aby nie oddać go Pekinowi.

To spekulacje politologów, lecz po-
dobne scenariusze zaczęli wkrótce
powielać amerykańscy wojskowi,
i to w służbie czynnej.

1 lutego generał lotnictwa Mike Mini-
han, który od 2013 roku służył na Pacyfiku,
a w 2021 roku awansował na czterogwiazd-

kowego generała i dowódcę mobilności po-
wietrznej, wysłał do podwładnych notatkę
zaczynającą się od słów:

„Mam nadzieję, że się mylę. Przeczenie
mówi mi, że będziemy walczyć w 2025 r.
[Chiński prezydent] zapewnił sobie trze-
cią kadencję i zwołał radę wojenną w paź-
dzierniku 2022. Wybory prezydenckie na
Tajwanie odbędą się w 2024 i dadzą Xi po-
wód. Wybory prezydenckie w Stanach
Zjednoczonych odbędą się w 2024 i zapew-
nią Xi rozkojarzoną Amerykę”. Notatka ge-
nerała zawiera wiele konkretnych poleceń.
Wśród nich takie: wystrzel cały magazynek
do celu odległego o 7 metrów. Mierz w gło-
wę. I rozważ spotkanie z biurem praw-
nym bazy – implikacja: sprawdź, czy mamy
twój testament.

Joe Biden wielokrotnie powtarzał, że
Waszyngton nie ustąpi, jeśli Pekin ude-
rzy. Administracja delikatnie koryguje sze-
fa i przypomina o „strategicznej ambiwa-
lencji”.

Poprzednik i potencjalny następca Bide-
na widzi sprawę diametralnie inaczej. Jak
wynika z książki „Chaos Under Heaven” au-
torstwa Josha Rogina, w 2019 roku Trump
powiedział republikańskiemu senatorowi,
że „Tajwan jest jakieś dwie stopy od Chin.
My jesteśmy osiem tysięcy mil stąd. Jeśli
zaatakują, nic, kurwa, nie możemy z tym
zrobić”. A w tym roku w wywiadzie dla Fox
News sugerował, że jeśli zostanie ponow-
nie wybrany, nie pomoże bronić Tajwa-
nu. Przy okazji zarzucił Tajpej, że ukradło
Ameryce produkcję półprzewodników.

W konkurencji na zdumiewające pomy-
sły Trumpa przebił inny kandydat Republi-
kanów na prezydenta, Vivek Ramaswamy,
który uważa, że Ameryka powinna bronić
Tajwanu, dopóki nie stanie się samowy-
starczalna w zakresie półprzewodników.
Gdy tę samowystarczalność osiągnie, po-
winna powrócić do strategii dwuznaczno-
ści: może pomożemy, może nie.

Dominacja Tajwanu w produkcji naj-
wyższej klasy półprzewodników zrodziła
pojęcie „tarczy silikonowej”: Zachód musi
bronić wyspy, bo inaczej czeka go chiński
dyktat w tej krytycznej materii. Minister
Wu odniósł się do tego, choć nie czuł się
zręcznie. Powiedział z grubszą tak: podzie-
limy się z naszymi sojusznikami eksperty-
zą i doświadczeniem, pomożemy im opa-
nować tę dziedzinę, ale jeszcze długo nikt
nam w tym nie dorówna.

Elon Musk, głęboko przeświadczony, że
cały świat niecierpliwie czeka na jego opi-
nię w każdej ważnej sprawie, nie zdzier-
żył i w zeszłym tygodniu podzielił się prze-
myśleniami, że Tajwan to „integralna część
Chin”. W odpowiedzi MSZ Tajwanu we-
zwało Muska na X, dawnym Twitterze,
by zwrócił się do komunistycznych władz
w Pekinie o udostępnienie X swoim obywa-
telom. Być może uważa – napisał autor po-
stu, podpisany J.W., co sugeruje szefa dy-
plomacji – że zakaz dostępu do X to dobra
polityka, podobnie jak wyłączenie Starlin-
ku, aby udaremnić kontratak Ukrainy prze-
ciwko Rosji. „Tajwan nie jest częścią ChRL
i na pewno nie jest na sprzedaż” – napisa-
ło ministerstwo.

Obrona Tajwanu nie jest tak bezna-
dziejna, jak to opisuje Trump.

Na papierze przewaga Pekinu
nad Tajpej jest druzgocąca, ale podobnie

druzgocąca była na papierze przewaga Ro-
sji nad Ukrainą.

Aby skutecznie odstraszyć, trzeba po
pierwsze przekonać Pekin, że łatwo mu
nie pójdzie, a najlepiej, że szanse na zwy-
cięstwo ma nikłe, bo Tajwan może prze-
trwać chiński atak – a każdy taki atak zu-
boży, osłabi i zdestabilizuje Chiny. Po dru-
gie, że nawet gdyby zdobył Tajwan, to kam-
pania sankcji uczyni tę wiktorię pyrruso-
wym zwycięstwem.

Stany Zjednoczone dozbrajają Tajwan,
szkołą jego armię, zwiększyli liczbę dorad-
ców. Chodzi o to, aby uczynić kraj czymś
na podobieństwo kłującego jeża, z którym
spotkanie jest piekielnie niemiłe.

Nowym elementem odstraszenia Chin
stały się regionalne sojusze wojskowe.

Trump miał usta pełne antychińskiej re-
toryki, ale w praktyce podejmował dzia-
łania korzystne dla Chin; przykładem je-
go ignorancji i arogancji było utrupienie
TPP, Trans-Pacific Partnership, które mia-
ło ściślej związać USA z 11 krajami Pacy-
fiku: Japonią, Malezją, Wietnamem, Bru-
nei, Singapurem, Australią, Nową Ze-
landią, Chile, Meksykiem, Peru i Kanadą
– bez Chin.

Teraz solidnego oblicza nabiera so-
jusz amerykańsko-japoński. Po długich de-
kadach pacyfizmu w obliczu polityki Pe-
kinu i Moskwy rząd Japonii przy popar-
ciu 70 proc. społeczeństwa przyjął do nie-
dawna niewyobrażalny program zbrojeń
o wartości 320 miliardów dolarów zawie-
rający rakiety zdolne osiągnąć Chiny. To-
kio współpracuje z Waszyngtonem, aby
przekształcić wyspy archipelagu Riukiu,
rozciągające się między Tajwanem a Kiu-
siu na długości około 1200 kilometrów, od-
dzielające Morze Wschodniochińskie od
Morza Filipińskiego, w mocne punkty
obrony na morzu.

Australia, Wielka Brytania i Stany poro-
zumiały się co do budowy podwodnych ło-
dzi nuklearnych.

Po przeszło 30 latach Amerykanie wró-
cili do Subic Bay, na północ od Mani-
li, niespełna 1000 kilometrów od Tajwa-
nu. To dla F-35 pół godziny lotu. W filipiń-
skich dżunglach razem z żołnierzami Fi-
lipin i Australii ćwiczą walki wręcz, jakie
ostatnim razem toczono tu z Japończyka-
mi 80 lat temu.

Chiński imperializm zbliżył Koreę Po-
łudniową do Japonii. A urzędnicy w Wa-
szyngtonie, Tokio i Canberze przebąkują
o trójstronnej koalicji dla obrony Tajwanu.

Pekin jest skłócony z większością
krajów Pacyfiku o terytoria – albo te
o strategicznym znaczeniu dla żeglu-
gi, albo te, gdzie na dnie spoczywa ropa lub
gaz. Chiny twierdzą, że wszystko na Mo-
rzu Południowochińskim do nich należy.
O łańcuch wysp Spratly, gdzie ponad pół
wieku temu odkryto ropę – Chińczycy
szacują, że jest jej tam więcej niż w Kuwej-
cie – spierają się z Filipinami, Tajwanem,
Malezją, Wietnamem i Brunei. Z Japonią
spierają się o suwerenność wysp Senkaku,
według Tokio, albo Diaoyu, jak je nazywa
Pekin, na Morzu Wschodniochińskim.
Chociaż wszystkie kraje regionu kwestio-
nują te roszczenia, to Chiny niewiele sobie
z tego robią i przez niemal 20 ostatnich lat
energicznie zmieniały atole i rafy w swoje
lotniska i porty.

Ocean Spokojny już dawno przestał być
spokojny. O spokój na tym obszarze trosz-
czą się coraz bardziej energicznie dwa naj-
większe gołąbki pokoju, czyli Rosja i wła-
śnie Chiny. Prowadzą wspólne manew-
ry na Pacyfiku. W sierpniu wzięło w nich
udział 11 okrętów wojennych otaczających
Japonię i 30 samolotów. Żeby nikt nie miał
wątpliwości, o co chodzi, ministerstwo
obrony Rosji przypomniało mantrę ćwi-
czoną przez całe dekady, że o „utrzymanie
pokoju i stabilności”.

Pekin wie, że sankcje zaszkodziły Ro-
sji, ale jej nie złamały. Próbuje zmniejszać
swą zależność – gromadzi zapasy żywno-
ści i energii, buduje samowystarczalność
technologiczną, inwestuje w infrastruktu-
rę, która złagodzi zachodnie żądło.

Ale Chiny to nie Rosja, która z wyjąt-
kiem ropy i gazu niewiele światu sprzeda-
je. Importują wiele surowców i polegają
gospodarczo na eksporcie. Na nim zbudow-
wały potęgę, to wpływy z handlu z Zacho-
dem pozwoliły modernizować i kraj, i ar-
mię. Afrykę czy Amerykę Łacińską moż-
na drenować, kraść jej surowce, ale obie
jeszcze długo nie będą stanowić chłonne-
go rynku na produkty chińskich fabryk.
A marynarka wojenna USA mogłaby bar-
dzo skomplikować Chinom import nośni-
ków energii.

Gdyby Xi poszedł śladem Putina i pró-
bował agresji w swym regionie, cała Eura-
zja znalazłaby się w centrum cyklonu. NA-
TO czekałby test o bezprecedensowej skali.
Ale Putin uczynił więcej niż ktokolwiek in-
ny, aby Sojusz obudzić, otrzeć i wzmo-
cić. To prawda, że gospodarka Chin jest
dziesięciokrotnie większa od rosyjskiej,
a ich budżet wojskowy czterokrotnie więk-
szy od wydatków wojskowych Rosji. Ale
prawdą jest również to, że Chiny bardziej
niż Rosja zależą od handlu z resztą świata.

Wielką niewiadomą jest widmo sma-
rańczowego nieszczęścia, które znów zawi-
sło nad Ameryką i światem. Gdyby Trump
został prezydentem – co jest dziś bardziej
prawdopodobne niż jeszcze rok temu, bo
kolejne wyroki skazujące tylko podnoszą
mu słupki poparcia – w głównej mierze
ucierpi Ukraina, lecz w następnym szeregu
ofiar znaleźć się może Tajwan. Dlatego nie
tylko trzyma kciuki za Ukrainę, ale uważ-
nie przygląda się temu, jak Ukraińcy sta-
wiają opór bandycie. Może bowiem napo-
tkać przeciwnika o podobnych pomysłach
i manierach, tyle że znacznie silniejszego.

No i jest jeszcze jedna, być może kluczo-
wa zmienna. Nie wiemy, co za pasztet szy-
kują na amerykańskie wybory Xi i Putin.
A mało prawdopodobne, aby czegoś nie
szykowali. ●

Gospodarka Chin wpadła w głębsze tarapaty, niż pokazują oficjalne
wskaźniki. Na przykład, jeśli ktoś znajduje pracę tylko na godzinę
dziennie, to nie figuruje jako bezrobotny.

Pekin przestał też ujawniać dane o bezrobociu wśród młodych

NÄHDÄÄN, DRUZZJA

Czy flagi „Slava Ukraini” na drzewach zastąpią Finom tanie piwo i papierosy z Petersburga oraz milion euro dziennie od rosyjskich turystów.

Maciej Czarnecki

Po fińskiej stronie – 25-tysięczna, położona nad jeziorem Imatra. Po rosyjskiej – 15-tysięczny, przemysłowy Swietogorsk. Między nimi przejście graniczne, po którym hula wiatr.

Puste, szerokie pasy dla samochodów i ciężarówek, nowoczesny terminal po fińskiej stronie, tory kolejowe, na których zastygły rzędy zielonych wagonów – to relikty minionej epoki, tej sprzed inwazji Rosji na Ukrainę, dowodzące, jak ożywiony ruch panował w tym miejscu.

Wstrzymały go unijne restrykcje wobec rosyjskich podróżnych i towarów. – Na początku odmawialiśmy wjazdu wielu osobom, teraz już nie, bo ludzie zaznajomili się z przepisami i po prostu nie przyjeżdżają – mówi mi pełniący służbę na przejściu granicznym Simo Laine.

Na całej granicy Finlandii z Rosją co miesiąc zawraca się około 200 osób. Ci, którzy nadal wjeżdżają, to głównie osoby z podwójnym obywatelstwem, członkowie mieszanych rodzin i posiadacze specjalnych zezwoleń na wjazd.

– Ale typowy dzień wygląda właśnie tak. Całkiem spokojnie – rzuca Laine.

– Nie nudzicie się tu?

– Nie, no jakże. Mamy też inne obowiązki, na przykład szkolenia i tak dalej.

Pprzed wojną sznur fińskich aut sunął tędy po tańsze paliwo i papierosy.

No i na wycieczki do Petersburga, bo od niego dzieli Imatrę tylko 200 km (od Helsinek – 260). W drugą stronę ciągnęli Rosjanie, by wypakować torby zachodnimi ciuchami, perfumami czy elektroniką. Z lokalnych produktów upodabali sobie ryby i sery. Lubili również byczyć się nad jeziorem i w ogromnym spa, gdzie mieli do dyspozycji baseny ze zjeżdżalnią i jacuzzi.

Przyjeżdżało trochę ludzi ze Swietogorska, ale najwięcej wydawali bogaci mieszk

kańcy Petersburga. Fiński nadawca państwowy Yle podał, że przed pandemią Rosjanie codziennie zostawiali w południowej Karelii okrągły milion euro.

Świadectwem dawnych czasów są nieczynne supermarkety przy granicy ze świecącymi pustkami, rozległymi parkingami – Scandinavian Market i rybny Disas. W samej Imatrze zaś – wyblakłe reklamy raybanów sprzed paru sezonów w witrynie salonu optycznego czy banery informujące o obniżkach w sklepie jubilerskim.

– Z dawnymi czasami nie ma porównania. Tak naprawdę nigdy nie wróciliśmy do tego, co było przed pandemią – mówi mi w tym ostatnim znudzona sprzedawczyni ze świeżo pomalowanymi na czerwono paznokciami.

Na ulicach można spotkać wielu seniorów, bo Imatra – podobnie jak wiele miejsc w Finlandii poza Helsinkami – ma problemy demograficzne. Więcej ludzi tu umiera, niż się rodzi, a młodzi wyjeżdżają za pracą do stolicy.

Miasteczko nie jest jednak obrazem nędzy i rozpacz: nadal widać niezłe samochody, w knajpce przy jeziorze towarzystwo starszych Finów zaśmiewa się przy rybnym frykasach. W końcu to bogaty kraj, nawet jeśli zabrakło pieniędzy Rosjan, wciąż są fińskie emerytury i lokalny przemysł.

Na wschód i południe od miasta rozstawiono tablice z ostrzeżeniami skierowane przede wszystkim do zbieraczy grzybów i owoców leśnych, myśliwych oraz wścibskich reporterów, by nie zapuszczać się w bezpośrednie sąsiedztwo granicy. Wstęp do strefy przygranicznej wymaga specjalnego zezwolenia. Jeżdżąc po okolicy, co rusz natykam się na obwiązane żółtymi taśmami drzewa, które wyznaczają jej początek. Nie sposób ich nie zauważyć, bo zwisają co trzy-cztery metry.

Z kolei przy wjeździe do Imatry ktoś zawiesił na sosnach wielką, żółto-niebieską flagę z napisem „Slava Ukraini”. Przemykają pod nią narciarze na wrotkach,



bo w Finlandii narciarstwo to najważniejszy sport po hokeju – nawet jeśli jest ponad 20 stopni.

Akurat hokej świetnie pokazuje ewolucję podejścia do Rosji w ostatnich latach. W 2013 r. trzech rosyjskich oligarchów z kręgu Władimira Putina – Arkadij i Boris Rotenbergowie oraz Giennadij Timczenko – kupiło udziały w utytułowanym klubie Jokerit Helsinki i... przeniosło go do ligi rosyjskiej. Po aneksji Krymu oligarchowie byli pod rosnącą presją, by odczepić się od klubu, co nastąpiło w 2019 r., zaś po inwazji Jokerit wycofał się z ligi, by od sezonu 2023/24 wrócić do fińskiej.

Takich emocji nie wywoływał nawet projekt budowy nad Zatoką Botnicką przez fińskie konsorcjum elektrowni atomowej wspólnie z państwowym Rosatomem, też zresztą zarzucony w zeszłym roku.

Najaskrawszym symbolem odgródzenia się od Rosji jest jednak wysoki na trzy metry, zwieńczony drutem kolczastym stalowy płot, którego pilotażowy odcinek powstaje pod Imatrą.

– W Finlandii jest szeroki konsensus na rzecz wzniesienia go w niektórych częściach wschodniej granicy w związku ze zmianami w sytuacji bezpieczeństwa – tłumaczy Mikko Lehmus, szef Centrum ds. Analiz Sytuacji i Ryzyka fińskiej straży granicznej.

Ma na myśli oczywiście rosyjską agresję na Ukrainę, po której Finowie w ekspresowym tempie wstąpili do NATO.

Pierwszy, trzykilometrowy fragment płotu jest już niemal skończony. Kolejne będą powstawać w latach 2024-26, łącznie na odcinku 200 km – w najbardziej niewralgicznych miejscach granicy, która rozciąga się aż na 1340 km.

– Płot jest niezbędny zwłaszcza w nadzwyczajnych sytuacjach, w których może dojść do zinstrumentalizowanych, szeroko zakrojonych nielegalnych przekroczeń. Rosja kontroluje ruch graniczny do Finlandii, zapobiegając takim przekroczeniom. Jednak tylko stała bariera znacząco zmniejszy zależność od rosyjskich kontroli – tłumaczy Lehmus.

To nawiązanie do sytuacji z lat 2015-16, kiedy Moskwa celowo wysyłała na fińską granicę migrantów, głównie z Bliskiego Wschodu. Wypisz wymaluj to, co robi Łukaszenka na granicy z Polską.

Władimir Putin groził Helsinkom bliżej niesprecyzowanymi „konsekwencjami” za akcesję do NATO, więc Finowie nie wykluczają, że znów tego spróbuje.

– Straż graniczna jest przygotowana na incydenty. Mamy opracowane plany operacyjne w porozumieniu z innymi służbami na różne okazje. Regularnie przeprowadzamy ćwiczenia operacyjne – zapewnia Lehmus.

– O możliwym sprokuirowaniu przez rosyjskie władze dużych przepływów migracyjnych na granicy mówi się w Finlandii sporo – przyznaje Tuomas Forsberg, politolog z Uniwersytetu w Helsinkach.

– To, co działo się na mniejszą skalę w latach 2015-16, zostawiło trwale ślady i może między innymi właśnie dlatego Finlandia tak szybko dołączyła do NATO. Uważam, że jest przygotowana na taki scenariusz na tyle, na ile kraj może się na niego przygotować – dodaje.

Na razie na granicy nie ma tłumów. Zdarzają się uciekinierzy z Rosji, którzy proszą o azyl. Yle opisał niedawno historię Andrieja, dezterera, który przedarł się do Finlandii przez lasy, oraz przeciwnego reżimowi Putina przedsiębiorcy Tomasa i jego bratanka, którzy przepłynęli na potonie przez Zatokę Fińską ścigani przez rosyjską straż przybrzeżną. Wypłynęli z Primorska większą łodzią żaglową i chcieli dotrzeć... do USA, ale musieli zwodować ponton ratunkowy, gdy zostali wykryci przez rosyjskie służby.

Na rozpatrzenie przez Helsinki czeka około 1,3 tys. wniosków o azyl od rosyjskich obywateli. Wiele wpłynęło po ogłoszeniu przez Rosję częściowej mobilizacji rok temu. Finlandia je zamroziła, oczekując na unijne wytyczne, jak traktować takie sprawy.

Forsberg opowiada, że Finowie są dość jednomyślni w potępieniu rosyjskiej inwazji, lecz historycznie wizerunek wielkiej sąsiadki w Finlandii jest złożony.

– Po 24 marca 2022 r., który przypomniał Finom o sowieckim ataku na Finlandię w 1939 r., wypłynęły tradycyjnie negatywne postawy. Jednak bardziej stonowany obraz Rosji, który panował w czasach zimnej wojny, do końca nie zniknął. Jeśli w Moskwie zmieniają się władze i zakończą wojnę, na pewno pojawi się możliwość poprawy relacji – uważa politolog.

Ale zaraz zastrzega: – Kiedyś istniało rozróżnienie między reżimem a narodem. Wizerunek narodu rosyjskiego nie był taki negatywny, a kiedy zaczęła się wojna i wielu Rosjan uciekło do Finlandii, nawet nieco się polepszył, podczas gdy obraz reżimu oczywiście się pogorszył. Jednak wojna trwa, a Rosjanie zdają się ją wspierać, więc wizerunek narodu również stał się bardziej negatywny.

W Imatrze związki z Rosją były szczególnie mocne. Burmistrz Matias Hilden, z którym spotykam się w barze tapas w centrum, wspomi-

na, że gdy w 1995 r. Finlandia wstępowała do Unii, niektórzy obawiali się, że Niemcy wykupią lokalne nieruchomości (zna to z opowieści, bo ma ledwie 36 lat). Tymczasem zamiast nich pojawili się Rosjanie.

W miarę jak w XXI w. rozwijała się rosyjska gospodarka, coraz więcej gości wykupywało letnie domki nad brzegami jeziora. Najwięcej transakcji było około 15 lat temu. Potem zmieniła się sytuacja międzyna-

– Wpuszczamy niezbyt wielu – przyznaje strażnik Laine.

Potencjalni nowi nabywcy są traktowani z podejrzliwością. W grudniu ministerstwo obrony zablokowało sprzedaż Rosjanom dawnego domu spokojnej starości w mieście Kankaanpää na zachodzie kraju.

Trzech mieszkańców Petersburga przyjechało właśnie do Imatry, by wypełnić niezbędne papiery. Zaznaczyli w nich, że nie-

Ponad 700 rosyjskich właścicieli napisało petycję do prezydenta Sauliego Niinistö. Skarżą się, że nie mogą ani przyjechać do swoich domów, ani ich sprzedać

rodowa, aneksja Krymu wbiła klin między Rosję a Zachód, a rubel zaczął mocno tracić w stosunku do euro.

Jednak rosyjscy obywatele nadal posiadają kilkadziesiąt domów w regionie. Od czasu wprowadzenia unijnych restrykcji nie mogą do nich przyjeżdżać, poza nadzwyczajnymi sytuacjami, takimi jak konieczność dokonania nagłych napraw.

– Dla nas oznacza to w przyszłości problem z wieloma opuszczonymi nieruchomościami. Jako miasto nie możemy wiele zrobić w tej sprawie. Inny problem to niedziałający system płatności, a przecież właściciele powinni płacić podatki – mówi Hilden.

Petycję do prezydenta Sauliego Niinistö w tej sprawie podpisało już ponad 700 rosyjskich właścicieli. Skarżą się, że nie mogą ani przyjechać do swoich domów, ani ich sprzedać z uwagi na sankcyjny zakaz transferów euro do Rosji.

Na razie nic nie wskórali, ba – w lipcu Finowie jeszcze bardziej zaostrzyli regulacje wjazdowe. Nawet naprawy mogą nie stanowić już wystarczającego pretekstu wizyty; Rosjanie powinni próbować załatwić je przez fińskich podwykonawców. Ostateczną decyzję w sprawie wjazdu podejmie straż graniczna.

ruchomość ma im służyć do celów wypoczynkowych. Finowie nie uwierzyli, bo znajduje się tuż przy bazie wojskowej, w której odbywają się szkolenia z NATO.

Imatra ma jeszcze inne problemy. – Zalał się import. Przedtem sprowadzałyśmy z Rosji sporo drewna. W regionie jest niemały przemysł drzewny. W samym mieście mamy dużą fabrykę firmy Stora Enso – mówi burmistrz.

Ten fiński koncern zatrudnia blisko 21 tys. pracowników, produkuje opakowania, biomateriały, konstrukcje drewniane i papier, jest jednym z największych prywatnych właścicieli lasów na świecie. Na początku września ogłosił, że zamyka jeden z zakładów w położonej nad Zatoką Fińską miejscowości Kotka, bo bez drewna zza wschodniej granicy biznes przestał być opłacalny.

Przed wojną Finlandia sprowadzała z Rosji do 10 proc. drewna wykorzystywanego w produkcji, ale w południowo-wschodniej części kraju ten odsetek był wyższy.

Hilden wspomina też o Zsar Outlet Village, centrum handlowym z końcówkami serii markowych producentów, które zbankrutowało niemal rok temu. Wzniesiono

je niewiele wcześniej, bo w 2018 r., w okolicach przejścia granicznego Vaalimaa. Miało przyciągać rosyjskich turystów w drodze do Helsinek, ale trafiło na fatalny czas: najpierw pandemii, potem wojny w Ukrainie.

– Teraz przypomina wioskę widmo. Naprawdę smutny widok – kwituje Hilden.

Zauważam, że w barze, w którym jemy, zajęte są wszystkie stoliki. Jedzenie jest naprawdę niezłe, dawno nie jadłem tak dobrego łososia.

– Imatra wymyśla siebie na nowo?

– Cóż, turystyka była ważna, ale nadal większość ludzi pracuje tu w przemyśle – odpowiada burmistrz.

– Oczywiście kiedyś granica w końcu się otworzy, lecz nie wiemy, czy za dekadę, czy za dwie. Na tym kierunku już nie można polegać. A wiesz, że przed wojną były plany, żeby stworzyć bezpośrednie połączenie kolejowe między Imatrą a Petersburgiem? To już przeszłość. Ale do Imatry przyjeżdża teraz wielu fińskich turystów. No i pracujemy nad tym, żeby przyjeżdżało więcej Europejczyków. Inne miasteczka przyciągają trochę Niemców, Austriaków, Szwajcarów. Na to powinniśmy postawić. ●

Czemu Finowie są, jacy są, i jacy są naprawdę, a nie w stereotypie, opowiada Małgorzata Sidz w reportażu „**Kocie chrzciny. Lato i zima w Finlandii**”. Książka dostępna w dobrych księgarniach, na stronie wydawnictwa Czarne i w formie e-booka na Publio.pl.



OGŁOSZENIA

Fot. TVN/Mariusz Janszewski



Matka dzieci przeklętych
Anja Ringgren Lovén
współpraca z Julie Møllerup
Moja podróż do krajów nadziei

Anja Ringgren Lovén
ratuje w Nigerii
dzieci oskarżone o czary

Jest bohaterką programu
Martyny Wojciechowskiej



Niedziela, godz. 11.30, TVN | Player

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA
W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA
publio.pl

Wydawnictwo
Agora



NASZA EUROPA

„The New York Times”

DLA WĄTPIĄCYCH
W UKRAINĘSzkoda, że nie każdy, kto jest sceptyczny w kwestii zbrojenia Ukrainy,
może pojechać na chwilę do Kijowa

Thomas L. Friedman

Będąc w Kijowie w zeszłym tygodniu, pierwszy raz od początku rosyjskiej inwazji, co rano wybierałem się na spacer po terenie klasztoru św. Michała Archanioła. To piorunujące doświadczenie, bo piękno tej architektury jest zakłócone przez „wystawę” zniszczonych rosyjskich czołgów i transporterów opancerzonych. Zaglądając do tych poszarpanych pociskami kadłubów, nie da się nie pomyśleć, jak straszna śmierć musiała spotkać obsługujących je żołnierzy.

Ta spleciona masa rdzewiejących stali tkwiąca pośrodku wielkiego placu z białego kamienia wygląda niczym meteor, który spadł nagle z nieba, zakłócając życie, jakie znaliśmy: prawie osiem dekad bez wojny prowadzonej przez „wielkie mocarstwo” w Europie, na kontynencie, który tak długo był synonimem bezpieczeństwa i dobrobytu. I teraz trzeba sobie z tym poradzić.

PUTIN
Z GOŁĄ KLATĄ

Niemal każdy Ukrainiec, z którym rozmawiałem w Kijowie, był zarazem wyczerpany wojną i z pasją podkreślał determinację, by odzyskać każdy centymetr okupowanego przez Rosję terytorium – ale nikt nie miał jasnych odpowiedzi na temat przyszłości, bolesnych kompromisów, które ich czekają, a jedynie pewność, że porażka oznaczałaby koniec demokratycznych marzeń Ukrainy i rozbicie porządku międzynarodowego, który po II wojnie światowej stworzył Europę bardziej spójną i wolną niż kiedykolwiek wcześniej w jej historii.

To, co Putin robi w Ukrainie, to nie tylko lekkomyślność, mocarstwowy kaprys, nie tylko inwazja, która ustanawia nowe limity przesady, obłudy, niemoralności i niekompetencji, a wszystko to opakowane w steek niebywałych kłamstw. To, co robi, to czyste zło. Wymyślił dowolnie tasowaną talię uzasadnień – jednego dnia chodziło o usunięcie nazistowskiego reżimu w Kijowie, następnego o zapobieganie ekspansji NATO, kolejnego o odpieranie zachodniej inwazji kulturowej na Rosję – a przecież ostatecznie realizuje jedynie własną supermocarstwową fantazję, która skutkuje tym, że jego armia musi prosić o pomoc Koreę Północną. To tak, jakby największy bank w mieście prosił lokalny lombard o pożyczkę. Tyle w kwestii maczystowskiego Putina z gołą klatą.



• 24 sierpnia, ukraińskie Święto Niepodległości, zamiast defilady – wystawa zniszczonego rosyjskiego sprzętu wojskowego na Chreszczatyku, głównej ulicy Kijowa FOT. EFREM LUKATSKY/AP

BRZEZIŃSKI MIAŁ RACJĘ

Zło to – poza śmiercią, bólem, traumą i zniszczeniem zadany Ukrainie – także fakt, że w czasie, gdy zmiany klimatyczne, głód, kryzysy zdrowotne i wiele innych rzeczy zagrażają naszej planecie, ostatnią rzeczą, jakiej ludzkość potrzebowała, było skierowanie tak dużej uwagi, energii, pieniędzy i po prostu poświęcanie tylu istnień z powodu wojny Putina, która ma na celu ponownie uczynić Ukrainę rosyjską kolonią.

Putin ostatnio przestał nawet zwracać sobie głowę uzasadnianiem wojny – być może dlatego, że nawet jemu jest już niezręczne otwarcie głosić nihilizm, który stoi za jego działaniami: jeśli nie mogą mieć Ukrainy, to przynajmniej sprawię, że Ukraińcy też jej nie będą mieli.

„To nie jest wojna, w której agresor ma jakąś wizję, zarys przyszłości. Wręcz przeciwnie, dla niego przyszłość jest ciemna i bezkształtna, a jedyne, co ma znaczenie, to naga siła” – zauważył Timothy Snyder, historyk z Yale, podczas panelu, który prowadziliśmy razem w Kijowie w ubiegły weekend.

Pobyt w tym mieście wyjaśnił mi trzy kwestie. Jeszcze lepiej rozumiem, jak chora i destrukcyjna jest ta rosyjska inwazja. Jeszcze dokładniej widzę, jak trudne, a może nawet niemożliwe będzie dla Ukraińców wyrzucenie armii Putina z każdego kawałka ich ziemi.

Ale przede wszystkim jeszcze lepiej rozumiem coś, co były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego USA Zbigniew Brzeziński zauważył prawie 30 lat temu: „Bez Ukrainy Rosja przestaje być imperium, ale z Ukrainą poskromioną, a następnie podporząd-

kowaną, Rosja staje się imperium automatycznie”.

Większość Amerykanów nie wie dużo o Ukrainie, ale mówię to bez żadnej przesady: Ukraina jest dla Zachodu krajem, który zmienia reguły gry, na lepsze lub na gorsze, w zależności od wyniku tej wojny. Jej integracja z Unią Europejską i NATO pewnego dnia stanowiłaby rewolucję, która mogłaby rywalizować swoim znaczeniem z upadkiem muru berlińskiego i zjednoczeniem Niemiec. Ukraina jest krajem o imponującym kapitale ludzkim, zasobach rolnych i naturalnych – „ręce, mózgi i zboża”, jak lubią mawiać zachodni inwestorzy w Kijowie. Jej pełna integracja z demokratyczną strukturą bezpieczeństwa i gospodarki Europy byłaby odczuwalna i w Moskwie, i nawet w Pekinie.

Putin o tym wie. Jego wojna nigdy nie miała zapobiegać ekspansji NATO. Chodziło o powstrzymanie Ukrainy przed przystąpieniem do Unii Europejskiej, co będzie stanowić silny cios dla kleptokratycznego modelu putinowskiej autokracji. W tym sensie NATO służy Putinowi do usprawiedliwiania militaryzacji rosyjskiego społeczeństwa i prezentowania siebie jako niezbędnego strażnika statusu Rosji. Ale to wejście Ukrainy do UE jest dla niego śmiertelnym zagrożeniem – obnaża bowiem putinizm jako źródło słabości Rosji. Ukraińcy, których spotkałem, rozumieją, że oni i Europa są związani razem w historycznym momencie starcia z putinizmem – starcia, które jednak nie może zakończyć się sukcesem bez niezłomnego wsparcia Stanów Zjednoczonych. Dlatego jedno z najczęstszych – i najbardziej niepokoj-

jących – pytań, jakie słyszałem w Kijowie, brzmiało: „Czy myślisz, że Trump, kumpel Putina, może ponownie zostać prezydentem?”.

Wystarczy spojrzeć w oczy ukraińskim żołnierzom powracającym z frontu, by pozbyć się złudzeń co do moralnej równowagi tej wojny. Byłem w tym kraju zaledwie trzy dni – znacznie krócej niż moi koledzy z „NYT” i inni korespondenci, którzy byli świadkami walk i cierpienia. Ale nie jest konieczne oglądanie zniszczonych bombami miast i wiosek we wschodniej Ukrainie, nie trzeba osobiście weryfikować raportów ONZ o ukraińskich dzieciach „porwanych, gwałconych, torturowanych i przetrzymywanych” przez najeźdźców z Rosji, żeby zdawać sobie sprawę, że mamy do czynienia z być może najbardziej oczywistym przypadkiem konfrontacji dobra i zła, jaki można znaleźć w historii od czasów II wojny światowej.

Problem w tym, że im więcej wiemy o tym konflikcie i zastanawiamy się, jak go rozwiązać, tym lepiej widzimy, że ten surowy, czarno-biały bilans moralny wcale nie oferuje łatwej mapy drogowej do rozwiązania.

CO JEST SPRAWIEDLIWE,
CO REALNE

Jest jasne jak słońce, co byłoby sprawiedliwym wynikiem tej wojny: Ukraina, która jest cała i wolna, z reparacjami wypłaconymi przez Rosję. Jednak nie jest jasne, jak taką sprawiedliwość osiągnąć i za jaką cenę, czy jakiś zgnity kompromis nie okaże się najmniej szkodliwą opcją. A jeśli tak, to jak bardzo będzie zgnity, kiedy zawarty i przez kogo gwarantowany.

Innymi słowy, gdy tylko wyjdziemy poza kategorie sprawiedliwości i wejdziemy w sferę dyplomacji i Realpolitik – cały obraz zmienia się z czarno-białego w różne odcienie szarości. Ponieważ agresor nadal jest potężny i nadal ma przyjaciół, a zatem i coś do powiedzenia. Ukraina również ma wielu przyjaciół zaangażowanych w pomoc w walce tak długo, jak będzie tego oczekiwać – dopóki „tak długo,” nie stanie się zbyt długo dla Waszyngtonu i innych stolic Zachodu.

Bardzo trudno jest powstrzymać przywódcę, który nie ma wstydu ani sumienia. Przed kilkoma dniami Putin oznajmił, że 91 zarzutów postawionych Donaldowi Trumpowi przed czterema różnymi sądami w USA stanowi „prześladowanie politycznego rywala z politycznych pobudek” i pokazuje „zgniliznę amerykańskiego systemu, który nie może już udawać, że uczy innych demokracji”. Tak mówi człowiek, którego reżim truje oponentów, zabija w ich

NASZA EUROPA

samolotach i wysyła do syberyjskich kolo-

nii karnych.

Bezwstyd zapiera dech w piersiach. I choć jego błaganie Korei Północnej o pomoc wojskową jest żalosne, sam fakt, że jest gotów to robić, świadczy, że zamierza kontynuować tę wojnę, dopóki nie wyrwie dla siebie jakiegos kawałka Ukrainy, mogąc to uznać za sukces ratujący twarz.

Pojechałem do Kijowa, aby wziąć udział w dorocznym spotkaniu Jałtańskiej Strategii Europejskiej. Pierwszym mówcą był prezydent Ukrainy Wołodymyr Zelenski, który od samego początku argumentował, że jeśli odpuścimy kwestię sprawiedliwości i dobijemy jakiegos brudnego interesu z Putinem, będziemy siać wiatr i zbierać burzę.

„Ludzka moralność musi wygrać tę wojnę” – powiedział Zelenski. I zaznaczył: „Nasz sukces zależy nie tylko od nas, od Ukraińców, ale także od tego, jak zachowa się cała ogromna moralna przestrzeń świata”.

Tylko że zaprowadzenie sprawiedliwości w wojnie prawie zawsze wymaga całkowitej klęski, a nawet okupacji agresora. Tymczasem Rosja ma ponadtrzykrotnie większą populację niż Ukraina. A kiedy słucha się ukraińskich żołnierzy, słyszy się poza determinacją także przyznanie do wyczerpania.

W konferencji wzięło udział czterech żołnierzy oraz żołnierka. Wszyscy walczyli na froncie. Dmytro Finaaszyn, oficer wywiadu Gwardii Narodowej, który zamiast lewego przedramienia miał czarną protezę, mówił: „Umierają nasi najlepsi ludzie, ci, którzy powinni kształtować przyszłość kraju. Dlatego konieczne jest zmniejszenie naszych strat. Świat musi nam pomóc, ponieważ walczy my tu nie tylko o nas samych, ale o globalną demokrację”.

Alina Michajłowa, doświadczona oficer, która na froncie jest od ponad roku, zaczęła płakać podczas swojej prezentacji. „Ponosismy ogromne straty; nie ma u nas żadnego romantyzowania wojny, która jest brudna, paskudna i zła. Tego, co dzieje się na froncie, nie można poznać z telewizji” – powiedziała. „Każdy z nas potrzebuje osobistego wsparcia: rodziny lub ukochanej osoby lub jakiegokolwiek osoby, która nie odwróci wzroku i rozumie, o co walczymy” – dodała.

Nie zrozumcie mnie źle, ukraińska armia jest gotowa do walki jak mało która w historii, a każdy polityk w tym kraju, w tym Zelenski, który tylko by zasugerował gotowość do jakiegos „kompromisu terytorialnego”, może się zżegnać ze stanowiskiem. Ale matematyka jest okrutna. Każdy, kto zgłosił się na ochotnika zaraz po inwazji, już poszedł na front, co oznacza, że coraz więcej Ukraińców będzie musiało zostać przymusowo wcielonych do wojska. Wielu nadal zgłasza się dobrowolnie, lecz często szukają możliwości dołączenia np. do jednostek obsługujących drony – byle nie do piechoty – a coraz więcej Ukraińców próbuje nawet dzięki łapówkom uciec przed poborem. Dlatego właśnie Zelenski musiał niedawno zwolnić całe kierownictwo regionalnych wojskowych centrów rekrutacyjnych.

LUKE SKYWALKER
W TELEFONIE

Nikt w tym zaskakująco nowoczesnym europejskim kraju nie był gotowy na to, by jego życie zostało wyrwcone do góry nogami przez tego rodzaju wojnę, która pomimo gróźb ze strony Rosji zawsze wydawała się odległą możliwością. Dziś w Kijowie po grzeb jest najczęstszą formą spotkania z innymi ludźmi. Nie taki był plan. Wiadomo, że gdy kraj jest w stanie wojny od dłuższego czasu, walka zaczyna wpływać na język. Kiedy ukraińska platforma United24 szuka darowizn na zakup dronów dla armii, prosi o „dronację” i wszyscy wiedzą, co to znaczy. Ukraińców pochłaniają te same dwie kwestie, które spędzają sen z powiek wielu

urzędnikom w Waszyngtonie: powodzenie kontrofensywy przeciwko Rosjanom i zapewnienie bezpieczeństwa Ukrainy w dłuższej perspektywie. Byłem od początku za tym, by USA wspierały Ukrainę tak długo, jak długo Ukraińcy będą chcieli walczyć. Po byt na Ukrainie nie tyle zmienił moje zdanie, ile podkreślił potrzebę zarówno pilności naszych działań, jak i pragmatyzmu.

Jeśli chodzi o pilność: Ukraina musi wyrazić jak najwięcej szkód armii Putina tak szybko, jak to możliwe. Oznacza to, że musimy masowo i szybko dostarczyć Ukrainie broń potrzebną do przełamania linii rosyjskich na południowym wschodzie kraju. Mówię o masowym wsparciu: F-16, sprzęt do usuwania min, systemy Patriot, wojskowe taktyczne systemy rakietowe MGM-140, które mogą uderzyć głęboko za liniami rosyjskimi – wszystko, co Ukraińcy mogą skutecznie i szybko wykorzystać.

Rustem Umerow, nowy minister obrony Ukrainy, powiedział podczas swojego pierwszego wystąpienia w tej roli: „Nasza armia jest dziś jedną z najsilniejszych i najbardziej zmotywowanych na świecie, ponieważ wiemy, o co walczymy. Lecz potrzebujemy więcej sprzętu. Potrzebujemy go jutro, ale jeszcze bardziej dziś”.

Im szybciej Putin stanie w obliczu załamania swojej armii w Ukrainie, tym łatwiej będzie z nim negocjować porozumienie „ratujące twarz” już dziś, a nie czekać, aż Trump zostanie ponownie wybrany i rzuci mu koło ratunkowe.

Nie ma jednak złudzeń – każde zawieszenie broni lub porozumienie pokojowe przyniesie zupełnie nowy zestaw dylematów politycznych.

Jeśli wojna przeciągnie się w krwawym impasie poza nadchodzącą zimą, ponieważ ukraińska armia nie będzie w stanie przebić się przez ogromne pola minowe i umocnienia, które Rosjanie wzniesli na okupowanych terenach, Zelenski może stanąć w obliczu głośnych nacisków ze strony jego europejskich sojuszników. Putinowi z kolei może zabraknąć państw pariasów, takich jak Korea Północna i Iran, od których mógłby zdobyć więcej amunicji.

■

Pomimo trwającej wojny, ukraińskie start-upy miały ponad 6 mld dol. przychodów w 2022 r. – o 542 mln więcej niż w 2021 r. – i potroiły swoją wycenę od 2020 r.

Każdy rodzaj formalnego lub nieformalnego zawieszenia broni jest możliwy. Ale niemożliwe jest jedno: Ukraina zgadzająca się na jakiegokolwiek trwale lub tymczasowe zakończenie tego konfliktu bez obietnicy gwarancji bezpieczeństwa w ramach artykułu 5 NATO (lub jego odpowiednika ze strony USA i Europy). Taka gwarancja bezpieczeństwa zasygnalizowałaby wyczerpanym Ukraińcom, zagranicznym inwestorom i milionom ukraińskich uchodźców za granicą, że wojna naprawdę się skończyła, a Putin nie może po prostu dobrać się i wkrótce dokonać ponownej inwazji.

Sądziłicie, że będziemy mogli po prostu poczekać na zwycięstwo Ukrainy i zająć się innymi sprawami, pozostawiając wściekłego Putina, by lizał rany? Przepraszam, ale powiem to tak dosadnie, jak potrafię: bez zachodnich gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy nie ma mowy o żadnym końcu tej wojny.

Dlatego też, gdy tylko do gry przystąpi dyplomacja, „dwa silne ramiona Zachodu – czyli UE i NATO – które tak bardzo zbli-

żyły się do siebie z powodu tej wojny, będą musiały wprowadzić Ukrainę zarówno do NATO, jak i do UE” – zauważył historyk Timothy Garton Ash. Powiedział mi: „Trwały pokój wymaga jak najszybszego przyjęcia Ukrainy do NATO i stopniowego inkorporowania jej do UE”.

Co się stanie, jeśli Putin zdecyduje, że woli wieczną wojnę w Ukrainie? Nie wiem. Dlatego twierdzę, że w przyszłości czekają nas poważne geopolityczne dylematy.

Wczesnym rankiem w ostatnią niedzielę Rosjanie wystrzelili trzy tuziny dronów w kierunku Kijowa. Zawyły syreny – a przynajmniej tak mi powiedziano, bo wszystko przespalem. To skłoniło moich kolegów z „NYT” w Kijowie Andrew Kramera i Marc Santorę do zainstalowania mi aplikacji na iPhone’a: Air Alarm Ukraine. Jest ona powiązana z ukraińskim systemem obrony powietrznej, w razie ataku przypomina: „Udaj się do najbliższego schronu!”. Ale głos nie jest ukraiński. To baryton Marka Hamilla, czyli Luke’a Skywalkera z „Gwiezdnych wojen”. „Nie bądź nieostrożny” – ostrzega Hamill. „Nadmierna pewność siebie jest twoją słabością” – dodaje.

Aplikacja oczywiście ostrzega także w języku ukraińskim, jednak wielu Ukraińców woli słyszeć Hamilla ze względu na sposób, w jaki odwołuje alarm: „Niech Moc będzie z wami”.

Wspominam o tym z kilku powodów. Przede wszystkim Ukraina, podobnie jak Izrael, jest dziś prawdziwym „narodem start-upów” – krajem o dużej kreatywności i innowacyjności, także w zakresie dronów i pocisków manewrujących. Według ekspertów wojskowych to właśnie ukraiński pocisk manewrujący Neptun, lecący tuż nad powierzchnią morza, zatopił w zeszłym roku czarnowik „Moskwa”, flagowy okręt Floty Czarnomorskiej.

„Pomimo trwającej wojny, ukraińskie start-upy miały ponad 6 mld dol. przychodów w 2022 r. – o 542 mln więcej niż w 2021 r. – i potroiły swoją wycenę od 2020 r.” – wynika z raportu Michała Kramarza, szefa Google for Startups w Europie Środkowo-Wschodniej. W normalnym roku Ukraina kształciła 130 tys. inżynierów – więcej niż Niemcy i Francja.

W Kijowie rozmawiałem z Brianem Bestem, który kieruje działem bankowości inwestycyjnej w Dragon Capital, firmie, która finansuje start-upy. Powiedział mi, że w ostatnich latach zmiany w stosunkach Ukrainy z UE umożliwiły młodym ukraińskim technikom podróżowanie bez wiz do Europy Zachodniej, a oni „przywieźli z powrotem wiele nowych umiejętności w zakresie prowadzenia biznesu. Wojna tylko to przyspieszyła”. Nie chodzi tylko o start-upy wojskowe i cybernetyczne, Best powiedział, że na ulicy, na której mieszka, „są cztery nowe restauracje, które mają bardzo europejski charakter. To rewolucja kulturowa”.

Co więcej, Ukraina przed wojną odpowiadała za 10 proc. światowego rynku pszenicy, 15 proc. rynku kukurydzy i 13 proc. rynku jęczmienia. Dziś posiada również najbardziej doświadczoną armię w Europie, z największą na świecie wiedzą specjalistyczną w zakresie wojny dronowej nowej generacji.

PUNKOWA ENERGIA
I JASNY CEL

Podoba mi się sposób, w jaki znany ukraiński pisarz Serhij Żadan wyjaśnił to na konferencji: „Użyjmy metafory, aby porównać społeczeństwo ukraińskie z rosyjskim: społeczeństwo ukraińskie to młody zespół punkowy, który może zapełnić stadiony. I na pewno to zrobimy. Dla nas wszystko dopiero się zaczyna, jest ogromna rezerwa siły i energii i – co najważniejsze – jest zrozu-

mienie strategii i celu. A Rosja jest zmęczonym, podstarzałym piosenkarzem kabaretowym, który już stracił publiczność i popularność, ale nadal stara się podtrzymać iluzję sukcesu i blasku”.

Na początku lat 90. sprzeciwiałem się ekspansji NATO po upadku muru berlińskiego, ponieważ uważałem, że naszym priorytetem powinna być próba pielęgnowania demokratycznej Rosji. Ani przez chwilę tego nie żałowałem. Jednak teraz, 30 lat później, gdy perspektywa demokratycznej Rosji wydaje się bardzo odległa, chętnie wykorzystalbym NATO i UE do pielęgnowania i zabezpieczenia demokratycznej Ukrainy.

Jeżeli bowiem Ukrainie uda się uciec z tej wojny – nawet gdy będzie musiała tymczasowo odstąpić część terytorium Putinowi – i uda jej się przeprowadzić reformy antykorupcyjne i inne regulacje niezbędne, by przystąpić do UE, to potencjał intelektualny, siła agrarna i potęga militarna, jaką reprezentuje, posłuży jako model i magnes dla Rosjan pragnących innej przyszłości, nie wspominając już o chwiejnych państwach bałkańskich.

„To, co robi Ukraina, ma potencjał, by trwale przekształcić cały region – wszystkie kraje próbujące konsolidować kruchą demokrację” – powiedziała mi 39-letnia Anastasia Radina, przewodnicząca komisji antykorupcyjnej w ukraińskim parlamencie. „Putin nie mógł znieść, że Ukraina realizuje swoją success story i zrywa z sowieckim dziedzictwem, ponieważ jesteśmy tuż za jego progiem i byłby to ośmieszający jego system sukces przeciwnego modelu cywilizacyjnego” – dodała.

Oczywiście Unia Europejska ma wiele własnych problemów z codziennym zarządzaniem. Ale biorąc pod uwagę długą, krwawą historię kontynentu, UE to cichy, może nudny, ale jednak cud. Dołączenie Ukrainy tylko by ją wzmocniło.

I kiedy zastanawiam się, co mogłoby być najboleśniejszą karą dla Putina, to byłby to wyrok skazujący go na siedzenie na Kremlu do końca życia, unikanie spiskowców i konieczność patrzenia na prosperującą Ukrainę, która jest bezpieczną częścią największej demokratycznej, wolnorynkowej wspólnoty na świecie – UE – podczas gdy poddani Putina cieszyliby się swobodą spędzania wakacji i inwestowania w Korei Północnej i Iranie.

To koszmar Władimira Putina. Naszym zadaniem jest pomóc w jego urzeczywistnieniu.

PS Podczas podróży powrotnej, siedząc na warszawskim lotnisku, obserwowałem lądujące samoloty Lufthansy. Widziałem grupkę chasydów, słyszałem rozmowy w wielu językach, niektórych nie mogłem zidentyfikować. W 1939 r. przylot niemieckiego samolotu do Warszawy oznaczał śmierć i chaos. Teraz to tylko szybka droga do Frankfurtu.

Zapominamy, jakim politycznym cudem jest ta cała scena. Zapominamy, czego potrzebowali europejscy dyplomaci z pomocą amerykańskich prezydentów, aby stworzyć tę scenę wieloreligijnej, wielonarodowej normalności, jaką jest dzisiejsza UE.

Tak więc, drogi czytelniku, możesz być za większą interwencją Zachodu w Ukrainie lub możesz być jej przeciwny. Ale nie ma wątpliwości, że atak Putina na Ukrainę jest bezpośrednim atakiem na całą tę scenę – tę oczywistą normalność, ten zwykły cud. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski
© 2023 The New York Times Company

Thomas L. Friedman - jeden z najbardziej wpływowych komentatorów w USA, trzykrotny laureat Pulitzera, publicysta „NYT”, w przeszłości korespondent wojenny m.in. na Bliskim Wschodzie

KTO PŁACZE PO PRIGOŻYNY

Był prawdziwym rosyjskim bandytą, którego pochwaliliby młody Gorki.
Był w nim gangsterski romantyzm, podczas gdy Putin wciąż hodował w sobie kompleksy z dzieciństwa

Wiktor Jerofiejew*

Wokół rosyjskiego tronu zawsze kręciło się wielu dziwnych ludzi. W dawnych czasach niektórzy z nich byli jurodiwymi – świętymi głupcami, wróżbitami. Za ostatniego cara Mikołaja II był Rasputin – święty starzec, uzdrowiciel i lubieżnik, skądinąd przeciwnik wojny. Stalin otoczył się miernymi pół-przywódcami, którzy nie mogli być jego rywalami. Już w czasach post-sowieckich ostro pijący Jelcyń wielce wywyższył swego szefa ochrony Korżakowa. Putin stopniowo stworzył sobie przyjaciela Jewgienija Prigożyna, swego szefa kuchni, który ostatecznie stał się postacią na miarę całej Rosji i świata.

Znowu trafił na pierwsze strony gazet, kiedy samolot, którym leciał z Moskwy do Petersburga, eksplodował i rozbił się 50 km od waldajskiej rezydencji Putina. Borys Niemcow został kiedyś zabity tuż przy Kremlu.

Oszust, krwawy klaun, odnoszący sukcesy menedżer, twórca Grupy Wagnera – oplakują go podobnie myślący ludzie. „Nawet w piekle będziesz najlepszy” – komplementuje go kanał informacyjny, który go wielbi, zarazem jakby sugerując, że mimo wszystko jest on godny piekła.

Prokremlowski pisarz Zachar Prilepin nie wierzy w śmierć przyjaciela, błagając go, by żył. W śmierć Prigożyna zrazu nie uwierzono, chociaż z każdą godziną pojawiała się coraz więcej na nią dowodów. Niektórzy opozycyjni analitycy uważali, że człowiek, który ma paszporty na różne nazwiska, sobowtóry, mnóstwo pieniędzy i bystry przestępczy umysł, miał wszelkie możliwości, aby pozostać przy życiu i zostać gdzieś w Afryce, gdzie Wagner robił to samo co na Ukrainie – prowadził wojnę bez zasad przeciwko Zachodowi.

Prigożyn to ogromna, trująca narośl na ciele putinizmu. Teraz została odcięta, ale w jej miejsce pojawia się nowe. Rosyjska autokracja potrzebuje „najlepszych w piekle” – ludzi cynicznych, bezwzględnych i sadystycznych; takich, których działania są skierowane wyłącznie na nich samych, a reszta to tylko polityczne dekoracje.

Prigożyn wyzbył się ludzkich uczuć, w sposób właściwy bandytom, w więzieniach i obozach, dokąd trafił w wieku 20 lat; odsiedział łącznie dziewięć lat za kradzież, oszustwa i rozboje. Te cechy „Żako” (jego pseudonim z tamtych czasów) pozostały w nim do końca życia, pomogły mu w fantastycznej karierze.

Postawił na Putina i wygrał. Będąc jego osobistym kucharzem, równocześnie rozwijał restaurację i biznes budowlany. Prezydent ci światowych mocarstw jadali z Putinem w New Island, restauracji Prigożyna w Petersburgu. Stworzył imperium medialne, które ma wielomilionową publiczność. Z jego pomocą zwalczał media niezależne i tępił opozycję, by przypodobać się Kremlowi.



• **Jewgienij Prigożyn obsługuje Władimira Putina w swojej restauracji pod Moskwą, 2011 r.**

FOT. AP

Był również zaangażowany w oddziaływanie na wybory prezydenckie w USA, opowiadał się po stronie Trumpa. Jego Grupa Wagnera walczyła w Syrii i wspierała antyzachodnie reżimy w Afryce. Międzynarodowe „sukcesy” Prigożyna, które doprowadziły do nałożenia na niego sankcji przez USA czy Unię, pokazują, że na świecie elity są w wysokim stopniu wredne, skłonne do korupcji.

Odkrył możliwość rekrutacji więźniów na wojnę w Ukrainie. Z najwyższym krajowym odznaczeniem, Bohatera Federacji Rosyjskiej, zaczął podróżować do miejsc odosobnienia, odwiedzał siedzących tam „siłowników”, morderców i innych bandytów. Putin zapewnił ochotnikom zwolnienie, wysoką pensję i 5 mln rubli [dla rodziny] w przypadku ich śmierci.

Grupa Wagnera wygrała bitwę o Bachmut. Jednak Prigożyn, biegle w taktyce tak jak Putin, był słaby w kalkulacjach strategicznych. Lubił aurę tajemniczości. Z pewnością był w nim obecny gangsterski romantyzm, co odróżniało go od Putina, który wciąż hodował w sobie różne kompleksy z dzieciństwa.

Prigożyn miał niewielkie zrozumienie dla liberalizmu i w demokracji raczej nie zaszedłby wysoko; za to autokracja Putina była jego żywiołem. Był prawdziwym rosyjskim bandytą, którego pochwaliliby młody Gorki. Teraz opiewa go nacjonalista Prilepin.

Prigożyn jest znany z haniebnych masakr. Z zadowoleniem przyjął egzekucję więźnia, „dezertera” z Grupy Wagnera. Został stracony w trybie pozasądowym za pomocą młota kowalskiego; później młoty kowalskie różnych rozmiarów stały się pamiątkami.

W chwili zdobycia Bachmutu wagnerowcom zaczynało brakować amunicji – szefowie rosyjskiego MON-u zmienili się w rywali Prigożyna. Ich konflikt kontrolował Putin, który wie, jak dzielić i rządzić.

Prigożyn wpadł we wściekłość. Zaczął atakować miernotę ministra obrony Szojgu, którego nazwał kreaturą, i Gierasimowa, szefa sztabu generalnego. Setki prze-

ciwników wojny otrzymało i otrzymuje grzywny i staje przed sądem za takie wypowiedzi, uznane za dyskredytowanie armii. Ale w tym przypadku Putin milczał.

Prigożyn nagle ogłosił, że wojna z Ukrainą była błędem: Ukraina i NATO nie miały zamiaru atakować Rosji. Jastrząb Prigożyna nagle stał się gołąbkim pokoju, który oto, gdyby miał władzę, zatrzymałby wojnę, którą tak nieudolnie prowadziło ministerstwo obrony.

23 czerwca 2023 r. wszczął bunt przeciw kierownictwu MON-u i zorganizował „marsz sprawiedliwości” na Moskwę. Czy chciał obalić Putina i zostać prezydentem? W pewnym momencie stał się panem sytuacji, a Putin potępił go jako zdrajcę, zarazem tchórzliwie opuszczając Moskwę. Było jasne, że nigdy tego Prigożynowi nie wybaczy ani nie zapomni.

Prigożyn nie policzył sił, a rebelia upadła, choć jego brutalny styl spodobał się wielu rosyjskim fanom rządów silnej ręki. Łukaszenka podjął negocjacje z Prigożynem, wyraźnie na prośbę Putina, a Prigożynowi najwyraźniej wybaczył sprytny Putin: zaprosił go na Kreml, podobno krzychał na niego i jego dowódców przez trzy godziny i zaproponował mu wyjazd na Białoruś wraz z wagnerowcami.

Gdyby Prigożyn na jakiś czas przyczaił się na Białorusi pod skrzydłami Łukaszenki, być może nie pisałbym dziś jego nekrologu. Ale według jego ludzi czuł się netykalny i nieśmiertelny. Nazywali go „Tata”, bali się go i szanowali, a on zaczął popełniać błąd za błędem. Znowu wysuwał się na czoło życia politycznego zarówno w Afryce, jak i w Rosji. Nikt nie spieszył się, by go wyeliminować.

Jednak dokładnie dwa miesiące po buncie jego samolot eksplodował w powietrzu. Oprócz Prigożyna, jego zastępcy i pięciu współpracowników w katastrofie zginęło dwóch pilotów i stewardesa (tak jak przypadkowi ludzie podczas wojny gangów).

Prokremlowscy blogerzy obwiniali Ukrainę: to jej atak terrorystyczny! Opozycjoniści wskazywali na Putina, zagraniczni eksperci byli tego samego zdania. Ukraińcy zaprzeczali udziałowi w zamachu, dając do zrozumienia,

że istnienie Prigożyna, siewcy wielkiego rosyjskiego zamieszania, smuty, było im na rękę. Biden również zasugerował udział Putina.

Głos zabrał sam Putin: znał Prigożyna od lat, cenił go jako człowieka i biznesmena; komisja śledcza zbada, co tak naprawdę się stało. Nawet nie czekał na wyniki identyfikacji ciał spalonych w katastrofie.

Są różne opinie na temat przyczyn eksplozji samolotu. Przeciwnicy Putina uważają, że samolot trafiły dwie rakiety z tych, które chronią rezydencję prezydenta w Waldaju. Istnieje również przypuszczenie, że materiały wybuchowe zostały podłożone w pobliżu podwozia, oraz wersja, że bombę w kabinie podłożono, gdy wniesiono do niej skrzynkę drogiego wina. Fani Prigożyna uważają, że zabili go zdrajcy Rosji – oczywiście chodzi o MON.

Spośród tych wszystkich wersji komitet śledczy wybierze tę bliską carowi. Kto zażył Prigożyna? Nikt. Nikt? Właśnie nikt! Co można wymyślić? Problemy z silnikiem, błędy pilotażu...

Dwa dni przed śmiercią Prigożyna w ostatnim przekazie wideo powiedział, że PMC Wagner uczyni Rosję „jeszcze większą na wszystkich kontynentach”. Dawny „Żako” stał się rosyjskim imperialistą w słowach, a w rzeczywistości szczęśliwym posiadaczem niewyobrażalnych bogactw. Patrząc na jego styl życia, jego restaurację i zamilowanie do luksusu i haremów, trudno sobie wyobrazić, że był wrogiem Zachodu. Był w zasadzie nikim, nieporównywalnie mniej było w nim ideologii niż w Putinie, a ideologia Putina nie jest porównywalna z ideologią komunizmu. Jest zbyt ciasna, by objąć cały świat.

Śmierć Prigożyna niczego nie zmieni. Elity bały się Putina jeszcze przed gwałtowną śmiercią rebelianta. Wojna z Ukrainą trwa. Kierownictwo MON-u cieszy się i pije szampana.

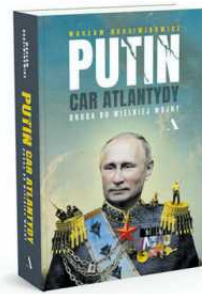
Putin powiedział, że los Prigożyna był skomplikowany – car postanowił go uprościć, skrócić. Martwy Prigożyn wkrótce zostanie zapomniany. Nikt go teraz nie potrzebuje. ●

przeł. arp

*Wiktor Jerofiejew

• ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego mroczna baśń dla dorosłych „Różowa mysz” (do kupienia na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl).

„Putin, car Atlantydry. Droga do wielkiej wojny”. Nowa książka Wacława Radziwinowicza już w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



• Ksiądz prawosławny błogosławi rosyjskich poborowych w punkcie rekrutacji w Moskwie, rok 2010. FOT. MIKHAIL METZEL/AP



Adam Michnik poleca

WYGNANY Z POLITYKI BÓG WRACA

Wyobraźmy sobie spotkanie muzułmańskiego radykała i katolickiego ortodoksa. Szybko znajdą wspólny język

Bartłomiej Sienkiewicz*

I września 2001 r. Zachód, rozumiany politycznie, nie geograficznie, dowiedział się, że Bóg nadal jest w polityce. I potrafi zadawać potężne ciosy. Sekularyzacja w myśleniu potocznym była jednym z emblematycznych przejawów nowoczesności, czyli wolnego rynku, swobodnego globalnego handlu, demokracji i rządów prawa. Skonfrontowani nagle z brutalnością wojny, jaką wydała Zachodowi Al-Kaida, odwołująca się do religijnych pobudek, ludzie Zachodu poczuli bezradność, gdyż jedynym, co mogli temu przeciwstawić, była walka o własny sposób życia, ale nie konkurencja własnej religii z religią islamu. Wizja, że są ludzie, którzy poświęcają życie,

by dać świadectwo wiary swojemu Bogu, była obca zsekularyzowanemu społeczeństwu Zachodu.

Jednak islamski fundamentalizm nie stał się w dłuższej perspektywie najpoważniejszym wyzwaniem. Zmiana dokonuje się znacznie bliżej, bo religia jest częścią sprzeciwu wobec dotychczasowego porządku, jest na sztandarach ultracynicznych Orbána czy Jarosława Kaczyńskiego, ale i prawicy izraelskiej czy wyborców Trumpa. Jest częścią obozu Le Pen i zwycięstwa Giorgii Meloni we Włoszech.

Putin, prowadzący wojnę i wzywający do ludobójstwa Ukraińców, jawnie deklaruje, że powodem jest także religia, w czym wspiera go patriarcha Wszechrusi. Wygnany z polityki Bóg wraca, ma swoich proroków, którzy bazując na przywiązaniu części społeczeństw do religii, stworzyli z niego poręczne narzędzie politycznego resentymentu. To oczywiście

w ogromnej mierze cynizm, ale fakty są takie, że w wojnach kulturowych, jakie prawica wytoczyła liberalnym demokratom, „Bóg” nadal jest jednym z jej silniejszych argumentów.

Wyobraźmy sobie spotkanie dwóch ludzi: salafity z dzielnicy muzułmańskiej którejś z metropolii Zachodu i katolickiego ortodoksa zaangażowanego politycznie. Sądzę, że będzie tylko kwestią czasu, kiedy znajdą wspólny język, a raczej wspólnego wroga. Jest nim zachodnia demokracja pozwalająca ludziom wierzyć bądź nie, żyć według własnego uznania, zarówno w kwestiach religijnych, seksualnych, jak i politycznych, o ile nie rodzi to krzywdy innych.

Cały zachodni świat, jaki powstał w mozołę, poprzez wojny, gwałtowne przesilenia i próby ich przezwyciężenia, zostanie w optyce tych dwóch

rozmówców zanegowany. Ale jednej rzeczy nie będą się sprzeciwiać: współczesnej technologii. To ona nadaje ich poglądom nośność i pozwala znajdować w sieci wciąż nowych zwolenników. W tej sprawie będą entuzjastami postępu.

Islamska rewolucja w Iranie nie dokonałaby się w takiej formie, gdyby nie setki kasety z kazaniem ajatollaha Chomeiniego szmuglowane do Teheranu. Podobnie gdyby nie niekontrolowany darknet, w amerykańskich szkołach prawdopodobnie ginęłoby mniej dzieci – ofiar alt-prawicowych radykałów.

Wobec silnych tożsamości, ekstremistycznych poglądów klasyczna teoria liberalizmu mówi, że wszyscy mają prawo korzystać z wolności niezależnie od tego, czy są jej zwolennikami. W książce „Coraz ciemniej” Julia Ebner pokazuje siłę ekstremizmu w internecie, także tego religijnego. Specjaliści od rekrutacji z ISIS potrzebowali zaledwie paru miesięcy kontaktu z wytypowanymi osobami z państw Zachodu, żeby zmanipulować je na tyle, by przystąpiły do nich jako bojownicy – terroryści.

Skuteczność technik manipulacyjnych w sieci jest wciąż doskonała, w miarę jak dzięki rewolucyjnemu przyspieszeniu neuronauk marketing został wyposażony w wiedzę, jak działa ludzki mózg i jak nim można sterować. Pojedynczy użytkownik złapany przez rekruterów jest wobec nich bezbronny, a wraz z nim cała państwowa maszyna.

Zdeterminowane ruchy ekstremistyczne niedawno pokazały siłę przy okazji pandemii COVID. Bóg fanatyków mieszka w sieci. Nikt ani nic nie powstrzymuje ludzi przed możliwościami dotarcia do treści, których jedyną funkcją jest radykalizacja postaw.

W tym zwrocie w stronę religii jedynie pozornie chodzi o wolność bycia człowiekiem religijnym. W istocie celem jest zniesienie dotychczasowego porządku politycznego, w którym religijność obywatela jest cechą wtórną wobec możliwości działania wspólnoty politycznej. Chodzi o stworzenie sytuacji, w której religia zawłaszczona przez polityków jest jedyną formą porządku społecznego, co daje im możliwość monopolizowania władzy i eliminacji jakiegokolwiek alternatywy.

Stąd kłamstwa o tym, że liberalizm jest wrogiem religii, i systematyczna praca nad zmianą wszystkiego, co neutralne, w prostą opozycję: albo to jest zgodne z religią, albo ma przestać istnieć. Od klauzuli sumienia, poprzez prawo antyaborcyjne, finansowanie, a raczej korumpowanie Kościoła, by żyrował ten zamach na wolność, aż po oświatę, kulturę i media – cały ten splot działań ma na celu uzyskanie, na podstawie wywiedzionego z religii uzasadnienia, monopolu władzy. Nieodwołalnej, niekontrolowanej i nieograniczonej żadnymi formalno-prawnymi ramami.

To kolumna Zygmunta, ale już w jawnej walce z wieloznaczną i wieloaspektową, pluralistyczną palmą na warszawskim rondzie de Gaulle’a. Tylko polityka, broniąca prawa do równouprawnienia osób wierzących i niewierzących, broniąca prawa do pluralistycznego społeczeństwa może się temu przeciwstawić. Także z pomocą osób i środowisk religijnych, które nie zgadzają się na upolitycznienie ich religii.

Liczne ostatnio odejścia wiernych od Kościoła niekoniecznie oznaczają, jak się wcześniej wydawało, procesy sekularyzacyjne. Mogą oznaczać przejście do innych form religijności, coraz bardziej ekstremalnych. Zauważalny w Polsce wysyp sekt chrześcijańskich i ruchów „uduchowio-

Pogańscy politycy sprawujący władzę z chrześcijańskim Bogiem na sztandarach – oto zwrot, którego jesteśmy świadkami w naszym kraju

Problem, jaki obecnie mamy, dotyczy miejsca religii w polityce państw Zachodu. W Polsce rządy Kaczyńskiego posługują się religią w polityce, w której państwo stopniowo przejmuje rolę podobną do ideowego przesłania warszawskiej kolumny Zygmunta i jej atrybutów – krzyża i miecza, czyli supremacji politycznej katolicyzmu wspartej mocą państwa. Taka polityka nie byłaby możliwa, gdyby nie realne poparcie społeczne, na które może liczyć.

Jak duża jest to część społeczeństwa, powoli przestaje mieć znaczenie, skoro mandat demokratyczny pozwala utrwalac tę tendencję niezależnie od tego, jaki to budzi sprzeciw. Bo w tej polityce nie chodzi o arytmetyczną większość akceptującą zmiany, ale umiejętne realizowanie celu zdeterminowanej mniejszości, która zawłaszcza kolejne elementy państwa.

Bóg wrócił do polityki, bo państwo ponad wszelkimi innymi porządkami – neutralne światopoglądowo – traci na znaczeniu. Co więcej, to nie tradycyjne Kościoły są źródłem tego procesu. Wręcz przeciwnie, ich postępujący kryzys sprzyja zawłaszczaniu języka religijnego i tworzeniu nowych teologii politycznych. I tylko polityka może się temu przeciwstawić, nie struktury formalnych Kościołów z coraz mniejszym autorytetem.

nych”, co niektórym mogłoby się wydawać paradoksalne w krainie JP2, jest kolejnym dowodem kryzysu Kościoła, tym razem chyba nieodwracalnego. Słynna fraza Jana Kochanowskiego z „Pieśni”: „Kościół Cię nie ogarnie” – mówiąca, że Bóg jest większy od swego Kościoła – nabiera zupełnie innego sensu: tradycyjne Kościoły już dawno przestały „ogarniać” Boga, bo stają się martwe lub przez władzę skorumpowane.

Jeśli liberalne państwa Zachodu potrafiły przez ostatnie sto lat ułożyć sobie stosunki z Kościołami z pnia chrześcijańskiego, to teraz ów ład zaczyna się kruszyć w miarę kryzysu samego chrześcijaństwa. Filozofka Chantal Delsol („Koniec świata chrześcijańskiego”, przeł. Piotr Napiwodzki, wyd. WAM, 2023), pisząc o końcu świata chrześcijaństwa, jak znanliśmy dotąd, zauważyła: „Metafory, symbole i obrzędy, ale bez wiary: ta zmiana, której znaczenie trudno przecenić, prowadzi nas ku religii pogańskiej, do sytuacji, która miała miejsce, jeszcze zanim jasno ustanowiono pojęcie prawdy. W sposób całkowicie naturalny próżnię pozostawioną przez chrześcijaństwo częściowo zapelniają różne przejawy pogaństwa”.

Pogańscy politycy sprawujący władzę z chrześcijańskim Bogiem na sztandarach – tak brzmiałaby formuła zwrotu, którego

jesteśmy teraz świadkami w naszym kraju. I nie tylko tu.

Co z wolnością? Czy można ją dziś ocalić? Jak to zrobić, kiedy bezpieczeństwo, ta najbardziej podstawowa ludzka potrzeba, zdaje się rządzić w coraz większym stopniu, usuwając z codziennego widnokręgu inne wartości, w tym te z elementarza liberalnego? Jaki czas jest przed nami? I jak do tego ma się przyszłość Polski, na skrzyżowaniu nowych wyzwań geopolitycznych i technologicznych?

Uczciwość każe napisać: nie ma na to przekonujących odpowiedzi. Ale są być może jakieś tropy, przesłanki do przyszłych odpowiedzi. Tych udzieli następne pokolenie, które będzie podejmować decyzje o skutkach bezpośrednio dotyczących jego życia. Moja generacja, która powoli odchodzi, nie dożyje już długofalowych skutków decyzji, które teraz podejmuje. Byłoby rodzajem pychy prognozowanie przyszłości, kiedy nasz czas się kończy.

Gdybym miał wymienić te przesłanki do decyzji podejmowanych w przyszłości, tu w Polsce, bo moje życie jest tu, bo moje serce jest stąd – wymienilibym dwie. Jedną przesłankę doświadczenia historycznego i drugą o charakterze ideowym.

Polska, jakkolwiek by to brzmiało obraźliwie, jeśli odejmiemy czasy wczesne-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Bogdan Jaremin*

Kawafis

już to rozważał wielokrotnie, Grek o wielkim sercu

z barbarzyńcami jest taki kłopot, że na nich czekaliśmy, i nie czekaliśmy, w pomieszczeniu nie wiadomo; z drzeniem i ciekawością czy łudząc się nadzieją, że odnowią naszą gnuśność

wiedząc o nich mało, bo nawet Herodot nie dotarł do pewności, czy żyją poza granicami Scytii czy może poza zimną krainą Hyperborejczyków jakich wyznają bogów i czego pragną najbardziej kiedy i skąd nadejdą, i czy w ogóle nadejdą

„pełni lęków i podejrzeń, ze zmaconym umysłem...” spodziewając się nieuniknionego, czekaliśmy choć nas powszechnie zapewniano, że „barbarzyńców już tam nie ma”

niestety, gdy zapadła noc mroźna, lutowa weszli hałaśliwie z bronią, zwartym szykiem, rzekomo praw broniąc nam nieznanych



***Bogdan Jaremin** - ur. w 1942 r., poeta, lekarz, nauczyciel akademicki, podróżnik. Był lekarzem okrętowym, biegłym sądowym, naczelnym pisma naukowego „International Maritime Health” i dyrektorem Instytutu Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni. Wiersz za jego tomem „Drżenie świata”, Wydawnictwo Austeria, Kraków - Budapeszt - Syrakuzy 2022.

go średniowiecza, na poły legendarne i ze szczupłymi źródłami historycznymi, otóż Polska od XIV wieku aż do dziś przeważnie była zawsze częścią jakiegoś większego formatu. Restytucja Korony Polskiej jako samodzielnego bytu, jaka dokonała się w XIV wieku, trwała ok. 60 lat (w pewnym uproszczeniu – od koronacji Władysława Łokietka do unii personalnej z Litwą i początku dynastii Jagiellonów). Drugim momentem było 20 lat niepodległości w międzywojniu.

Poza tymi okresami mieliśmy wspólne państwo z Litwinami, z parokrotnie większym terytorium od naszego, wniesionym w „posagu” unii polsko-litewskiej. To państwo federalne trwało 400 lat. Potem staliśmy się częścią państw zaborców. I kiedy po II wojnie światowej powstała Polska Rzeczpospolita Ludowa, nadal byliśmy częścią większej całości, wbrew naszej woli i bez suwerenności, ale z własnym państwem, jakiegokolwiek by ono było. I w finale tej drogi, po upadku komunizmu i ZSRR, weszliśmy, pragnąc tego w zdecydowanej większości, w unię z Zachodem, w ramach Unii Europejskiej, która trwa do dzisiaj.

Innymi słowy: Polacy w czasach I RP i III RP chcieli i potrafili związać się z innymi państwowościami, obracając ten związek na własną korzyść. Upadek i rozbiory

eprasa.pl 46fe5bbfe0

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

weekendówka 71



Autorką wielu haseł jest **Dorota Szymborska**

NIGDY NIE MASZ DOSYĆ („WEEKENDOWKI”)

4188.

Dacie wiarę? W czwartek, 21 września, w telewizji pokazali 4188. odcinek telenoweli „Klan”. Widzowie po raz 4188. usłyszeli, że „Jak pory roku Vivaldiego zmienia się światło w Twoich oczach, powiedz mi życie coś milego, nie pędź tak, proszę, daj odpocząć”.

A zaraz następnego dnia, w piątek, „Klan” oficjalnie skończył 26 lat. Bowiem to właśnie 22 września 1997 roku rozpoczęto regularną emisję serialu.

„Pamiętam [pierwszy odcinek], chociaż oczywiście bez szczegółów. Na pewno pamiętam jego sens, ale poszczególnych ujęć czy kolejności scen już nie. To był na tyle ważny moment, że z pewnością zawsze już będzie gdzieś tam w głowie obecny. Pierwsze trzy odcinki były specyficzne. Między innymi dlatego, że wszyscy się dopiero poznawaliśmy. Nie mieliśmy w dodatku żadnej pewności, że to wszystko będzie kontynuowane” – mówił w 2006 roku w wywiadzie dla ukazującej się wówczas „Gazety Telewizyjnej” Paweł Karpiński, główny reżyser serialu.

Co było w pierwszym odcinku? Rodzina Lubiczów przygotowywała się do 70. urodzin Marii, seniorki rodu. Poznaliśmy też latorośle Marii i Władysława: syna Pawła, skłóconą z rodziną córkę Monikę, syna Ryszarda czy wreszcie najstarszą z rodzeństwa Elżbietę, która pełniła dyżur w rodzinnej aptece Pod Modrzewiem.

Pierwsze trzy odcinki istotnie były specyficzne. TVP pokazała je pilotażowo 16, 17 i 18 czerwca 1997 roku, ogłoszono bowiem konkurs na polską telenowelę i w szranki obok „Klanu” stanęli „Złotopolscy” oraz „Zaklęta”. To widzowie w specjalnym głosowaniu mieli wybrać, co chcą dalej oglądać. Wybrali „Klan”, choć „Złotopolscy” zdobyli na tyle dużo głosów, że i ten tytuł dostał szansę, której efektem było 13 lat emisji oraz 1121 odcinków.

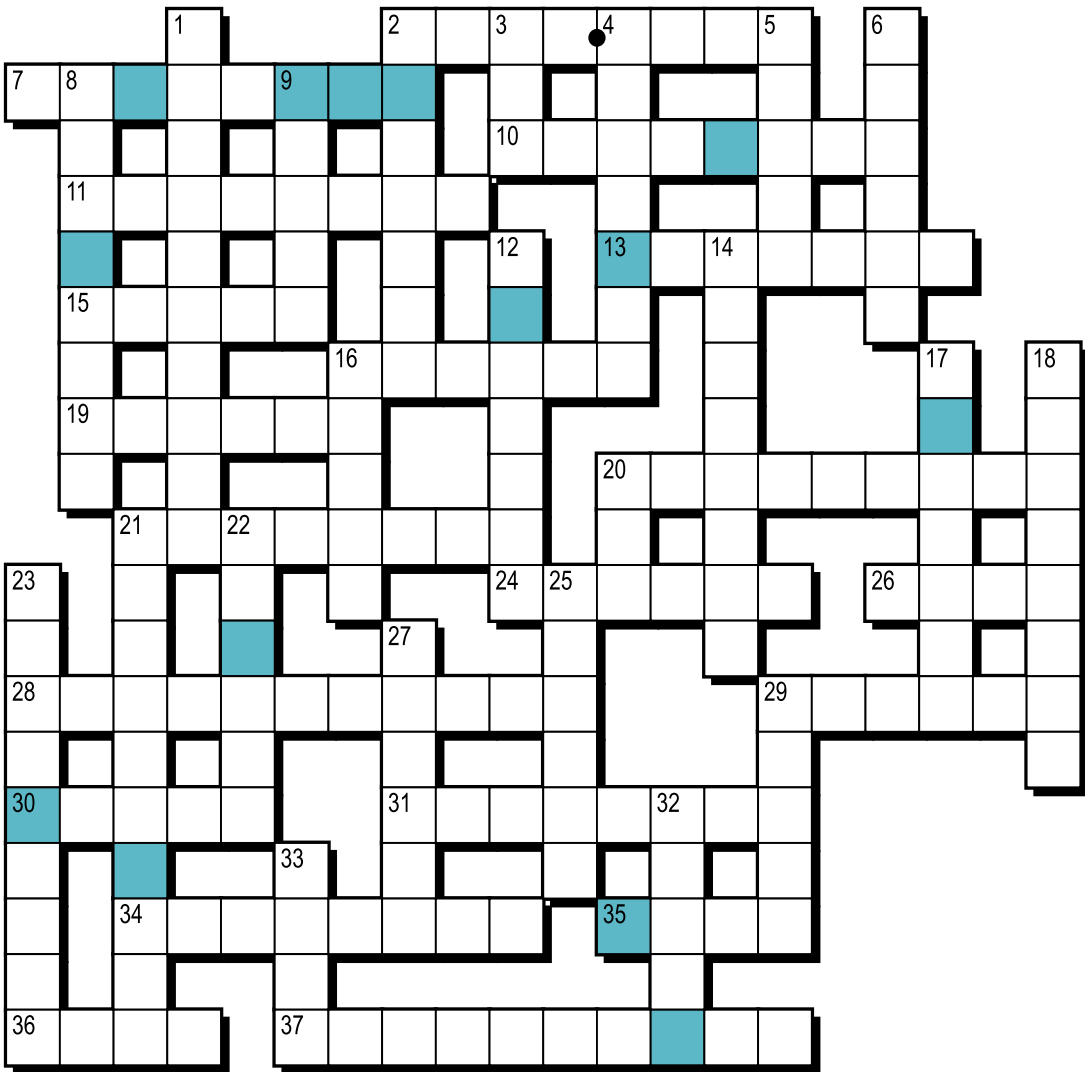
Dorobek „Klanu” jest jednak znacznie okazalszy, bo jest to zdecydowanie najdłuższy serial polskiej produkcji.

Dlatego z okazji urodzin szacownego jubilatą dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy właśnie rodzimym serialom, ewentualnie napomykając co nieco o telenowelach zagranicznych, ale zadomowionych u nas tak, jakby były nasze.

A o pomoc w układaniu pytań poprosiliśmy ekspertkę od spraw telewizyjnych, redaktorkę „Wyborczej TV” Dorotę Szymborską.

Milego odbioru! ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 70 z 16.09:

Poziomo:

- 3) diabeł 5) Kora
- 7) Nalepa 11) Zmiana
- 13) Belushi
- 14) Barańczak 15) Reed
- 16) Hooker 17) Rawa
- 19) solo 21) Lewis
- 22) B.B. King
- 23) Dżem 25) Eryk
- 26) Nowy Orlean
- 30) Gary Moore
- 32) Richard 33) Etta
- James 35) Ella
- 37) Walker

Pionowo:

- 1) Luizjana 2) Tomasz
- Kot 3) Dan Aykroyd
- 4) Bies 6) gitara
- 8) Aretha
- 9) Myszkowski
- 10) Otis Rush
- 12) Stevie Vaughan
- 17) Robert
- 18) wykonanie
- 20) Snowy White
- 24) Berry 27) Riedel
- 28) House 29) delta
- 31) Rea 34) muza
- 36) Lee

HASŁO:
RAY CHARLES

TELENOWELE

Hasła Doroty Szymborskiej oznaczono inicjałami (DSz). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2)** „Jak ... Vivaldiego zmienia się światło w Twoich oczach”
- 7)** Pyzdra dla Kwiczoła
- 10)** imię odtwórczyni roli Marty Mostowiak w serialu „M jak miłość”
- 11)** nazwisko aktorki grającej Kingę Zduńską („M jak miłość”)
- 13)** podczas nich dzieje się np. „Podróż za jeden uśmiech” (DSz)
- 15)** niejednemu aktorowi przyniosła ją udana rola w telenowel

- 16)** „Samo Życie” w serialu o tym samym tytule
- 19)** Dionizy Złotopolski, ... rodu
- 20)** jego barwy w tytule telenoweli (wpisujemy w mianownik)
- 21)** baaardzo długie seriale, np. „Moda na sukces” (DSz)
- 24)** przechodzi go niejedno serialowe małżeństwo
- 26)** ... Przybylska, niezapomniana w roli Marylki w serialu „Złotopolscy”
- 28)** oprawa plastyczna serialu plus kostiumy, dekoracje, rekwizyty
- 29)** ... oglądalności, analizowane przez zarządy stacji telewizyjnych
- 30)** potocznie o mało ważnych rolach (grać ...)
- 31)** Stanisława, zagrała Janinę Michalak w serialu „Samo życie”

- 34)** siostra Dionizego Złotopolskiego
- 35)** ... Tosiek (rola Małgorzaty Teodorskiej w „Plebani”)
- 36)** telenowela, której nigdy nie masz dosyć
- 37)** tam policji pomaga detektyw w sutannie (DSz)

Pionowo:

- 1)** nazwisko odtwórczyni roli Oli Lubicz („Klan”)
- 2)** reklamowa (za chwilę wracamy!)
- 3)** familia
- 4)** jesienią pojawiają się w niej nowości, także serialowe (DSz)
- 5)** w serialu „Dom” nosiła nazwę Złota, choć kiedyś dozorca Popiołek bał się, że się zmieni (DSz)
- 6)** TVP Seriale

- 8)** ulica, na której mieszkają bohaterowie serialu „Barwy szczęścia”
- 9)** W „Złotopolskich” tak miała na imię jedna z bohaterek, energiczna bizneswoman grana przez Ewę Kasparyk (DSz)
- 12)** ... Gabriel, Paweł Wawrzecki w serialu „Złotopolscy”
- 14)** Krzysztof, zaśpiewał: „Powiedz mi, proszę, gdzie jest to miejsce, gdzie jest ten lepszy świat”
- 16)** kucharz ze „Złotopolskich”
- 17)** porcje „W labiryncie”, „Na dobre i na złe”, „Pierwszej miłości”
- 18)** serial, którego akcja toczy się we wsi Tulczyn
- 20)** „To tylko ...”, piosenka z serialu „Ranczo” wykonywana przez Annę Jurkiewicz

- 21)** pierwsza pokazywana w Polsce nosiła tytuł „Niewolnica Isaura” (DSz)
- 22)** kolejne odcinki serialu
- 23)** Hanka ..., zginęła na skutek wypadku samochodowego
- 25)** ... epoki, odtworzone w serialu historycznym
- 27)** perypetie mieszkańców wsi Wilkowyje
- 29)** „Na Wspólnej znajdziemy to miejsce, gdzie miłość, ..., nadzieja na przyszłość”
- 32)** Nazwisko Kazimierza Kaczora z serialu, w którym był kanalarzem (DSz)
- 33)** Monika ..., rola Izabeli Trojanowskiej w „Klanie”

Leszek Rydz

OGŁOSZENIA

Byle do

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34225722